ODKRYWCA®

SKARBY • WOJNA • HISTORIA

NR 11 (202) LISTOPAD 2015 NAKŁAD 12 100 CENA 14,70 ZŁ (W TYM VAT 5%)

ODKRYWCA
LED HEADLIGHT
LED HEAD

> GRODKÓW:
ARSENAŁ Z JEZIORA
WYDOBYTY!

> PANCERNE ODKRYCIE.
POJAZDY Z PILICY
JUŻ NA POWIERZCHNI

> NA TROPIE
SKARBÓW
TWIERDZY
MODLIN

PAŁAC JEDLINKA

TAJEMNICZY
TUNEL W SERCU
„RIESE"

Indeks 37010X ISSN-6104
9 771505 610056 11 >

www.odkrywca.pl

Viking

NAJWIĘKSZY WYBÓR WYKRYWACZY METALI W POLSCE OD 1998!

💧💧 podwodny 💧 wodoszczelny do 3m 🌧 odporny na warunki atmosferyczne ● do poszukiwania złota

GARRETT® METAL DETECTORS
www.garrett.com

Ace 150
Ace 250
Euro Ace
AT Pro 💧
AT Gold 💧 ●
GTI 2500
Infinium LS 💧💧💧
Sea Hunter Mark II 💧💧💧
ATX 💧 ●

white's

Coinmaster
Coinmaster Pro
Coinmaster GT
NOWOŚĆ Treasure Master
NOWOŚĆ Treasure Pro
MX5
Matrix M6
MXT Tracker
MXT Pro
Spectra VX3
Spectra V3i
BeachHunter 💧
TM 808

FISHER RESEARCH LABS
Detecting & Underground Locating Equipment

F5
NOWOŚĆ F11
NOWOŚĆ F22 🌧
NOWOŚĆ F44 🌧
F19
F70
F75 ●
F75 LTD ●
Pro-Tech
Pro-Arc
CZ 21 💧
1280-X Aquanaut 💧💧💧

MINELAB

X-Terra 305
X-Terra 505
X-Terra 705
Safari
E-Trac
CTX 3030 💧
GPZ 7000 ●
SDC 2300 ●
Excalibur II 💧💧💧
NOWOŚĆ GO-FIND20
NOWOŚĆ GO-FIND40
NOWOŚĆ GO-FIND60

XP METAL DETECTORS

ADX150
Adventis 2
GMaxx II
Gold Maxx
Deus

Nokta
DETECTION TECHNOLOGIES

VELOX One
FORS CoRe

GROUND EFX

NOWOŚĆ MX100E
NOWOŚĆ MX200E
NOWOŚĆ MX300
NOWOŚĆ MX400

ul. Radna 6, 00-341 Warszawa tel./fax: 22 829 84 80 viking@viking.waw.pl

www.viking.waw.pl

sklep stacjonarny, sprzedaż wysyłkowa i ratalna

SZANOWNI PAŃSTWO, DRODZY CZYTELNICY

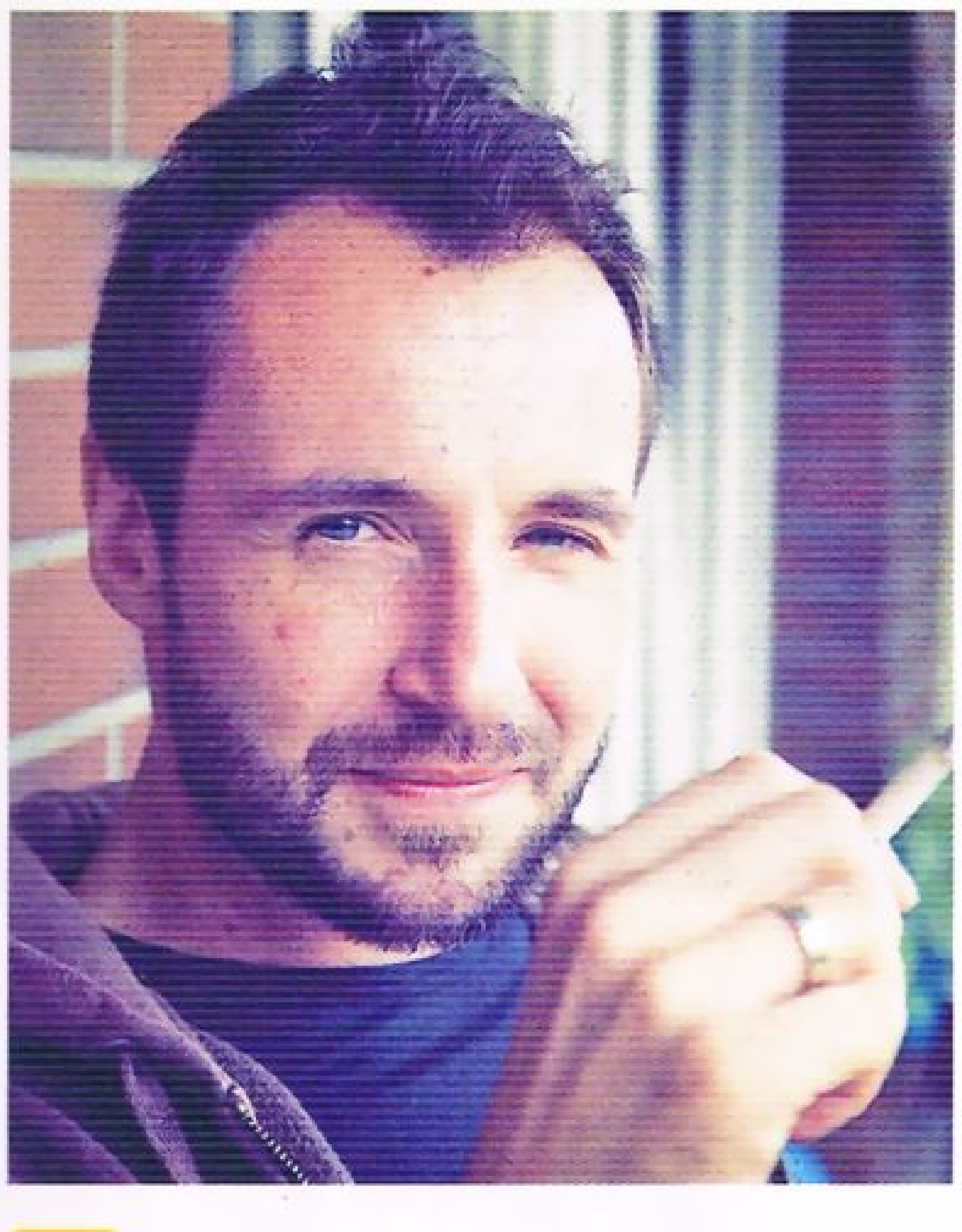
fot. Maciej Stajniak

PIOTR MASZKOWSKI
REDAKTOR NACZELNY

Przez Dolny Śląsk wciąż przetacza się fala wirtualnych odkryć. Wałbrzyski „złoty pociąg", czy nieznane do tej pory podziemne obiekty kompleksu „Riese" wciąż istnieją jednak wyłącznie na efektownych grafikach profili georadarowych. Zdecydowanie w ich cieniu pozostają realne znaleziska, na które udało się natrafić w ostatnim czasie podczas legalnych akcji eksploracyjnych. Akcji prowadzonych bez 10% znaleźnego, przedłużających się procedur państwowych i powoływania sztabów kryzysowych. Zamiast więc tajemniczego składu kolejowego, mamy realne wydobycie dwóch pojazdów pancernych z rzeki Pilicy (s. 3-4). Oczekując zaś na kolejną próbę rozwiązania nazistowskich sekretów Gór Sowich, niemal w ich sercu udało się odnaleźć i spenetrować nieznany do tej pory tunel (s. 6-9). Niewiele ma wspólnego z miejscowymi opowieściami, jednak już kolejny obiekt tego typu, na który natrafiono w Brzezinach nieopodal Łodzi, potwierdza powiedzenie, że w każdej legendzie musi kryć się ziarno prawdy (s. 18-21). Może nie jest ono spektakularne, ale z pewnością napawa optymizmem. Podobnie jak działalność i dokonania pewnego stowarzyszenia z Iławy, którego członkowie realizują swoją poszukiwawczą pasję w zgodzie z obowiązującym prawem (s. 22-25). Jak? O tym wszystkim, jak i wielu innych niezmiernie interesujących historiach piszemy w listopadowym wydaniu „Odkrywcy". Życząc miłej lektury, pragnę zaprosić również na nasz nowy portal dotyczący wałbrzyskich i kolejowych tajemnic:
www.zloty-pociag.odkrywca.pl

W TYM NUMERZE PISZĄ DLA NAS:

ŁUKASZ ORLICKI
Szef naszego działu badań o tajemniczym tunelu odkrytym obok pałacu Jedlinka

RAFAŁ KOCIĘDA
Prezes Stowarzyszenia Ylavia o tym, jak w praktyce legalnie poszukiwać i znajdować skarby

ROBERT WIT WYROSTKIEWCZ
Znany eksplorator i dziennikarz na temat lądowo-wodnych odkryć w twierdzy Modlin

znajdź nas na:
www.facebook.com/odkrywca

ODKRYWCA®
SKARBY • WOJNA • HISTORIA

WYDAWCA
Instytut Badań Historycznych i Krajoznawczych Sp. z o.o.

PREZES ZARZĄDU:
Magdalena Haber

REDAKCJA MIESIĘCZNIKA „ODKRYWCA"
ul. Kaszubska 4, 50-214 Wrocław
Tel.: 71 329 71 85, 71 329 71 86
fax: 71 328 83 71
e-mail: **redakcja@odkrywca.pl**
www.odkrywca.pl
http://www.facebook.com/Odkrywca

ZESPÓŁ REDAKCYJNY:
REDAKTOR NACZELNY:
Piotr Maszkowski
e-mail: maszkowski@odkrywca.pl
SEKRETARZ REDAKCJI
Andrzej Daczkowski
e-mail: daczkowski@odkrywca.pl
REDAKTOR
Grzegorz Góra
redakcja@odkrywca.pl
DZIAŁ FORTYFIKACJE
Jerzy Sadowski
STALI WSPÓŁPRACOWNICY
Proteus, Leszek Adamczewski, Marek Dudziak, Piotr Galik, Dariusz Pietrucha, Janusz Skowroński, Tomasz Rzeczycki, Szymon Wrzesiński, Lech Zwirełło
KONSULTANCI
Andrzej Bossowski
• Geologia.
Maksymilian Frąckowiak
• Archeologia.
Piotr Galik
• Historia wojskowości.
Maciej Kęszycki
• Militaria i technika wojskowa.
Krzysztof Krzyżanowski
Dariusz Wójcik
• Górnictwo Dolnego Śląska.
Aleksander Rostocki
• Nieśmiertelniki.
Marek Sokołowski
• Numizmatyka.

DZIAŁ GRAFICZNY
Małgorzata Biernacka
Projekt, opracowanie graficzne

DZIAŁ REKLAMY
Tel.: 71 329 71 71
e-mail: reklama@odkrywca.pl

TWÓRCA I ADMINISTRATOR STRONY
www.odkrywca.pl
Kazimierz Ruszel „Bocian"

GRUPA EKSPLORACYJNA MIESIĘCZNIKA „ODKRYWCA" (GEMO)
Łukasz Orlicki
e-mail: gemo@odkrywca.pl

DRUK
Zakład Poligraficzny TECHGRAF
ul. Podzwierzyniec 25
37-100 Łańcut

Redakcja zastrzega sobie prawo adiustacji, skracania i opracowania redakcyjnego tekstów. Zastrzega także prawo przedruku nadesłanych tekstów i materiałów graficznych w czasopismach współpracujących z „Odkrywcą". Tekstów niezamówionych redakcja nie zwraca. Za treść ogłoszeń i reklam redakcja nie ponosi odpowiedzialności. Wszelkie przedruki artykułów i kopiowanie materiałów graficznych – wyłącznie za zgodą redaktora naczelnego.

Okładka: wejście do tunelu, odkrytego w Jedlince; fot. Andrzej Daczkowski

SPIS TREŚCI

LISTOPAD 2015

POSZUKIWANIA

3 PANCERNA KAPSUŁA CZASU
PIOTR MASZKOWSKI

6 NOWE TAJEMNICE JEDLINKI
ŁUKASZ ORLICKI
Odkryty tunel znajdujący się w pobliżu pałacu Jedlinka, różni się od ostatnio zgłoszonych podziemi w Górach Sowich tym, że niewątpliwie ... istnieje. Byliśmy w nim!

10 ZRZUTOWISKO NA BAGNACH
GRZEGORZ GÓRA
Eksploracja stawu pełnego broni. Podjęliśmy m.in. karabiny maszynowe MG 34, działko MG-FF, zasobnik bomby kasetowej sd1

14 TWIERDZA MODLIN ZNOWU ZADZIWIA! CZ. 1
ROBERT WIT WYROSTKIEWICZ

18 TUNEL POD KOŚCIOŁEM W BRZEZINACH
KAROLINA RENDAK

22 YLAVIA – IŁAWSCY PASJONACI HISTORII
RAFAŁ KOCIĘDA

26 WARSZAWSKA PRAGA, STRZELECKA 8
ANNA STRASZYŃSKA

32 ŚLEDZTWO W SPRAWIE SZCZELINY JELENIOGÓRSKIEJ CZ. 2
KRZYSZTOF KRZYŻANOWSKI

KULISY HISTORII

36 BOGUSZYCKA TRAGEDIA W PIEKIELNIE ZIMNYM STYCZNIU
DARIUSZ PIETRUCHA

42 NA OKOPACH – KLUKI 1944/1945
BARTOSZ BIJAK

46 SKARBY ELBLĄGA
LESZEK ADAMCZEWSKI

52 ZAKŁAD W JELENIEJ GÓRZE I… SKARBY Z CZOCHY
SZYMON WRZESIŃSKI

56 W SŁUŻBIE „NIEWIERNYCH"
PIOTR GALIK

KOLEKCJONERSTWO

60 GOTOWANIE NA U-BOOCIE. WOJNA OD STRONY KUCHNI CZ. 9
TOMASZ BIENEK

66 ODZNAKI KWALIFIKACYJNE ARMII AUSTRO-WĘGIERSKIEJ CZ. 1
PIOTR GALIK

KSIĘGARNIA „ODKRYWCY"

71 NOWOŚCI LISTOPADA W KSIĘGARNI „ODKRYWCY"

PANCERNE
KAPSUŁY CZASU

PIOTR MASZKOWSKI

Podwójne trafienie wraków podczas jednej akcji! Tego w historii eksploracji jeszcze nie było.

W ciągu ostatnich tygodni doszło do kilku spektakularnych odkryć. Jednym z najważniejszych było wydobycie w październiku br. dwóch pojazdów pancernych z czasów II wojny światowej.

Trudna akcja została przeprowadzona przez Muzeum Zabytków Techniki Wojskowej Braci Kęszyckich. W jej wyniku z rzeki Pilicy na wysokości miejscowości Górki, nieopodal Wyśmierzyc w powiecie białobrzeskim wydobyty został lekki niemiecki transporter opancerzony Sd.Kfz. 250 oraz półgąsienicowy ciągnik artyleryjski Sd.Kfz. 7.

Tego typu wydarzenia budzą emocje nie tylko wśród miłośników militariów. Tym bardziej, że dokonane odkrycie było zwieńczeniem skomplikowanego na każdym etapie procesu poszukiwań. Informacje pochodzące od miejscowej ludności były weryfikowane w terenie, a następnie po dopełnieniu złożonej i czasochłonnej procedury formalnoprawnej nastąpił etap przygotowań do wydobycia. Dzięki doświadczeniu organizatorów przedsięwzięcia akcja przebiegła niezwykle sprawnie, owocując nieznanym do tej pory w historii eksploracji trafieniem dwóch zalegających obok siebie pojazdów.

Pilica to jedna z najbardziej „wrakodajnych” rzek w Polsce. Z jej koryta w ciągu ostatnich dwóch dekad udało się odzyskać co najmniej kilka historycznych pojazdów, z których większość, mimo upływu 70 lat przetrwała w zaskakująco dobrym stanie.

Nie inaczej było w przypadku pierwszego z wymienionych pojazdów. Nadwozie jak i podzespoły mechaniczne transportera >>>

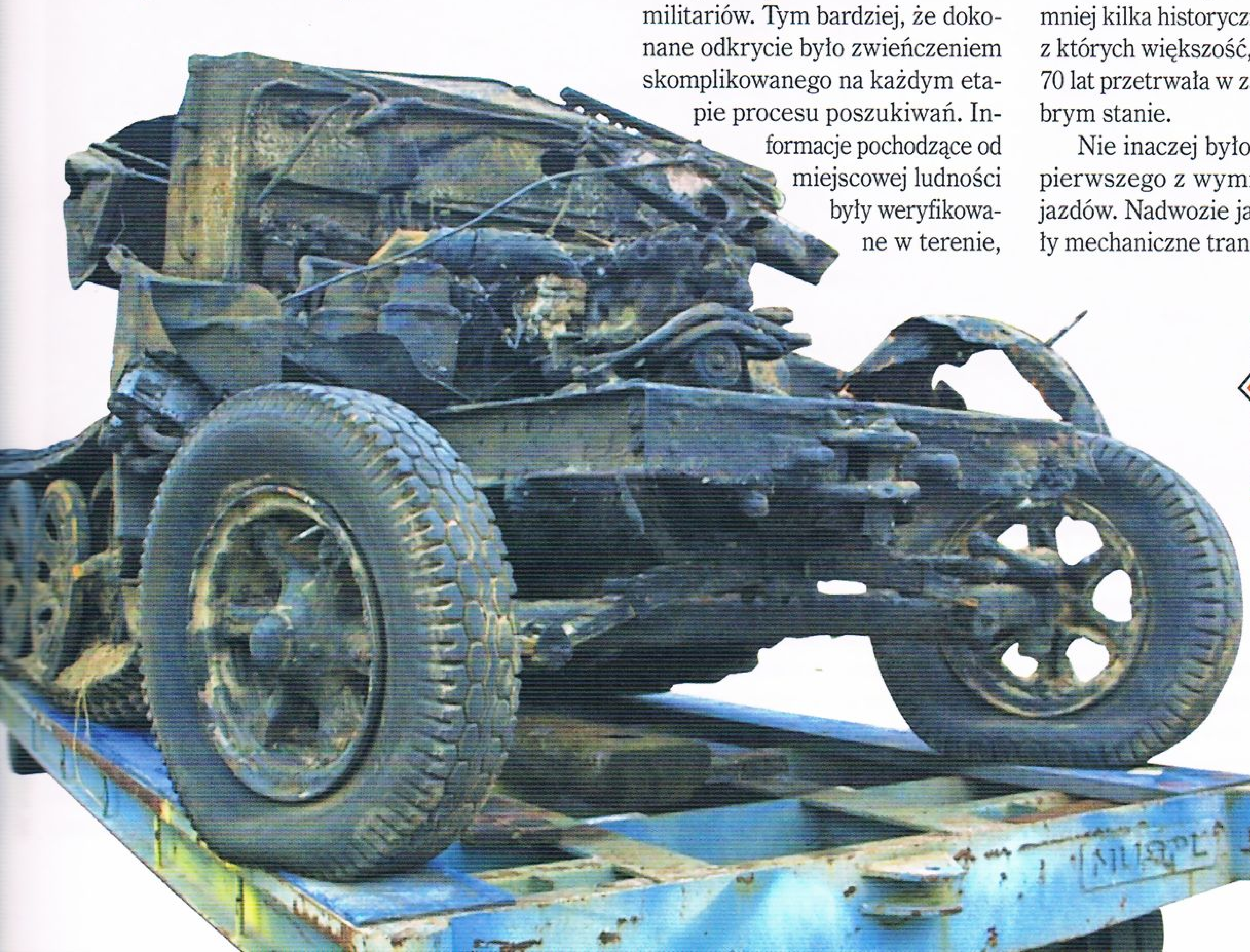

Wrak półgąsienicowego ciągnika artyleryjskiego Sd.Kfz.7 wydobytego z Pilicy

1

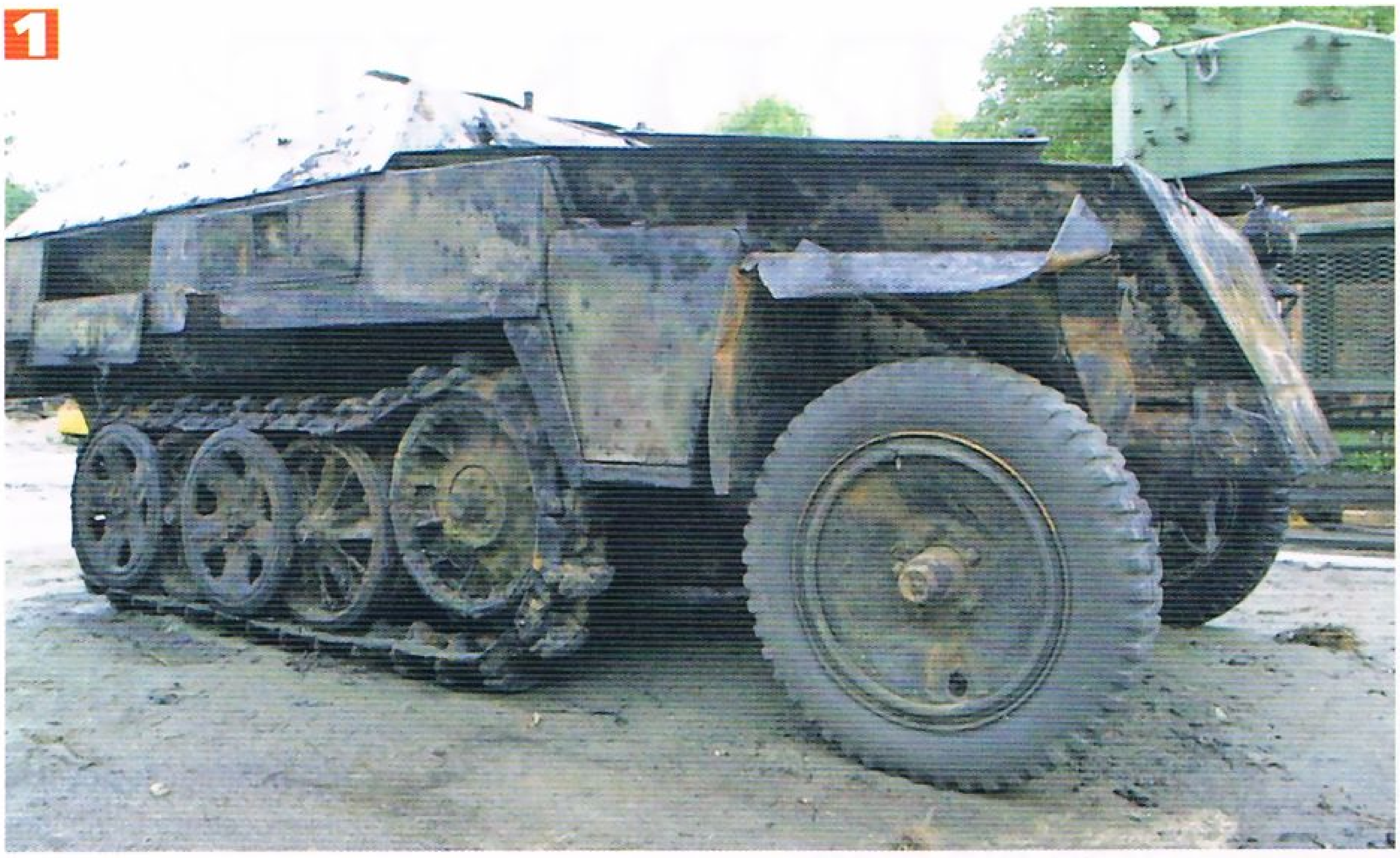

2

3

Sd.Kfz. 250 nie noszą śladów poważniejszych uszkodzeń. Mimo korozji nadal pokryty jest oryginalnym kamuflażem, widoczny jest numer boczny oraz rejestracyjny, a także znak taktyczny 25. Dywizji Pancernej (25. Panzer-Division). We wnętrzu zachowały się liczne elementy oryginalnego wyposażenia, brakuje jedynie dwóch przednich siedzisk, jednego z zasobników oraz konstrukcji pałąków do plandeki.

Prawdziwym skarbem okazały się skrzynki i pojemniki pełne narzędzi oraz przedmiotów należących do załogi. W środku, niczym w kapsułach czasu otwartych po 70, latach rzeczy osobiste, dokumenty, obuwie, akcesoria, zapasowe części eksploatacyjne, jakże wiele mówiące o ostatnich chwilach pojazdu. Proces identyfikacji jego pełnej historii jest obecnie w toku, podobnie jak prace zabezpieczające i konserwacyjne przygotowujące do kompleksowej renowacji.

Znacznie gorszy stan prezentuje druga z wydobytych maszyn. Ciągnik artyleryjski Sd. Kfz. 7 zalegający w bezpośrednim sąsiedztwie opisanego wyżej transportera został najwyraźniej wysadzony w powietrze, co spowodowało jego rozległe uszkodzenia. Zarówno nadwozie, jak i podwozie wraz z układem jezdnym nie prezentują się najlepiej, jednak jego kompleksowa renowacja wciąż jest możliwa.

4

Znając dotychczasowe osiągnięcia i potencjał Muzeum Zabytków Techniki Wojskowej Braci Kęszyckich słynących z licznych prac tego typu, prowadzonych zarówno na potrzeby własnej kolekcji, jak i podmiotów zewnętrznych (m.in. Muzeum Wojska Polskiego), można być pewnym, że już wkrótce wydobyte pojazdy odzyskają swój dawny blask. Najprawdopodobniej też zostaną przywrócone do stanu jezdnego. Należy jednak pamiętać, iż jest to skomplikowane, czasochłonne i niezwykle kosztowne przedsięwzięcie wymagające sporego nakładu sił i środków. Z pewnością do tematu jeszcze wrócimy, gratulując jednocześnie tak nadzwyczajnego odkrycia. <

ZOBACZ FILM:
CZ.1
CZ.2

5

1 Transporter Sd.Kfz. 250 po 70 latach w rzece.

2 Zachowany numer rejestracyjny pojazdu.

3 Otwarty zasobnik z boku kadłuba.

4 Odsłonięty mechanizm skrzyni biegów wewnątrz pojazdu, jego osłona nie zachowała się.

5 Kierownica oraz wciąż widoczne zegary wraz z cyferblatami na desce rozdzielczej Sd. Kfz. 250.

fot. Przemek „Dokuman" Budzich

SEKRETY PAŁACU JEDLINKA

TAJEMNICZY TUNEL

ŁUKASZ ORLICKI

Podobno miał być długi i niebezpieczny. Podobno ktoś twierdził, że kierował się wprost do podziemi pałacu. Podobno…

Jednak w chwili gdy ostrze łopaty przebiło się przez strop, i mogliśmy zajrzeć do jego ciemnego wnętrza, przestał być jedynie jedną z licznych, barwnych opowieści, w jakie obfituje historia każdego zamku czy pałacu.

Słowa „tunel" czy też „podziemny obiekt" w ciągu ostatnich miesięcy zrobiły w Polsce zawrotną karierę, zapoczątkowaną słynną sprawą „złotego pociągu". Pod koniec tegorocznego lata, niczym grzyby po deszczu pojawiały się kolejne zgłoszenia nieznanych, domniemanych podziemi „odnajdowanych" w Górach Sowich za pomocą różdżki czy równie tajemniczego urządzenia o nazwie KS 700. Tunel znajdujący się w pobliżu pałacu w Jedlince, różni się od nich pod kilkoma względami, z których najważniejszym jest fakt, iż niewątpliwie ... istnieje.

Oczywiście podziemne korytarze i tajne przejścia są nieodłącznym elementem barwnych legend otaczających pałace i dawne fortyfikacje. I taka sytuacja ma miejsce również w przypadku pałacu Jedlinka (niem. Tannhausen) w Jedlinie Zdrój. Nie po raz pierwszy zajmujemy się jego ciekawą historią związaną z XVIII-XIX >>>

1

fot. Andrzej Daszkowski

>>> wiekiem oraz drugowojennymi tajemnicami. To właśnie tu mieściła się siedziba kierownictwa Organizacji Todt odpowiedzialnej za budowę podziemnych kompleksów wchodzących w skład „Riese". I to w związku z tą częścią historii pałacu, przed kilkoma laty, przeprowadziliśmy na jego terenie badania mające na celu wykrycie śladów przekształceń dokonanych w 1944/45 roku w pałacowych piwnicach, które zostały zaadoptowane do roli schronu przeciwlotniczego.

W 2011 roku, w efekcie naszych badań georadarowych oraz odwiertów sondażowych, udało się nam odnaleźć niewielki tunel czy raczej kanał technologiczny wiodący wzdłuż osi pałacu oraz nieznane pomieszczenie piwniczne, odcięte i zabetonowane w latach 40. lub 50. Relacja z tych prac oraz wyniki penetracji podziemnej komory związanej, jak się później okazało, z XVIII-wieczną budową pałacu, zostały opublikowane w majowym numerze „Odkrywcy" z 2011 roku (Odkrywca nr 5/2011). I choć wielokrotnie planowaliśmy powrócić do tajemnic pałacu w Jedlince to los sprawił, że mogliśmy uczestniczyć w kolejnej ich odsłonie dopiero po kilku latach.

W październiku 2015 roku w pobliżu pałacu rozpoczęły się prace archeologiczne, prowadzone pod kierunkiem dr Magdaleny Przysiężnej-Pizarskiej z Instytutu Historii Uniwersytetu Opolskiego, przez studentów z Rosji i Polski. Ich głównym celem pozostawało przebadanie części terenu przylegającego do wschodniej elewacji pałacu. W ramach naszej wieloletniej współpracy z pałacem wspomagaliśmy archeologów w badaniach georadarowych. Efekty prac są obecnie opracowywane i ukażą się wkrótce na naszych łamach. Z pewnością będą bardzo ciekawe, bowiem archeologom udało się odsłonić m.in. fragment kamiennego muru – fundamentu. W trakcie badań, dzięki inicjatywie właściciela pałacu, pana Radosława Ledy, podjęto również próbę odpowiedzi na nurtujące nas już od wielu lat pytanie dotyczące jednego z domniemanych tuneli, który miał wybiegać z południowej oficyny pałacu. Okazało się, że na efekt nie trzeba było długo czekać - w wąskim wykopie prowadzonym tuż przy ścianie oficyny natrafiono na pustkę, która wiodła do ciemnego i ponurego korytarza. Mogliśmy przystąpić do jego penetracji i dokumentacji. Tunele i podziemne przejścia od wielu lat stanowią jeden z najważniejszych obiektów naszych badań. Oczywiście związane są z przeróżnymi aspektami ludzkiej działalności. Penetrowaliśmy niezliczone ilości drugowojennych obe- >>>

ZOBACZ FILM I PODYSKUTUJ:

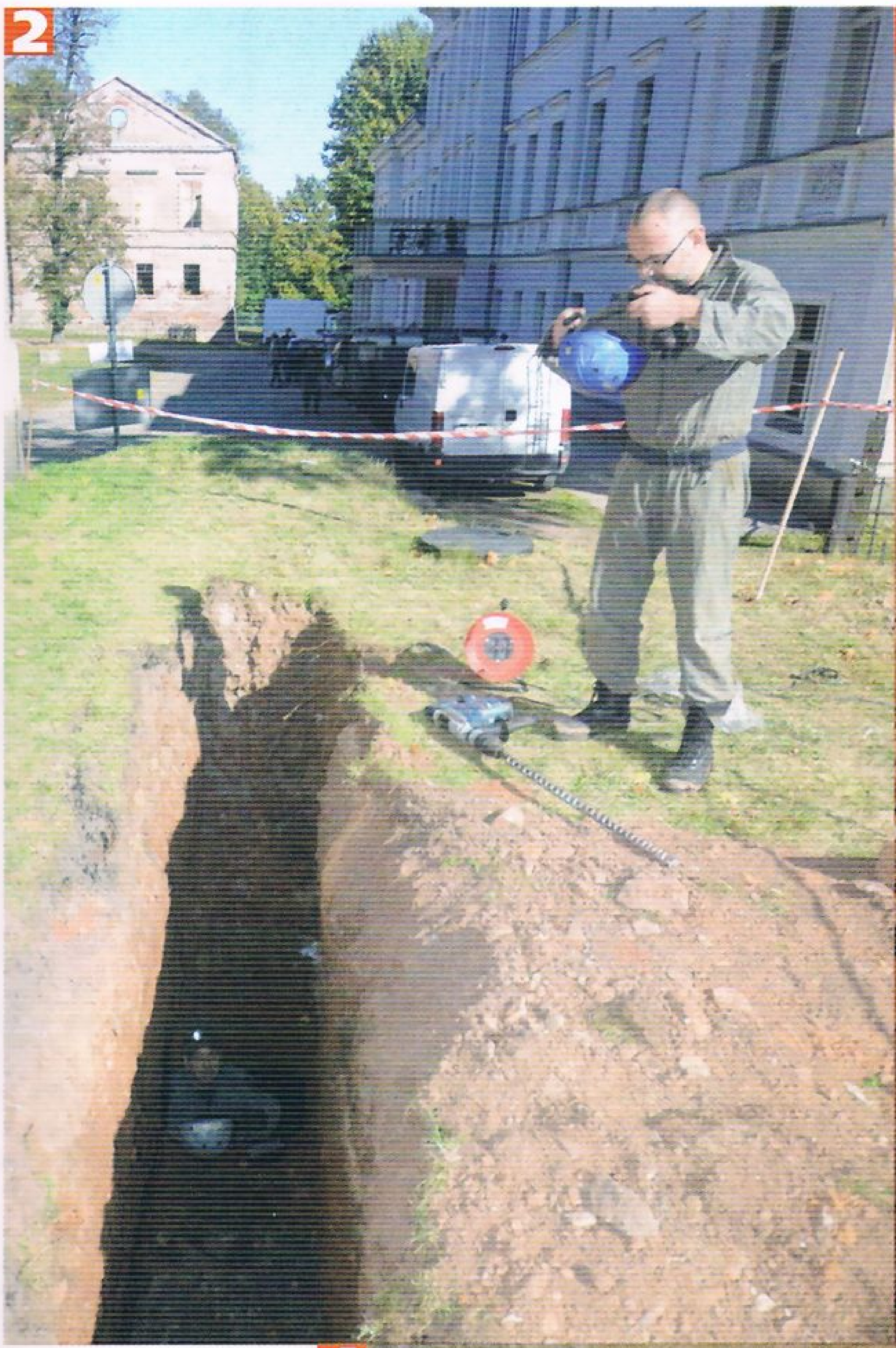

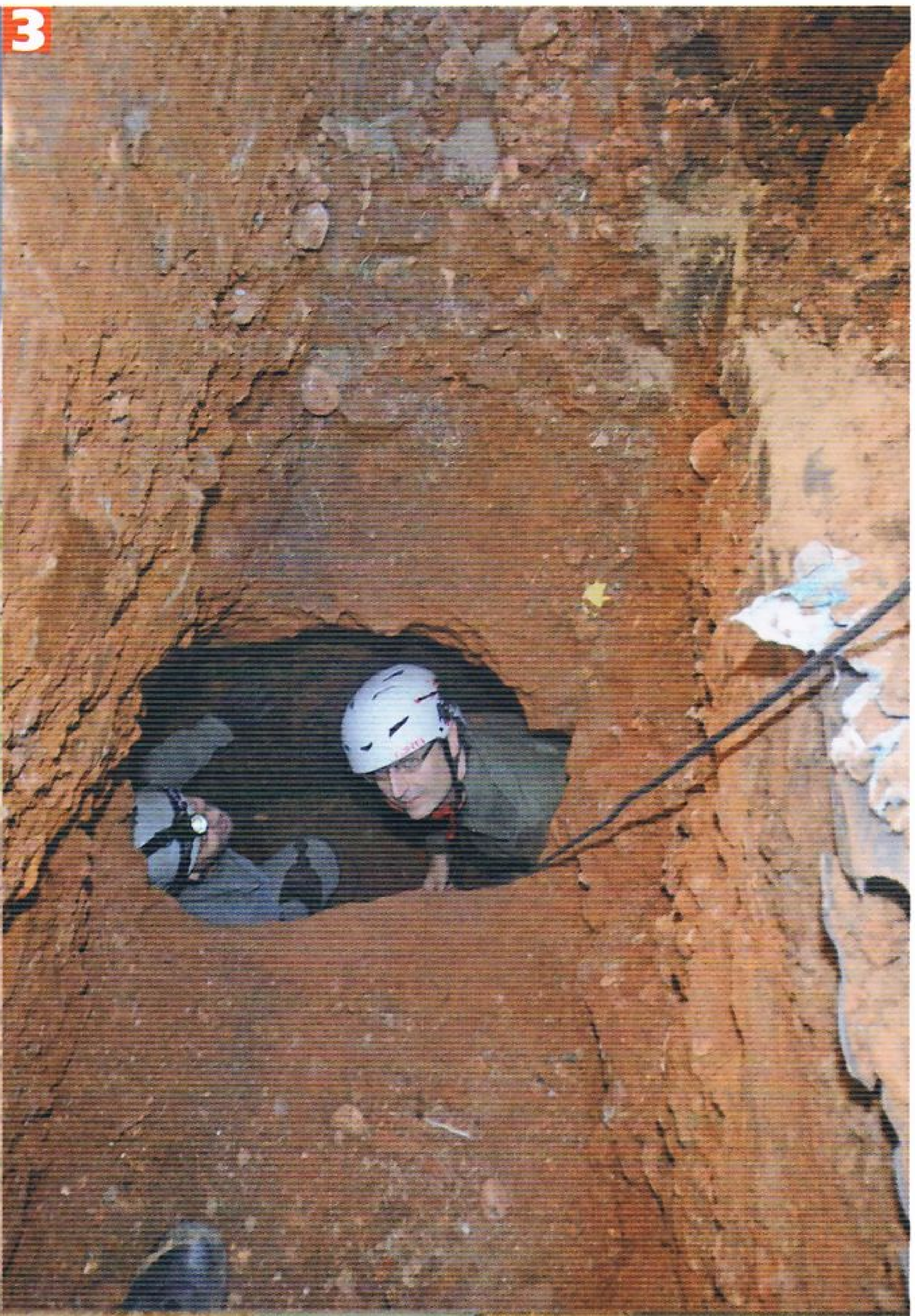

1 Odkrycie tunelu nastąpiło tuż przy ścianie południowej oficyny.

2 **3** Przygotowania do badań tunelu. Odwierty umożliwiły m.in. pobranie próbek zaprawy z ceglanego muru zamykającego podziemny korytarz.

4 Badania za pomocą kamery w piwnicy oficyny. Do jej ściany fundamentowej (kamiennej z tej strony) dochodzi tunel, zakończony ścianą ceglaną, widoczną na zdjęciu nr 7.

6

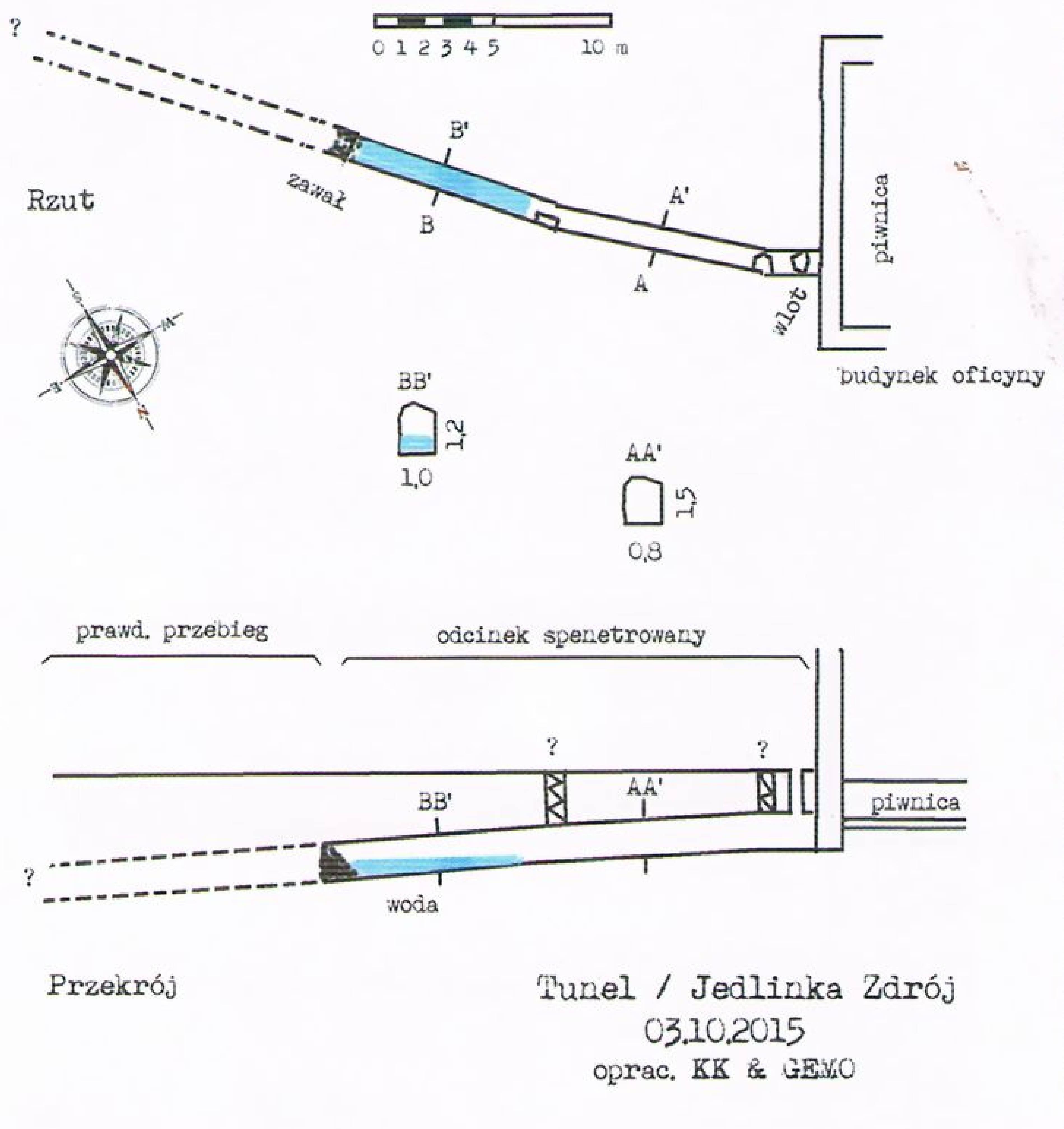

6 Szkic prezentujący przebieg tunelu.

>>> tonowanych ciągów komunikacyjnych, surowe bite w skale sztolnie, starsze kopalniane chodniki pochodzące sprzed kilkuset lat i olicowane cegłą tunele technologiczne. Jednak to, co napotkaliśmy w Jedlince, było bardzo zastanawiające.

Tunel niewielkich rozmiarów (ok. 1,5 wysokości i 0,75 – 1 m szerokości), o surowych nieoilcowanych ścianach i naturalnym półkolistym stropie rozpoczynał się tuż przy wschodniej ścianie XVIII-wiecznej oficyny ceglaną ścianą z wyraźną cementową zaprawą. Oznaczała ona, że ściankę wymurowano z pewnością nie wcześniej niż w pierwszej połowie XX wieku. Było to nieco dziwne, zważywszy na fakt, iż na jednolitej kamiennej ścianie piwnicy nie widniał żaden ślad po przejściu. Tunel w dalszym przebiegu opadał i stawał się coraz mniej bezpieczny, jego spąg pokrywała gęsta i ponad 20-centymetrowa warstwa błota i mułu. Okazało się, że chodnik jest drożny przez ok. 20 metrów, dalszy ciąg pozostawał zawalony. Dzięki badaniom georadarowym poprowadzonymi nad jego kontynuacją mogliśmy się przekonać, że prowadzi on w kierunku skarpy za pałacem. Fakty te pozwoliły nam interpretować go jako tunel o charakterze odwadniającym bądź kanalizacyjnym. Jednak prawdziwe zaskoczenie nastąpiło gdy porównaliśmy wysokość i spąg tunelu z poziomem piwnic. Okazało się, że tunel „wchodzi" niejako w poziom podłogi piwnicy! Kontynuując badania, udało się nam potwierdzić, że pod piwniczną podłogą istnieje przemieszana, wąska warstwa ziemi świadcząca o tym, że dolna część tunelu została zasypana. Czyżby więc chodnik był starszy niż budynek oficyny? Tajemnice pałacu Jedlinka z pewnością będą jeszcze gościły na naszych łamach. <

Łukasz Orlicki
Szef Grupy Eksploracyjnej Miesięcznika „Odkrywca" (GEMO).

7

7 Wyraźnie widoczny ceglany mur zabezpieczający tę część korytarza.

8 Czy jego układ względem oficyny sugeruje, że jest on starszy niż budynek?

fot. Andrzej Daczkowski

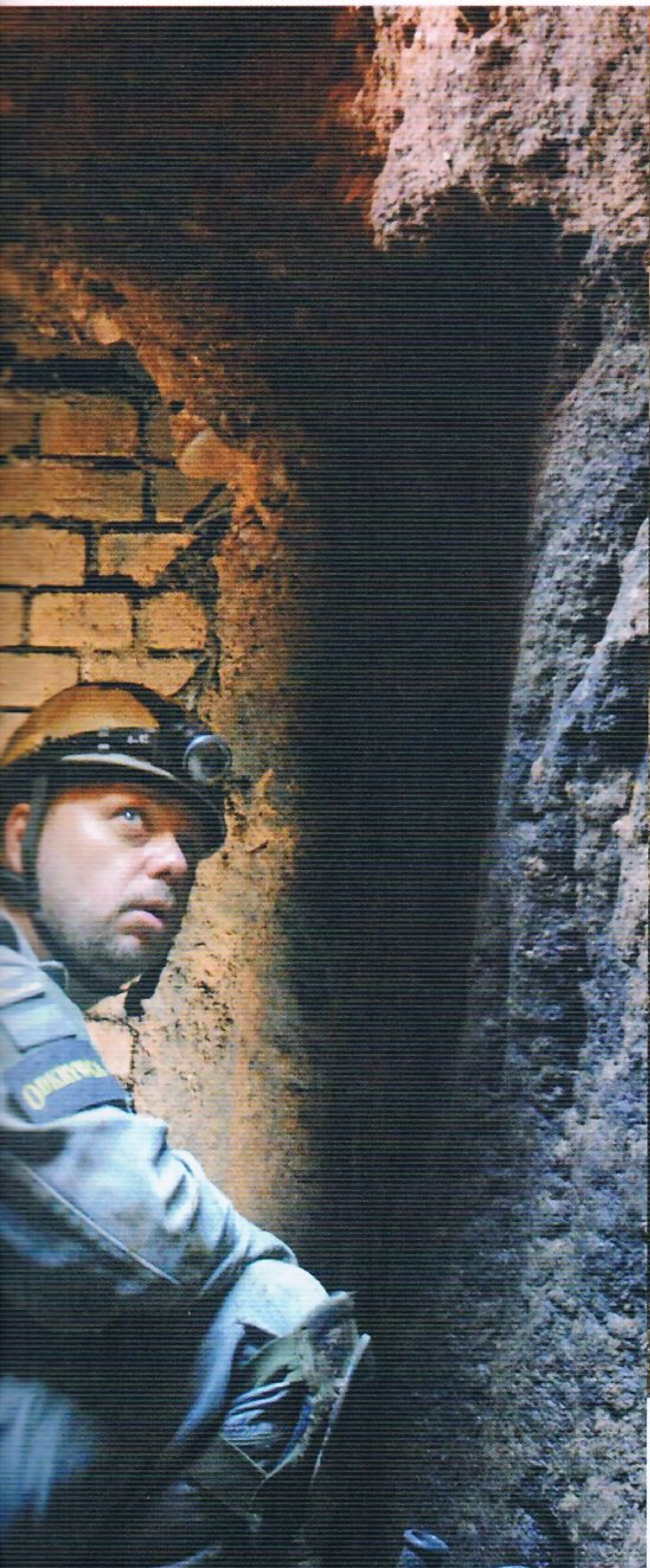

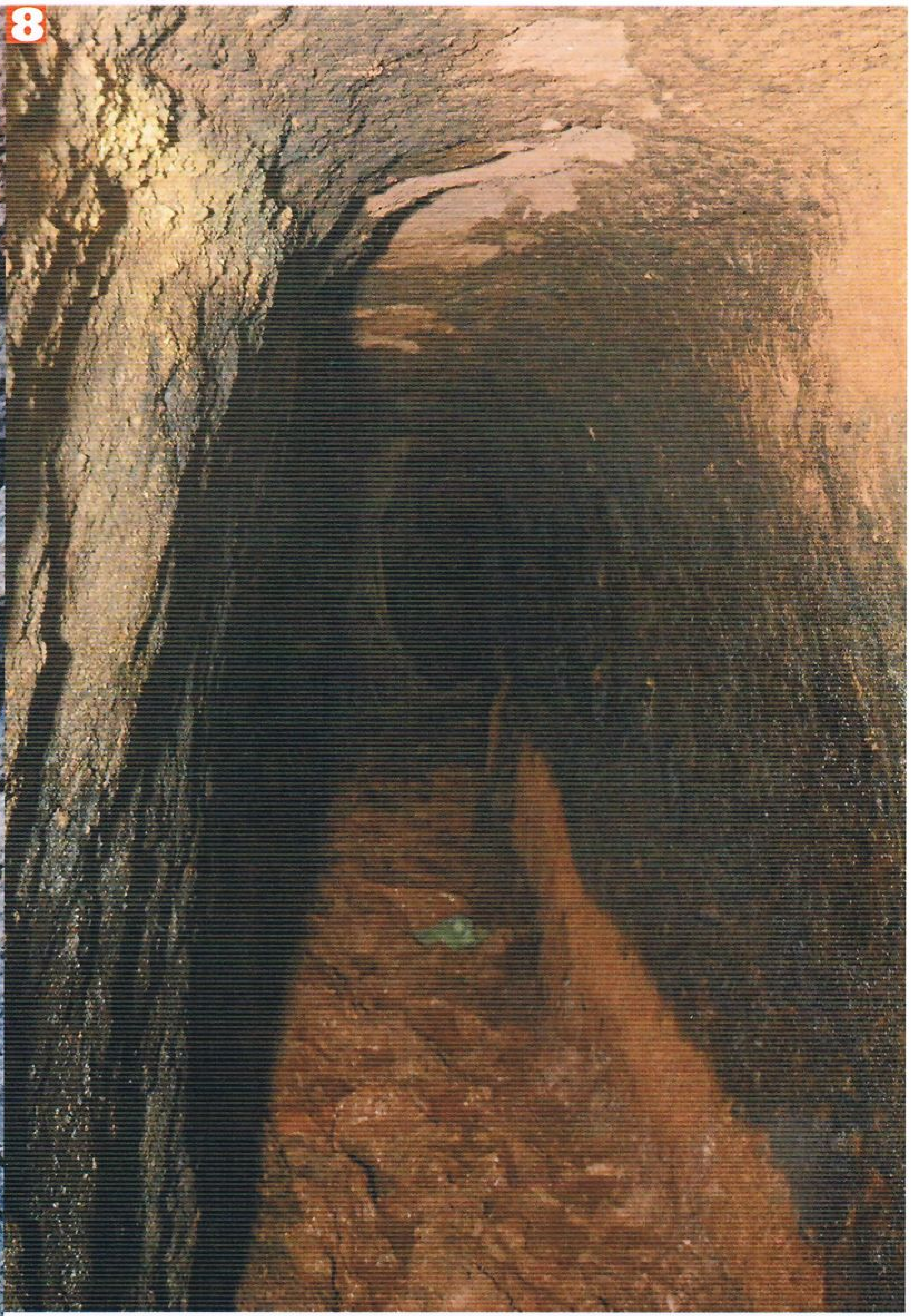

8

REKLAMA

www.pawlo.sklep.pl

OFERUJEMY WYKRYWACZE:
- GARRETT,
- XP,
- TEKNETICS,
- MINELAB,
- RUTUS

ORAZ INNYCH PRODUCENTÓW.

W NASZEJ STAŁEJ OFERCIE
POSIADAMY RÓWNIEŻ
MYJKI ULTRADŹWIĘKOWE.

FHU „PAWLO" Paweł Piec
65-124 Zielona Góra, ul. Wołodyjowskiego 8
tel.: +48 603 469 561, fax: +48 68 41 43 222, e-mail: pawel@pawlo.sklep.pl

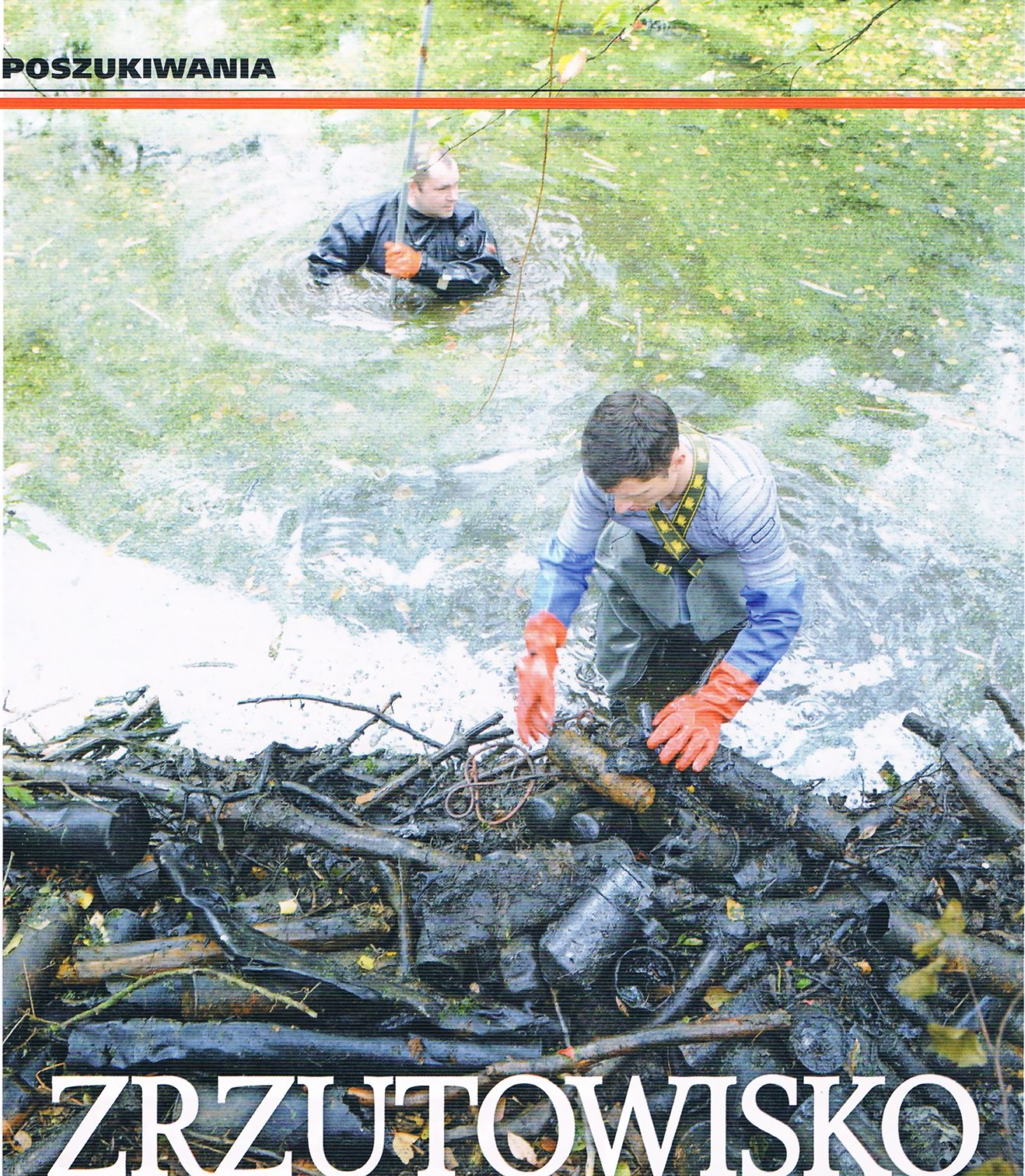

ZRZUTOWISKO NA BAGNACH

GRZEGORZ GÓRA

Efekty penetracji niewielkiego stawu pomiędzy Nysą a Grodkowem przerosły nasze najśmielsze oczekiwania!

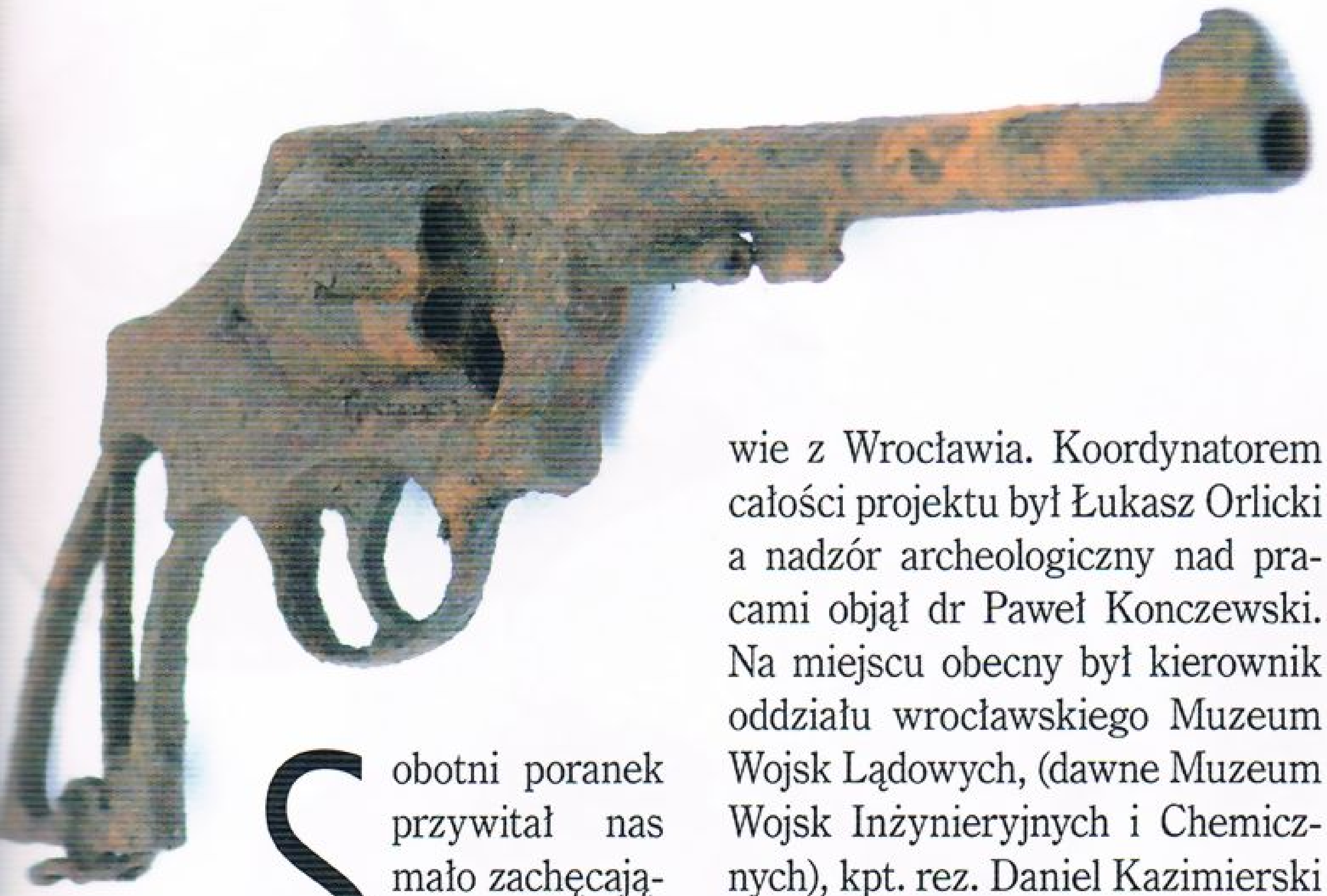

S&W 10 Rewolwer Smith & Wesson (S&W) Model 10.

Sobotni poranek przywitał nas mało zachęcającą aurą, nie napawającą szczególnym optymizmem. Jednak to, co nas czekało, sprawiało, że niska temperatura, mgła i deszcz stanowiły niegodny uwagi drobiazg. Po wielomiesięcznych przygotowaniach formalnoprawnych, mogliśmy bowiem ostatecznie rozpocząć poszukiwania, których celem była penetracja niewielkiego zbiornika wodnego położonego w głębi lasu pomiędzy Nysą a Grodkowem.

Obok **Grupy Eksploracyjnej Miesięcznika Odkrywca** w pracach udział wzięli nasi niezawodni partnerzy – GRALmarine, czyli Bartłomiej i Konrad Grynda, dr Grzegorz Kwaśniak z Państwowej Wyższej Szkoły Zawodowej w Nysie i nurkowie z Wrocławia. Koordynatorem całości projektu był Łukasz Orlicki a nadzór archeologiczny nad pracami objął dr Paweł Konczewski. Na miejscu obecny był kierownik oddziału wrocławskiego Muzeum Wojsk Lądowych, (dawne Muzeum Wojsk Inżynieryjnych i Chemicznych), kpt. rez. Daniel Kazimierski oraz współpracujący z nami przy „Operacji Lawina", badacz historii regionalnej Roman Piećko.

Na miejsce dotarliśmy o godzinie 9.00, by po krótkiej odprawie przystąpić do pracy. Według informacji uzyskanych przez Romana Piećko, w niepozornym zbiorniku wodnym miało znajdować się zrzutowisko sprzętu wojennego, zawierające destrukty broni, wyposażenie wojskowe oraz zniszczone wcześniej elementy amunicji.

Naszym pierwszym krokiem było uruchomienie generatora i pompy w celu obniżenia poziomu wody w zbiorniku oraz umożliwienie sprawnego czyszczenia znalezisk pod bieżącym strumieniem wody. Następnie rozpoczęliśmy przeczesywa- >>>

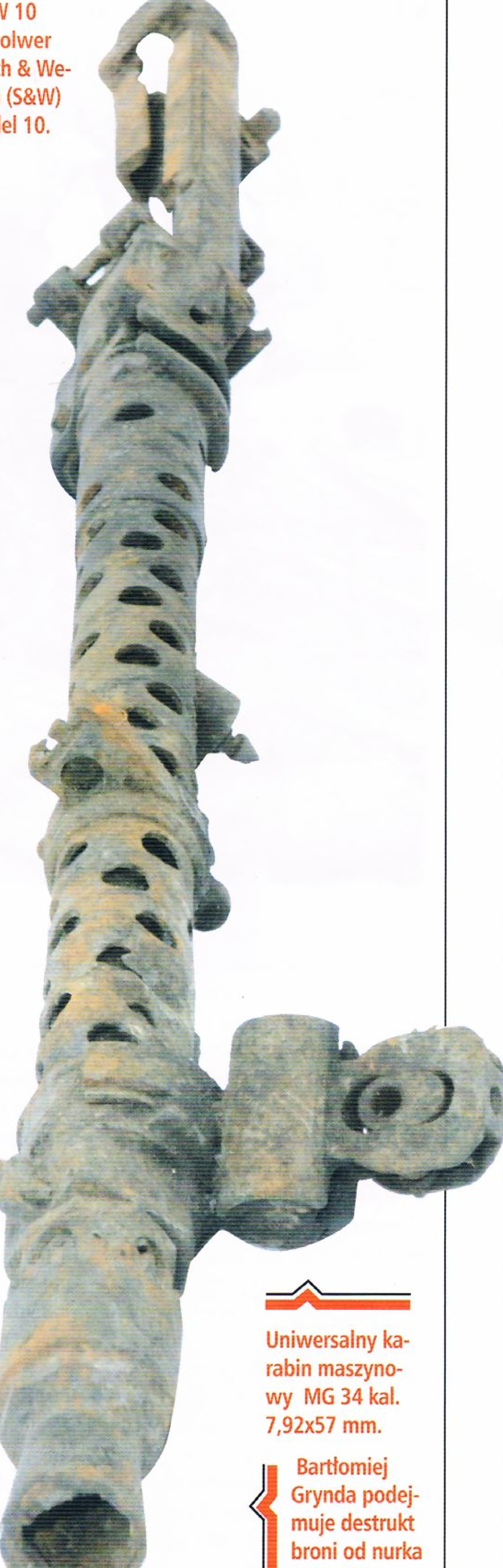

Uniwersalny karabin maszynowy MG 34 kal. 7,92x57 mm.

Bartłomiej Grynda podejmuje destrukt broni od nurka Filipa Długosza.

1
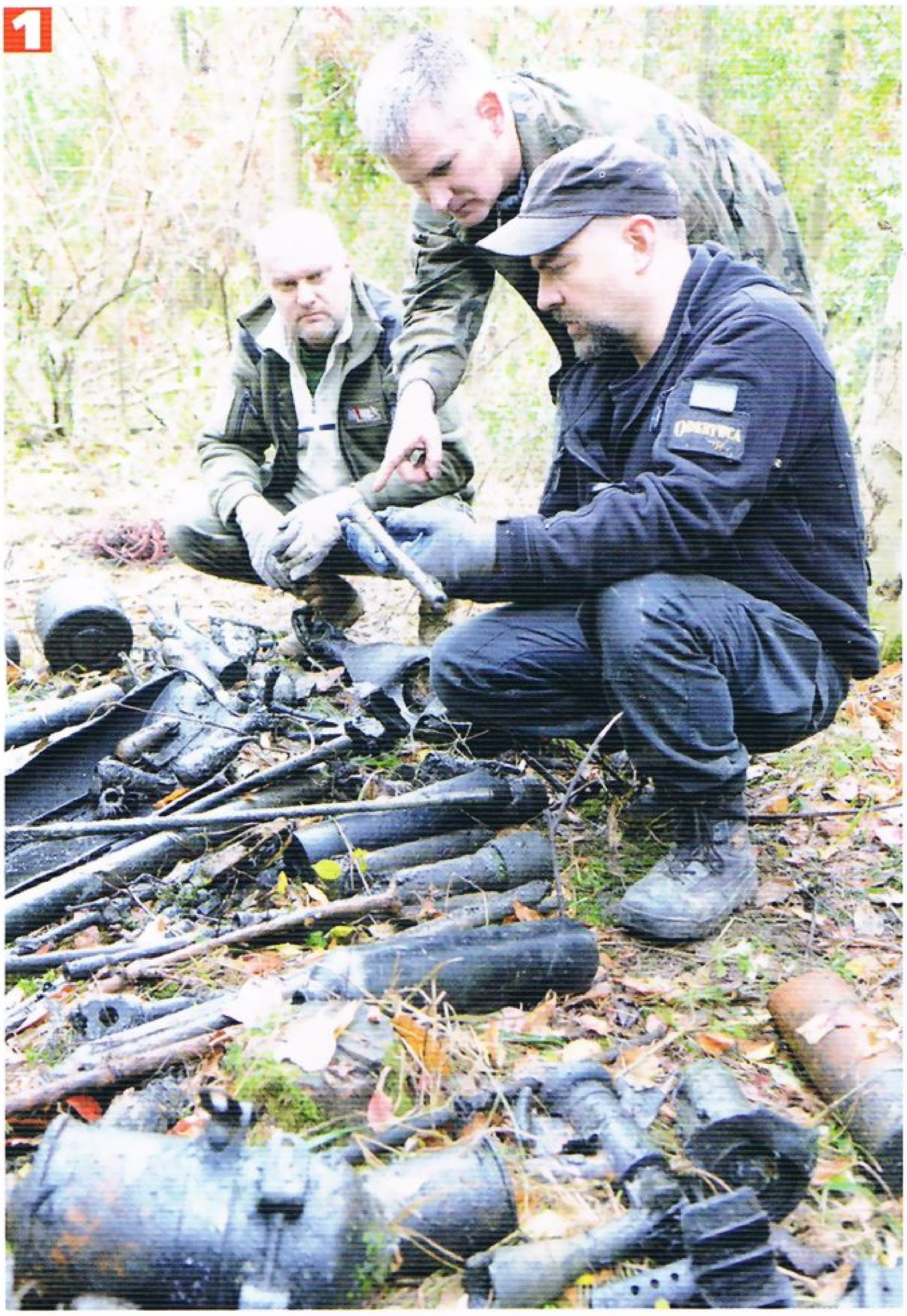

2
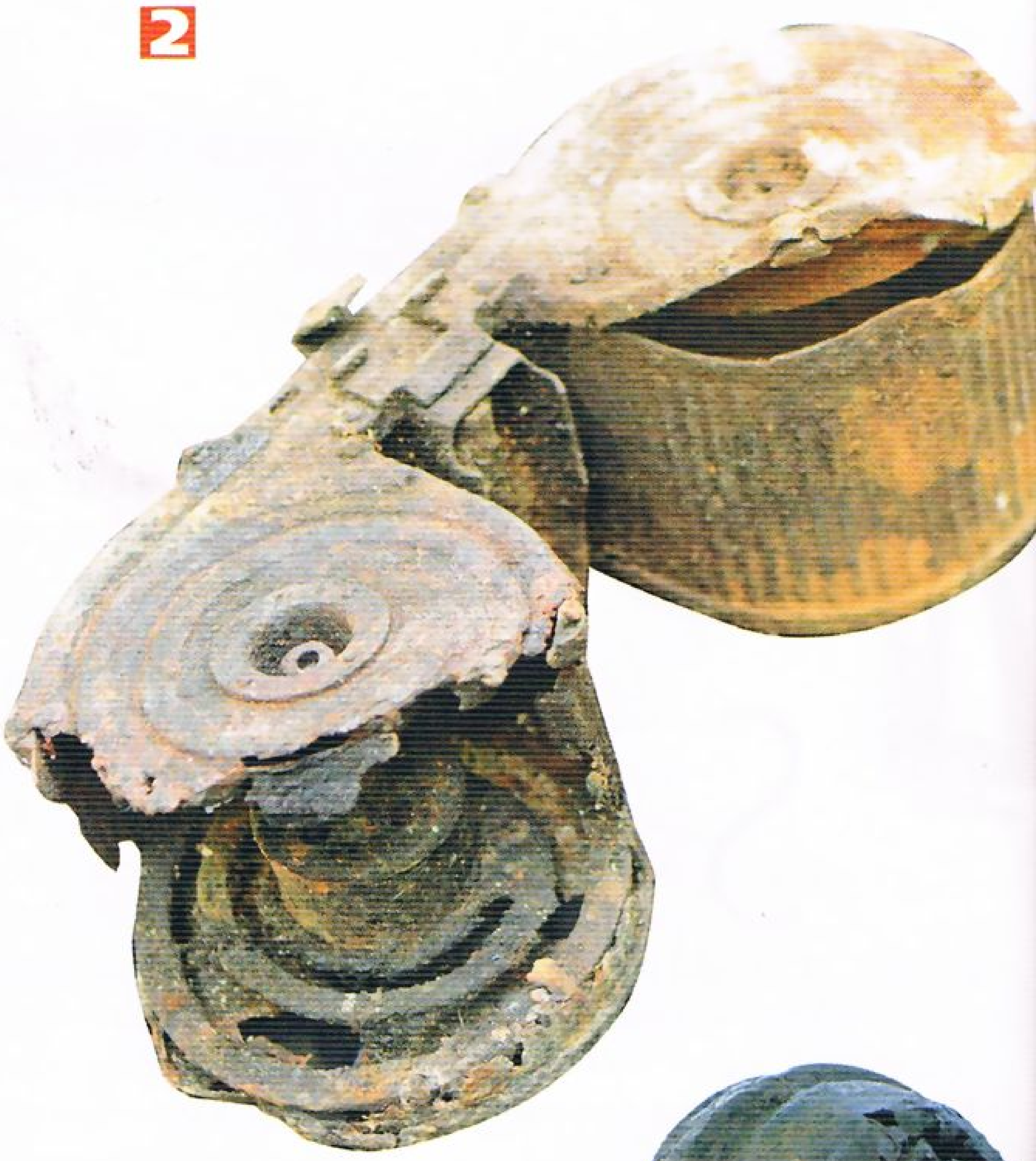

3
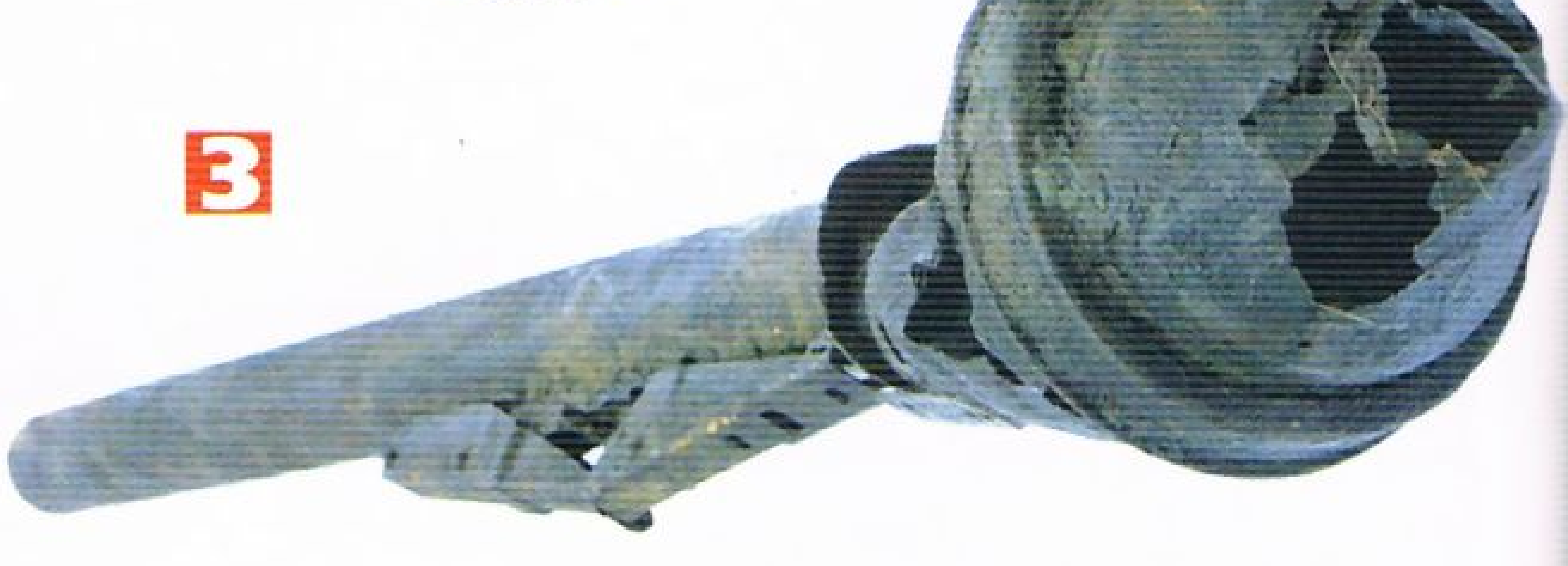

1 Daniel Kazimierski, Roman Piećko i Łukasz Orlicki identyfikują znaleziska.

2 Podwójny Magazynek do MG 34, tzw. Doppeltrommel.

3 Destrukt słynnej „pancernej pięści" – skorodowany Panzerfaust 60.

>>> nie linii brzegowej stawu. **Chwilę później, niemalże na powierzchni, odnaleźliśmy pierwsze przedmioty.** Były to pozbawione cech bojowych, zużyte łuski po pociskach artyleryjskich i karabinowych. Niedługo potem zaczęły pojawiać się innego typu znaleziska – destrukty broni – w większości szczątki karabinów **Mauser kilku typów – I i II wojennych.** Stan ich zachowania był zróżnicowany. Mniej więcej w tym samym miejscu wyłowiliśmy sporo zaworów i trudnych do zidentyfikowania elementów, prawdopodobnie samochodowych. Nieco dalej znajdowały się filtry oleju. W ich bezpośrednim sąsiedztwie pojawił się zniszczony i przełamany **destrukt niemieckiego karabinka szturmowego Stg. 44.** Jego stan wyraźnie wskazywał na to, że broń została celowo uszkodzona przed wrzuceniem do stawu. Tuż obok leżał drugi **Sturmgewehr**, tym razem w całości, lecz koszmarnie powykręcany. Idąc dalej trafiliśmy na kilka gaśnic, butli oraz rur po **panzerfaustach.** Po dwóch godzinach spenetrowaliśmy linie brzegową. Następnym ruchem było wejście do wody. Pierwszy w mroczną toń zanurzył się Maciej Kwiatkowski – na co dzień zawodowy strażak. Pełen zapału i entuzjazmu, dzielnie zmagał się z zamulonym dnem przetykanym korzeniami. Następnie do pracy przystąpił nurek Filip Długosz w asyście Daniela Kowalskiego, Konrada Bartkowiaka i Marcin Grzybały. Dopełnieniem wcześniej wydobytych rzeczy stały się **destrukty dwóch karabinów maszynowych – MG 34 i lotniczego MG-FF,** zasobnik z pustymi **skorupami bomb kasetowych** oraz magazynki niemieckie typu **Trommel i rosyjskie do Diektarewa** w wersji piechoty i czołgowej. W stawie nie znajdowały się żadnego rodzaju materiały niebezpieczne, ani też świadczące, że zostały zdetonowane na miejscu. Odnalezione przez nas magazynki były puste, podobnie jak trzy pozbawione zapalników i ładunków **Tellerminy typu 35, 42 i 43 pils.** Odnalezione przedmioty odjechały ciężarówką Gralmarine, zostały zinwentaryzowane przez nadzorującego prace archeologa dr Pawła Konczewskiego.

Po podjęciu decyzji przez WUOZ w Opolu trafią one prawdopodobnie do Muzeum Uzbrojenia w Poznaniu i wrocławskiego oddziału Muzeum Wojsk Lądowych. <

Grzegorz Góra

Redaktor miesięcznika „Odkrywca", członek grupy ekspolarcyjnej GEMO.

fot. Andrzej Daczkowski

4

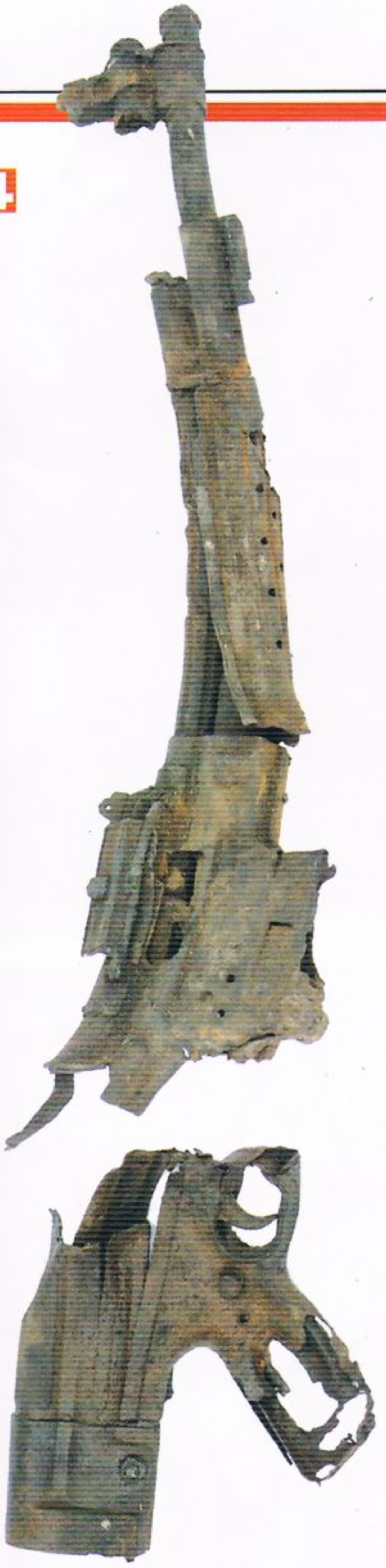

5

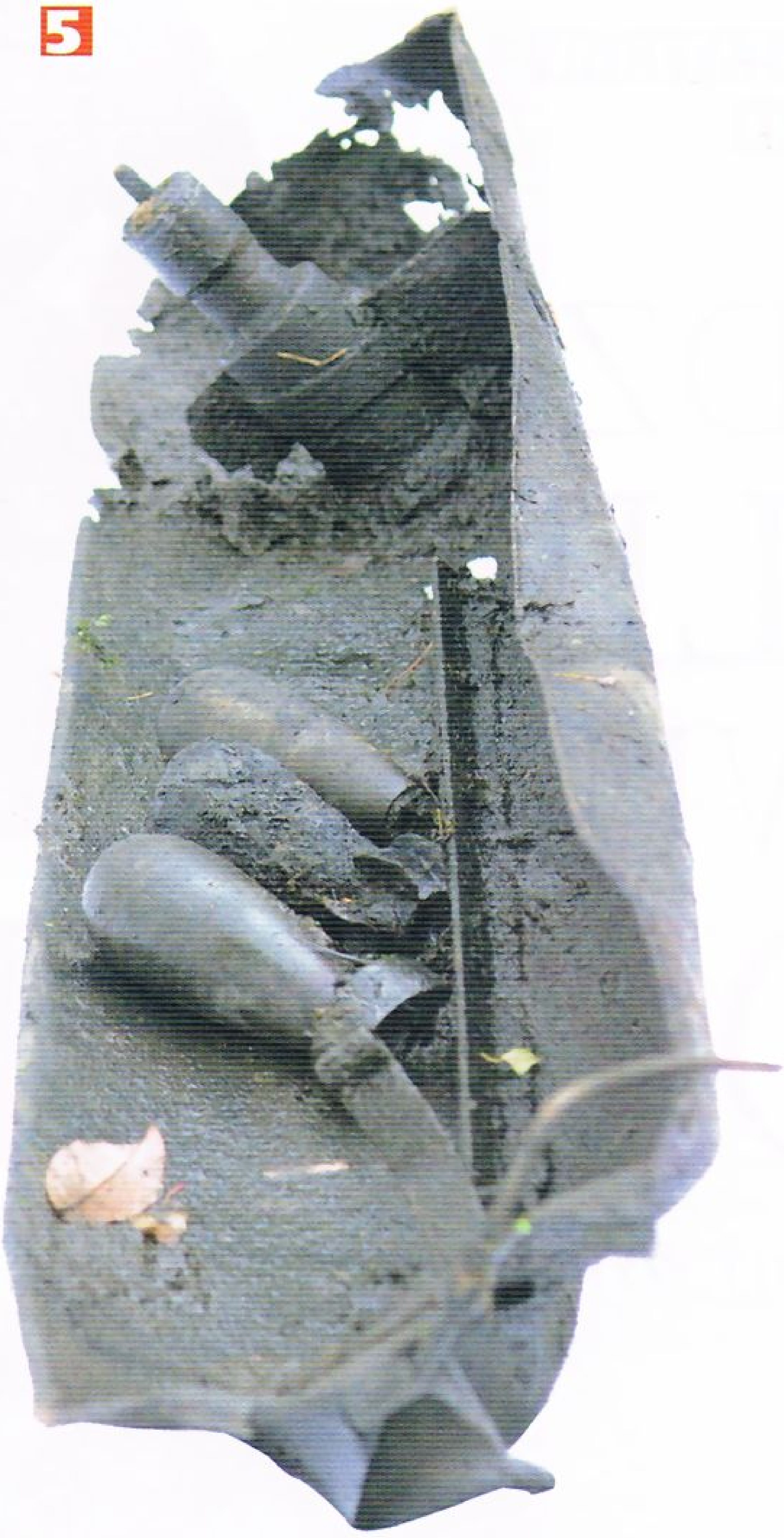

6

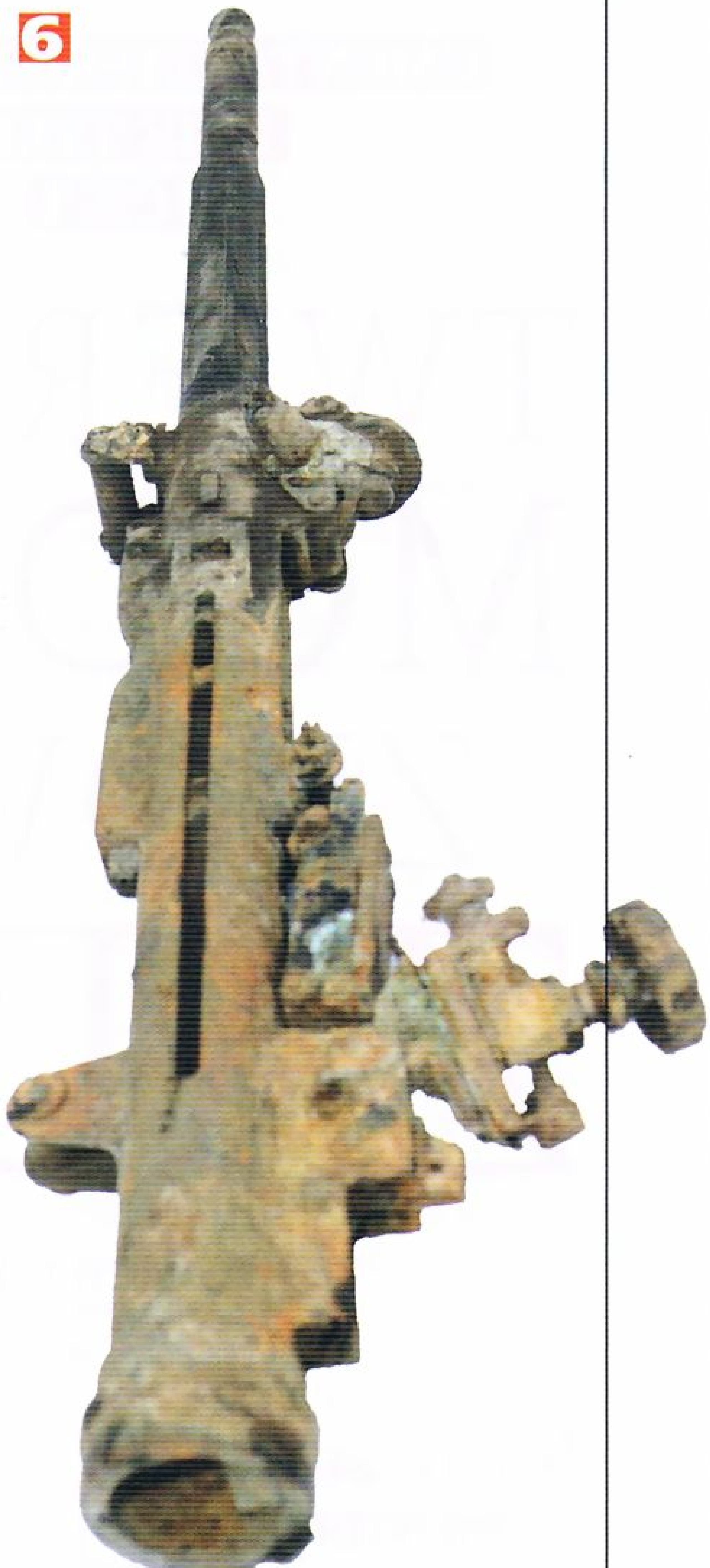

7

4 Przełamany na dwie części karabinek niemiecki Sturmgewehr 44.

5 Fragment niemieckiego zasobnika bomby kasetowej sd1.

6 Niemieckie lotnicze działko pokładowe MG-FF montowane m.in. w myśliwcach Me 109 i Fw 190. Sygnatura na elektrospuście sugeruje, że broń ta znajdowała się na wyposażeniu bombowca Dornier Do 217.

7 Dr Paweł Konczewski wraz synem kataloguje znaleziska przed załadowaniem na skrzynię ładunkową Unimoga z firmy GRALmarine

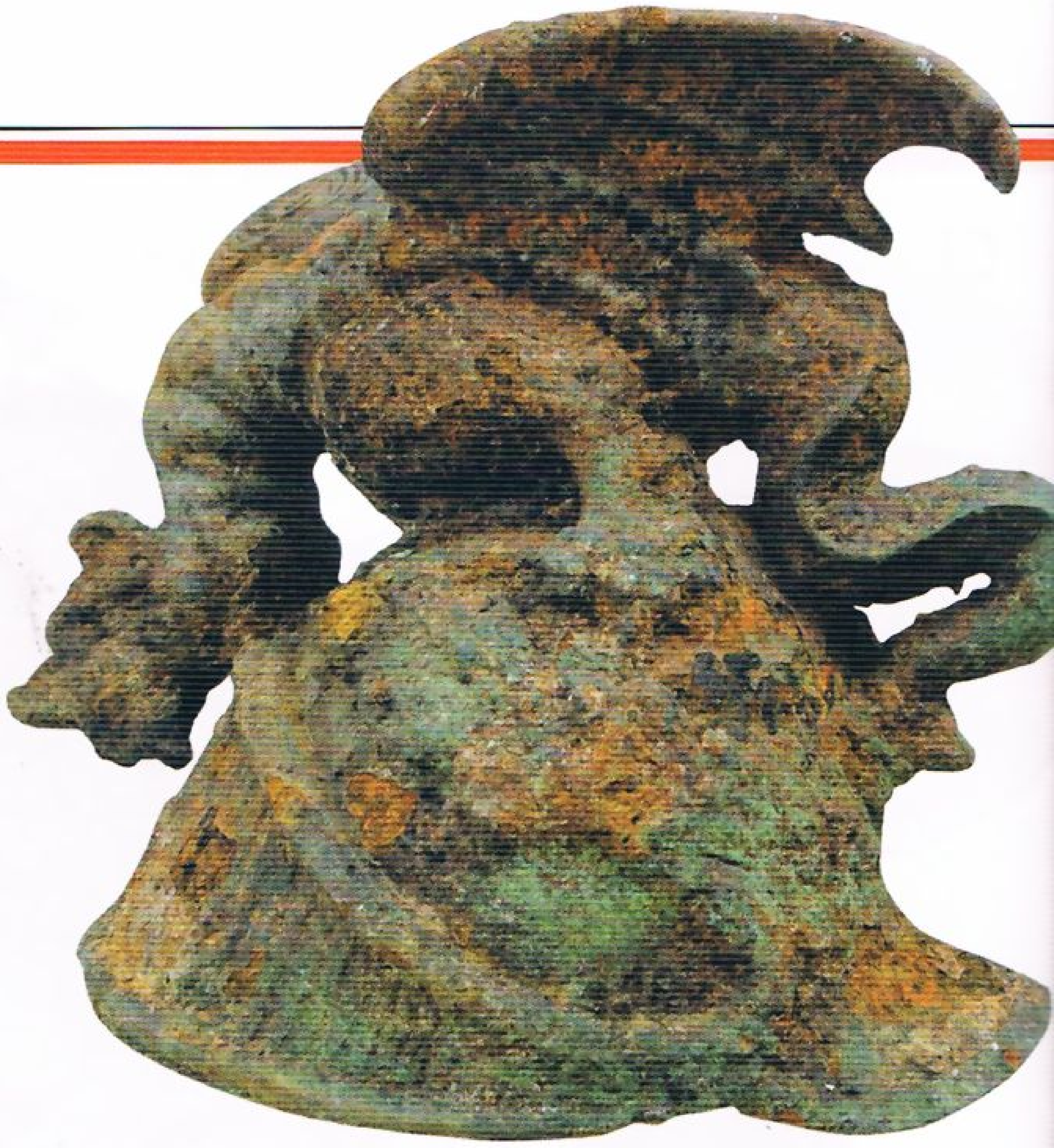

CMENTARZYSKO STATKÓW I NIE TYLKO

CZ. 1

TWIERDZA MODLIN ZNOWU ZADZIWIA!

ROBERT WIT WYROSTKIEWICZ

Mamy „antyczny" hełm, który spadł z nieistniejącej już ściany Spichlerza Zbożowego!

Rok 2015 zaskakuje odkryciami z powodu suszy i ekstremalnie niskiego stanu wód. Co prawda, często „napompowanymi" lub „przestrzelonymi", ale jednak odkryciami. Takim przykładem jest medialny statek „Bajka", który wyłonił się z Wisły i przyciągnął kamery telewizyjne. Te poruszyły sumienie wojewody mazowieckiego. Znalazły się i pieniądze, i chęć wydobycia. Przecież to miał być legendarny wiślany olbrzym-wycieczkowiec, taki rzeczny „Titanic" i to

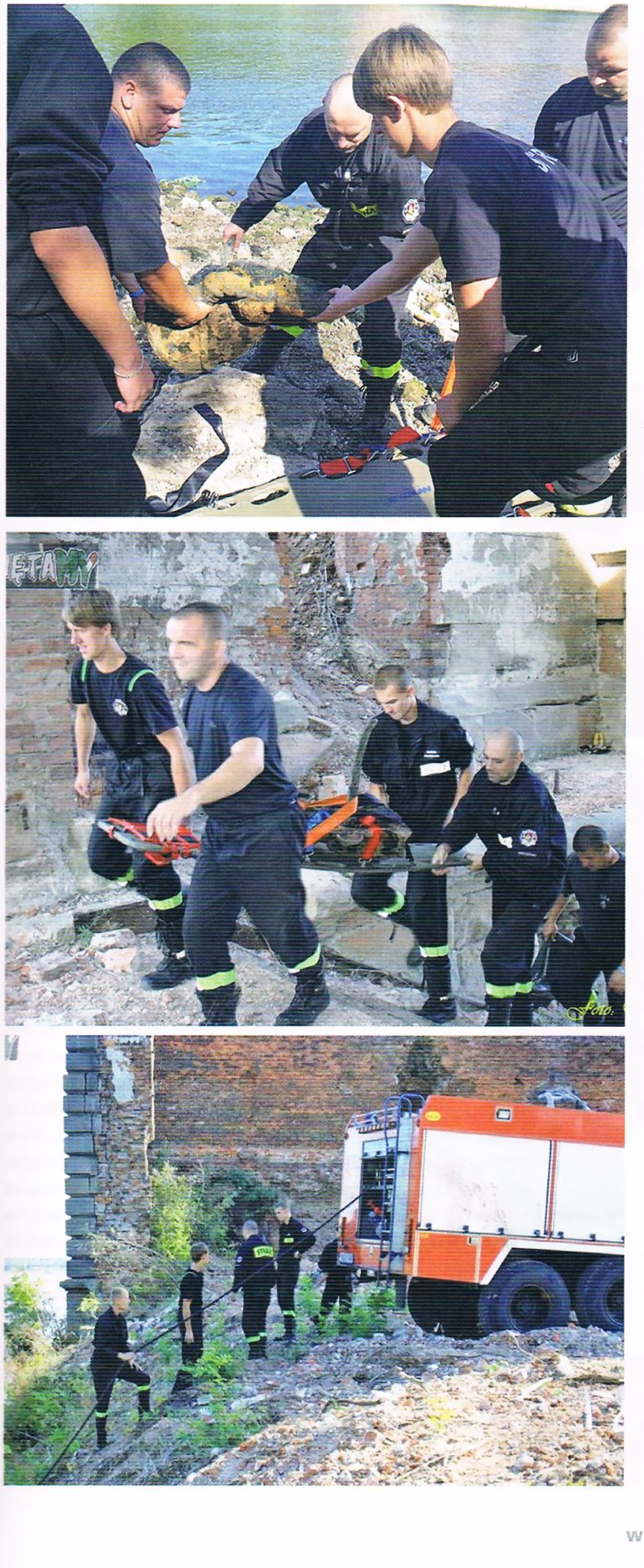

fot. KaloNDM

Ochotnicza Straż Pożarna z Nowego Dworu Mazowieckiego zmieniła program ćwiczeń, by uratować zabytek. Tym samym uczestniczyli w odkryciu zjawiskowego hełmu.

z historią powstańczą, bowiem tam nasi chłopcy, w szczątkach wraku „Bajki", chronili się, ostrzeliwali… Taka była gorąca medialna narracja. Tyle że, jak na nasze oko, nie zgadzały się wymiary statku. Nikt o tym głośno już nie mówi, ale polecamy Czytelnikom „Odkrywcy" dalsze śledzenie wątku tej historii.

Odkryciem numer dwa był parostatek na rzece Bug. Obiekt znany od lat, ale po raz pierwszy tak dobrze widoczny, przebadany i wyeksplorowany. Tym razem pasjonaci z Mazowieckiego Stowarzyszenia Historycznego „Exploratorzy.pl" byli partnerami Stowarzyszenia Naukowego Archeologów Polskich. To jak połączenie dwóch światów. Taki „miks" jest genialny i szczerze go polecamy!

W czasie tegorocznej suszy odkryta została także kolejna część zagubionych przez Szwedów zabytków w Wiśle na terenie Warszawy. Tym razem światło dzienne ujrzała m.in. piękna armata. I na deser poszukiwawczy hurt: cmentarzysko statków pomiędzy Spichlerzem Zbożowym a Twierdzą Modlin. Zanim jednak o tym, pierwszy był hełm i smok…

Zaczęło się od „antycznego" hełmu…

Z tym hełmem to było tak… Sławomir Kaliński, ani poszukiwacz, ani archeolog, taki samozwańczy regionalista i pasjonat historii Nowego Dworu Mazowieckiego, do którego administracyjnie należy Modlin, chodził po plaży, zaglądał do ruin, fotografował, opisywał w internecie, jak to robi wielu naszych przyjaciół odkrywców. Tym razem wybrał się z żoną na romantyczną przejażdżkę łódką, ale, jak to bywa z takimi ludźmi jak my, by nie płynąć „na pusto" (z całym szacunkiem dla bezcennego czasu spędzonego z płcią piękną), podpłynął pod Spichlerz Zbożowy z 1844 roku, jak ongiś mówiono – najpiękniejszy gmach Królestwa Polskiego. Tam Narew częściowo odkryła przynajmniej dwa wraki. Sławek chciał je obejrzeć, >>>

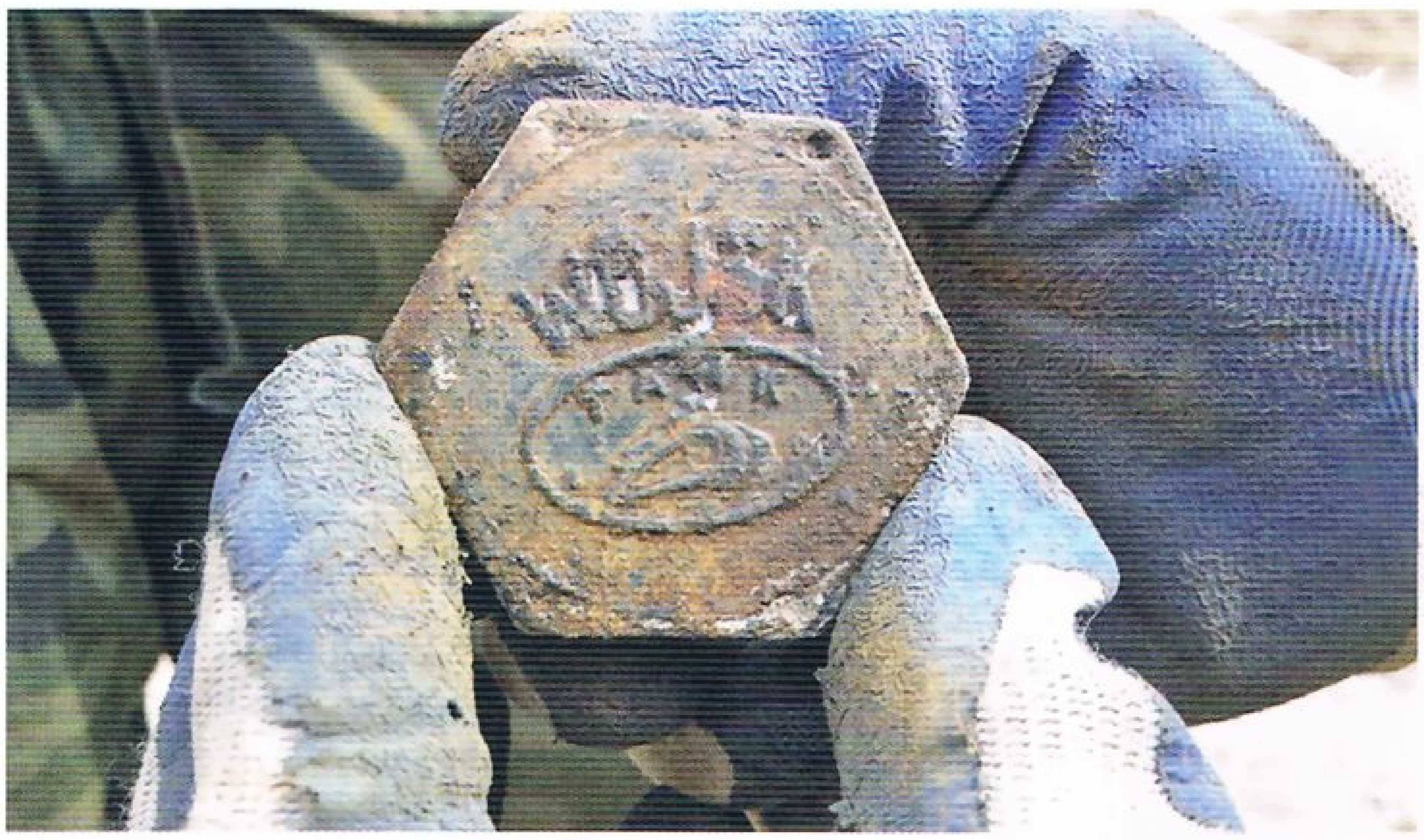

Korek WP (II RP) od kanistra na olej znaleziony wśród gruzu ceglanego.

Narew odsłoniła też zdobne fragmenty architektoniczne Spichlerza.

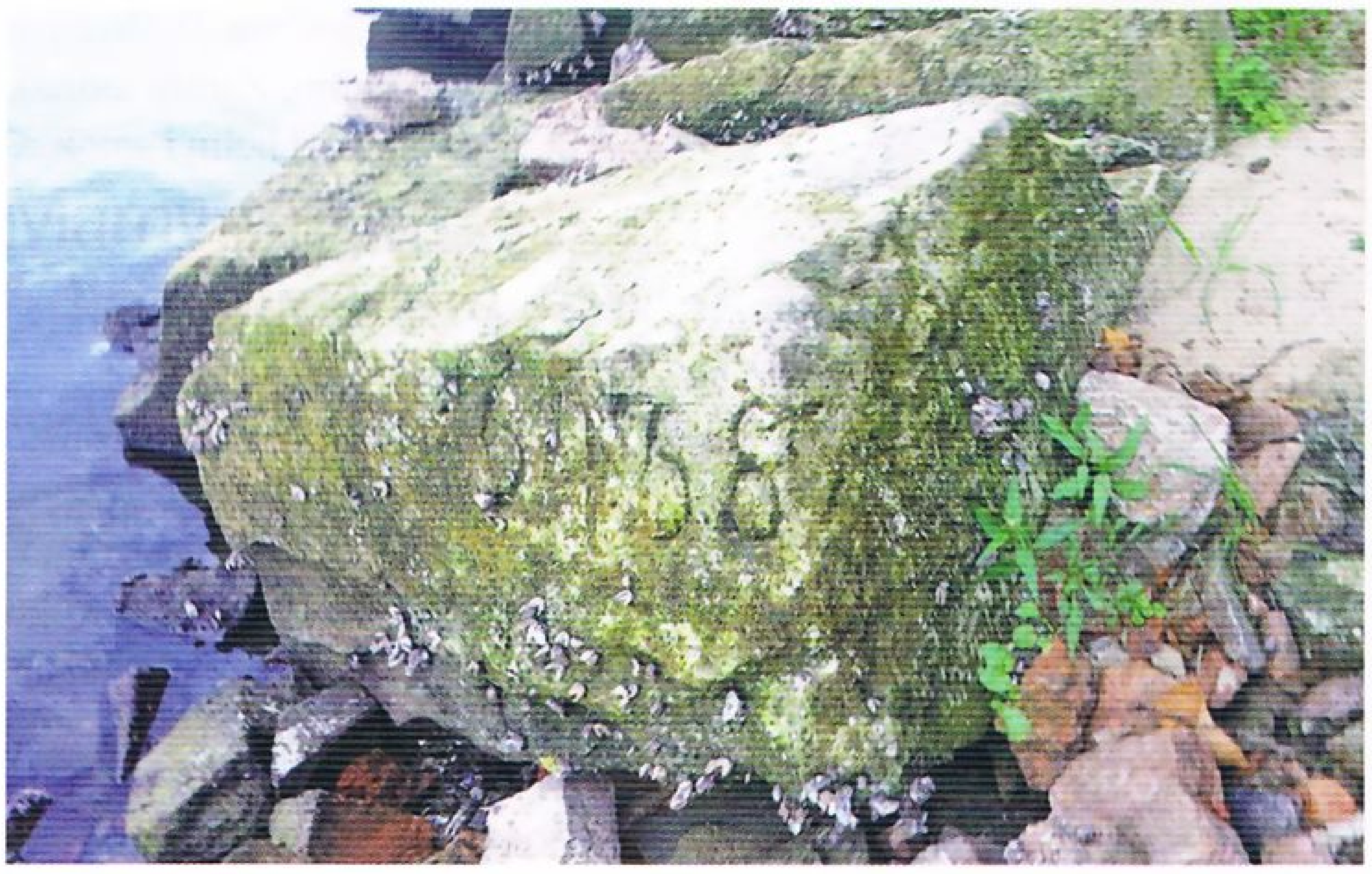

Kamienne bloki cokołów spichlerzowych były przy budowie numerowane.

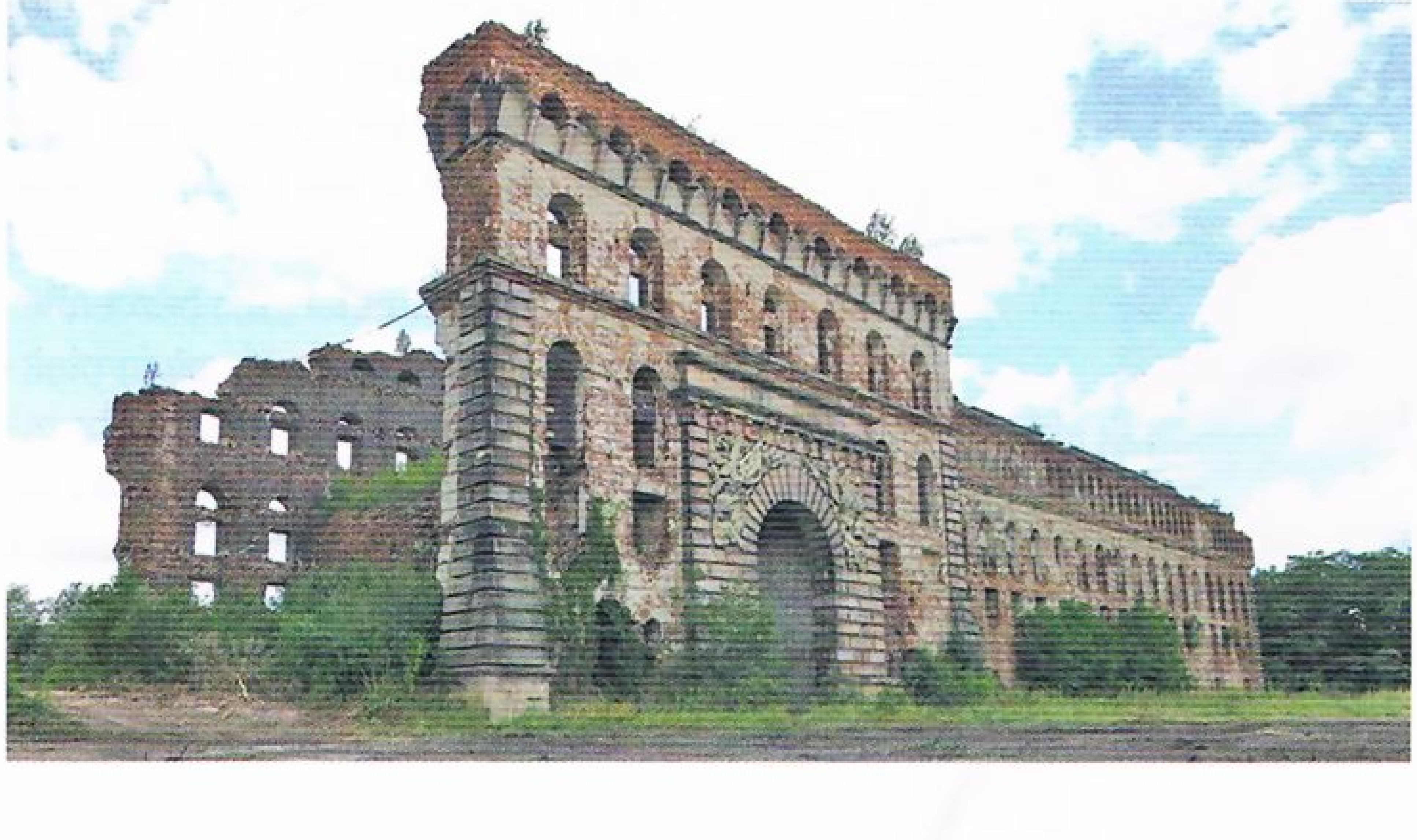

Spichlerz Zbożowy od strony zejścia się rzek Wisły i Narwi.

>>> sfotografować, opomiarować z łodzi i postukać wiosłem tu i tam na płyciźnie. Natrafił na wiele konstrukcji o regularnych kształtach. Przy brzegu jeden obiekt wydał mu się wyjątkowy. – *Porośnięty mchem przedmiot zalegał płytko. Można było go dotknąć ręką. W pierwszej chwili pomyślałem, że to dzwon. Później, że jeden z maszkaronów, które po wojnie regularnie znikały ze Spichlerza* – relacjonował odkrywca.

Co robi się w takich sytuacjach? Rygory prawne nakazują powiadomić konserwatora zabytków. Sławek zadzwonił w odpowiednie miejsce. Zgłoszenie zostało przyjęte z obietnicą zaproszenia znalazcy na wizję lokalną, by wskazał miejsce zalegania domniemanego zabytku. I faktycznie, Miejski Konserwator Zabytków w Nowym Dworze Mazowieckim zaprosił przedstawicieli Mazowieckiego Wojewódzkiego Konserwatora Zabytków i… bez informowania odkrywcy przeprowadzili wizję lokalną tego, co uznali za celowe. Tajemniczego obiektu nie spostrzegli. Przecież nikt nie zapytał nawet, w którym miejscu się znajduje. I wówczas pojawiają się pasjonaci… Czyli tam, gdzie państwo rozkłada ręce, tam jesteśmy my – odkrywcy.

Wydobycie interwencyjne

Sławek powiadomił więc Mazowieckie Stowarzyszenie Historyczne „Exploratorzy.pl", które wzięło na siebie ciężar pilotażu akcji. Zaprosił także przyjaciół z Klubu Poszukiwawczo-Eksploracyjnego „Eksplorer" PTTK Łódź-Polesie i nowej grupy założonej przez Mariusza Kańdułę o nazwie „Masovia". Na miejscu pomoc zaoferowali także strażacy z OSP w Nowym Dworze Mazowieckim, a potem także straż powiatowa i wojewódzka. A deweloper będący właścicielem zabytkowego Spichlerza? Ileż to razy słyszeliśmy o bogatych facetach niszczących zabytki. Nie tym razem. Pełne wsparcie, pozwolenie na wejście i korzystanie z obiektu

fot. RWW, Agnieszka Kapczyńska

24 godziny na dobę. Co więcej – nawet chęć zabezpieczenia zabytku, pokrycia kosztów konserwacji, a także chęć ekspozycji zabytków na Spichlerzu. Zresztą Darek to nietypowy deweloper. Kiedyś zawodowy kolarz, reprezentant Polski, dzisiaj dyrektor sportowy i organizator wyścigów kolarskich, m.in. wyścigu „Cud nad Wisłą" w Radzyminie.

Zatem ruszamy sprawdzić, co Sławek znalazł... I jeszcze jedno: cała akcja nie kosztowała publicznej i prywatnej kieszeni ani złotówki. Wszystkie działania zostały zrealizowane non profit. I to zapewne wielu osobom się nie podoba. – *Psujecie rynek* – usłyszeliśmy w różnych środowiskowych kuluarach...

Zabytek na noszach

Mamy wrzesień. Na teren akcji przyjechali poszukiwacze i właściciel Spichlerza. Do akcji przyłączyli się strażacy i regionaliści. Po wskazaniu obiektu przez Sławka niżej podpisany zdjął pomiary zalegania zabytku. Skan mapy z satelity, pomiary GPS, zdjęcie nadwodne prześwitu zabytku, zdjęcie miejsca względem Spichlerza, uchwycenie na łacie głębokości zalegania zabytku itd. To wszystko trafiło potem na papierze do WKZ.

Sprawdzamy teraz, co znaleźliśmy. Trzech mężczyzn z trudem podnosi żeliwny przedmiot i wynosi na plażę. Oczom zebranych ukazuje się cudowny „antyczny" hełm z kotwą z tyłu służącą do przytwierdzenia ozdoby do muru. Hełm w stylu przypominającym kilka zachowanych maszkaronów, które nie zostały zrabowane ze Spichlerza (dla przykładu piękne lwy zdobiące gmach zostały całkowicie rozszabrowane i to m.in. w czasach III RP). Nasz maszkaron posiada grzebień imitujący mitycznego smoka, który zdaje się z impetem spadać w dół na wroga. Zabytek jest zjawiskowy! Nie zachował się ani jeden tego typu przedmiot na Spichlerzu. Cztery istniejące hełmy mają zwykłą „kitę". Ten zapewne zdobił nieistniejącą zachodnią część budowli, która przetrwała różne zawieruchy wojenne, ale nie wytrzymała okresu po roku 1945 i jego ówczesnych gospodarzy, czyli Ludowego Wojska Polskiego, które... po prostu połowę Spichlerza zburzyło tuż po wojnie.

Tym razem brawo dla konserwatora!

Mamy więc „antyczny" hełm z fantastycznym smokiem, który spadł do wody z nieistniejącej już ściany Spichlerza. Być może został jeszcze przetoczony przez statki, kotwice i Bóg wie co jeszcze. – *Nie spałem całą noc przed wydobyciem* – mówił nam na miejscu podniecony Darek Banaszek, właściciel Spichlerza. Nie dziwię mu się, ale ta historia nie kończy się pełnym happy endem. Maszkaron, bo taką ozdobną funkcję spełniał ten kilkudziesięciocentymetrowy hełm ze smokiem, służący do przykrycia otworów wentylacyjnych Spichlerza i będący pewnego rodzaju alternatywnym rzygaczem, został, jak wspomniałem, wyniesiony z wody. OSP w Nowym Dworze Mazowieckim pomogło w obmyciu zabytku i załadowaniu na specjalne nosze. Tuż po odkryciu naszego stylizowanego na antyk skarbu, powstał problem, jak powiadomić służby konserwatorskie (już powiadomione w Nowym Dworze Mazowieckim, ale bezskutecznie, jak wspominałem wyżej). Jest weekend. Urzędy nie działają. Trudno. Niżej podpisany dzwoni na prywatną komórkę Rafała Nadolnego, Mazowieckiego Wojewódzkiego Konserwatora Zabytków. Opisuję odkrycie, dostaję podziękowania i informacje, co należy dalej zrobić i jak zabezpieczyć znalezisko. Przy interwencjach tego typu potrzeba szybkiej reakcji, a nie składania pism i uciekania od odpowiedzialności za decyzje. Powiem jedno, a mówię to nie często: *chapeau bas* przed mazowieckim konserwatorem! W poniedziałek w godzinach służbowych informuję dodatkowo miejskiego konserwatora, ale ten udaje, że pierwszy raz słyszy o maszkaronie... Pracownia architektoniczna w Nowym Dworze Mazowieckim dowozi mu później zabytek na oględziny. Za kierownicą siedzi kobieta. Dzwoni, prosząc o zejście na dół, bo sama zabytku na górę nie wniesie. Jest za ciężki. Takiej niechęci jednak nie przewidzieliśmy... Więc prosimy znowu pracowników z urzędu wojewódzkiego. Działają powtórnie bez zarzutu. Przyjeżdżają na miejsce. Dziękują za zabezpieczenie maszkarona i go zabierają... ku zdziwieniu wszystkich. Dlaczego? Jak dowiedzieliśmy się później, zabytek został zakwalifikowany jako zabytek archeologiczny znaleziony w rzece, więc... należy do Skarbu Państwa, a nie do gmachu, na którym był od połowy XIX wieku. Jednak służby konserwatorskie uspokoiły nas, że maszkaron na Spichlerz powinien wrócić. Ale jak? Po egzotycznej klasyfikacji maszkarona jako zabytku archeologicznego (to zadziwia nawet naszych zaprzyjaźnionych „twardogłowych" archeologów) trzeba będzie się wysilić... A to już kwestia pism, rękojmi, zaleceń konserwatorskich i tego piekiełka, które czasami warto przejść dla efektu finalnego. Co dalej? Pytajcie w MWKZ, a panu konserwatorowi Nadolnemu jeszcze raz dziękujemy, co czyniliśmy już w prasie, radiu i telewizji. Jak się należy, to się należy.

CDN. W numerze grudniowym miesięcznika „Odkrywca" o cmentarzysku statków między Spichlerzem Zbożowym a Twierdzą Modlin. <

Robert Wit Wyrostkiewicz

Prezes Mazowieckiego Stowarzyszenia Historycznego „Exploratorzy.pl", redaktor naczelny serwisu Archeolog.pl, uczestnik wielu prac archeologicznych i poszukiwawczych w Polsce i za granicą oraz współorganizator „Operacji Spichlerz" w Nowym Dworze Mazowieckim, współpracownik miesięcznika „Odkrywca" i tygodnika „Historia zakazana".

TUNEL POD KOŚCIOŁEM W BRZEZINACH

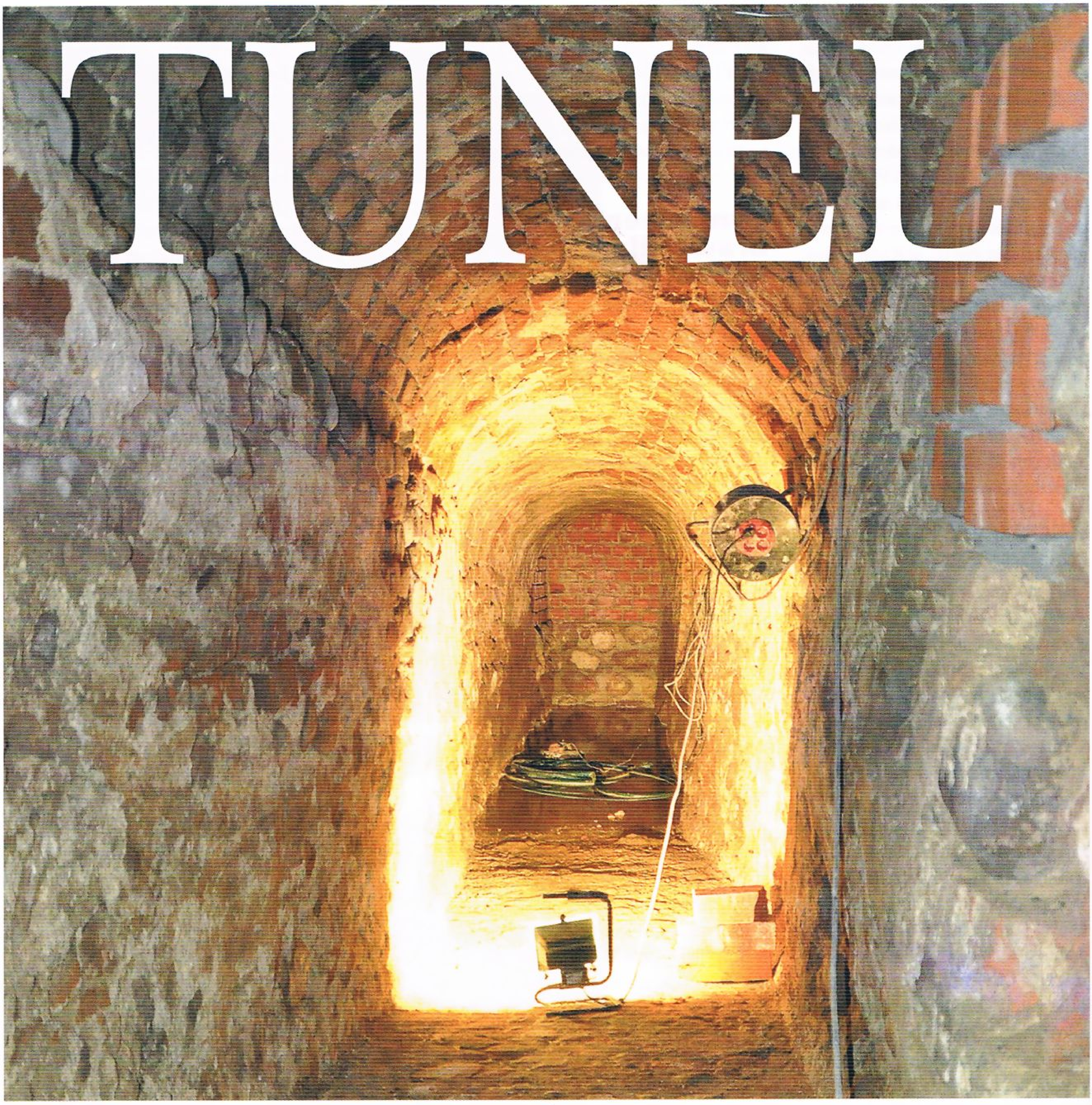

fot. Karolina Rendak

KAROLINA RENDAK

„Zobaczyliśmy korytarz i to, że ciągnie się on na długości kilkudziesięciu metrów. Dziś wiemy, że tunel ma wymiary około 2 m wysokości i 1,2 m szerokości”

Nie jest pani pierwsza – wita mnie Mirosław Kosielski z krakowskiej Pracowni Konserwatorskiej Piotra Białko, kiedy przyjeżdżam do Brzezin. Jestem w zabytkowym kościele Podwyższenia św. Krzyża i zaglądam w głąb murowanego granitowymi kamieniami korytarza, tam gdzie nadal trwają prace zabezpieczające. – *Dużo mamy gości z mediów.*

Z jednej strony się nie dziwię. Z drugiej, jestem trochę zagubiona.

W oficjalnym komunikacie prasowym z 21 września b.r. Urząd Miasta Brzeziny poinformował o odkryciu „legendarnego tunelu” pod kościołem. Temat natychmiast podchwyciła lokalna telewizja, prasa oraz portale internetowe. Jednogłośnie zagrzmiały o „tajemniczym odkryciu” czy wręcz „sensacji archeologicznej”, czym pobudziły wyobraźnię czytelników w całej Polsce. Atmosferę nieco studził portal Archeowieści , pisząc o „kilkusetletnim podziemnym korytarzu”. Na to wszystko nałożyły się bagatelizujące sprawę komentarze mieszkańców, że przecież „o tym wiedzą wszyscy”.

– *Jak to w zasadzie jest?* – pytam Błażeja Muzolfa z Zespołu Badań Konserwatorskich z Lutomierska, który kieruje badaniami w kościele. – *Mamy do czynienia z sensacyjnym odkryciem, legendą czy tajemnicą poliszynela?*

– *Sprawa jest bardziej złożona* – słyszę w odpowiedzi.

Trochę historii

Brzeziny, położone na wschód od Łodzi w dolinie rzeki Mrożycy, mają bardzo bogatą i zróżnicowaną historię. Pierwsza wzmianka o nich pochodzi z 1332 roku i, co ciekawe, już wtedy są wymienione jako miasto. W 1462 roku właścicielem Brzezin został Michał Lasocki z Lasotek herbu Dołęga.

W dzisiejszych granicach administracyjnych znajduje się kilka osobnych zespołów i praktycznie o każdym należałoby opowiedzieć. Mnie interesują tereny historycznej wsi Brzeziny, położone na uboczu w stosunku do aktualnego centrum, zwłaszcza najstarsza tamtejsza murowana budowla, Kościół Podwyższenia św. Krzyża.

Historycy twierdzą, że kościół i parafia mogły powstać już w drugiej połowie XIII wieku. Pewne zapisy sugerują nawet wiek XII. Te ostatnie nie są w żaden sposób potwierdzone, aczkolwiek takie prawdopodobieństwo istnieje. Za chwilę dowiem się, że w trakcie badań archeologicznych odnaleziono wmurowane w fundamenty kości ze zniszczonych grobów wcześniejszego cmentarza.

Tunel widoczny w całej długości, od wejścia aż do muru kościelnego.

fot. Karolina Rendak

Kościół Podwyższenia św. Krzyża, widok od ulicy Kościuszki. To pod tą ulicą przebiega tunel.

– *W 2011 roku zapadła decyzja o podjęciu prac zabezpieczających fundamenty kościoła* – opowiada Błażej Muzolf i dodaje. – *Od razu też rozpoczęły się prace, badania oraz nadzory archeologiczne wzdłuż fundamentów całej bryły. Prace prowadzone były w trzech etapach: w 2011, 2014 oraz 2015 roku. W pierwszym etapie cała uwaga została zwrócona na część południową, czyli partię fundamentową przy kaplicy Lasockich i kaplicy Matki Boskiej Różańcowej. Wtedy po raz pierwszy natrafiliśmy na sklepienie tunelu, który wychodził spod kaplicy Lasockich. A że sklepienie było już wtedy naruszone przez jakieś wcześniejsze zawały, mogliśmy się dostać i zajrzeć do środka. Wtedy zobaczyliśmy korytarz i to, że ciągnie się on na długości kilkudziesięciu metrów. Dziś wiemy, że tunel ma wymiary około 2 m wysokości i 1,2 m szerokości, czyli można było poruszać się po nim swobodnie, natomiast w momencie odkrycia był w większości zamulony.*

Odkrycia dokonano nie teraz, a w 2011 roku, w chwili, gdy rozebrano przemurowanie od strony mauzoleum i odkryto schody prowadzące do tunelu.

– *Skąd zatem ten szum medialny?* – dopytuję.

– *W tym roku nastąpił trzeci etap działań, powrócono do prac udrożnienia i zabezpieczenia tunelu, czyli podmurowania ubytków i wymiany spoin. Usunięte zostało też namulisko na odcinku około 20 metrów, do granic działki kościelnej. W tym sensie został odkopany* – wyjaśnia Błażej Muzolf.

Skąd i dokąd

Tunel prowadzi od kaplicy Lasockich w kierunku południowym, pod (biegnącą równolegle do kościoła) ulicą Tadeusza Kościuszki, nad >>>

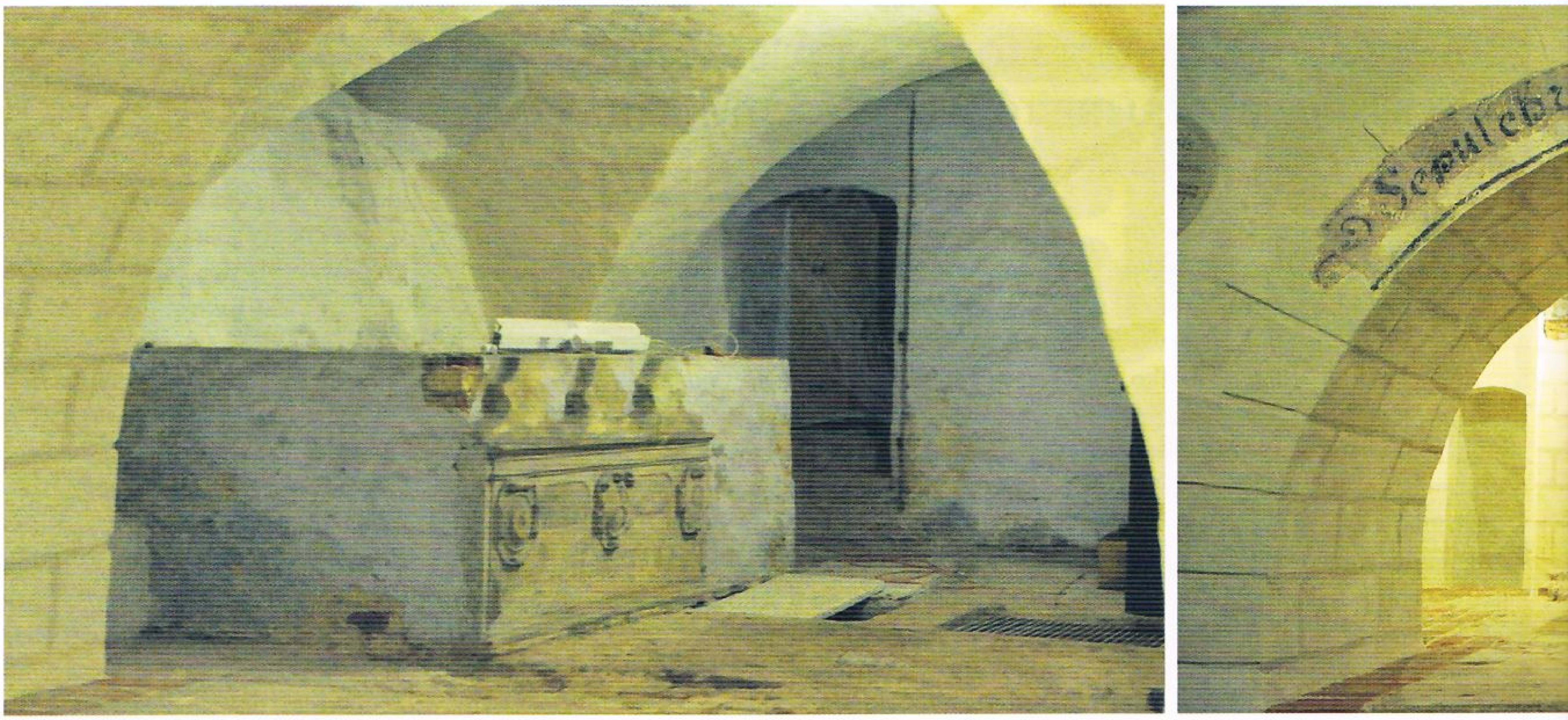

Na zdjęciach kaplica Lasockich oraz kaplica Matki Boskiej Różańcowej.

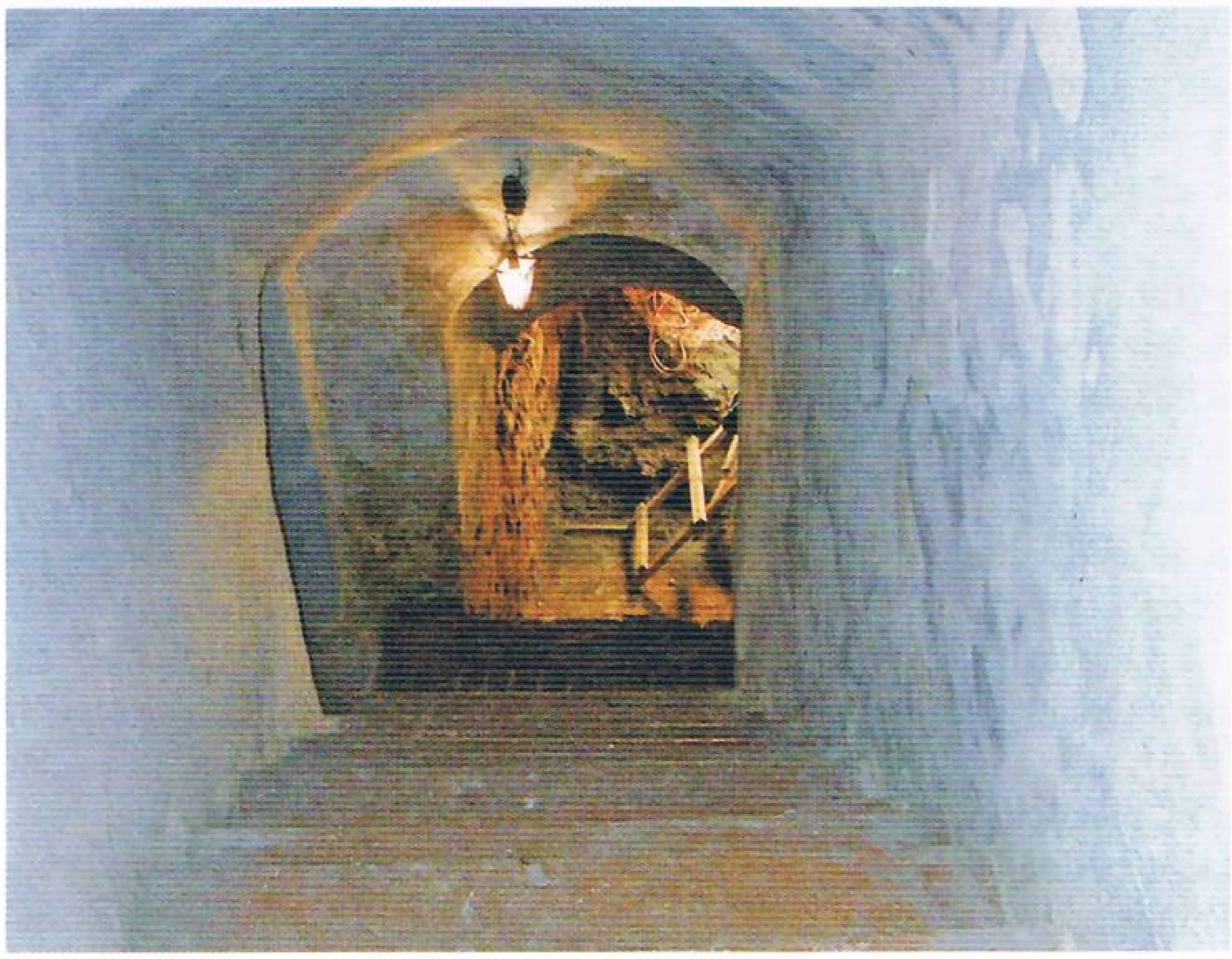

Zdjęcie wykonane w momencie odkrycia tunelu.

>>> brzeg rzeczki Mrożycy. Tam, gdzie od XVI do pierwszej połowy XVIII wieku stał legendarny „klasztorek".

Idę tuż za Mirosławem Kosielskim, nadzorującym prace zabezpieczające. Wchodzę do mauzoleum rodu Lasockich, czyli zespołu dwóch kaplic: Lasockich oraz Matki Boskiej Różańcowej. W tym momencie są one połączone, tworząc jakby drugi mniejszy kościół, równoległy do głównego, z częścią prezbiterium z ołtarzem, gdzie mogły być odprawiane msze za fundatorów całego założenia, i częścią nawy.

Kaplica Lasockich, starsza późnogotycka, nawiązuje wyglądem do Kaplicy Zygmuntowskiej na Wawelu. Miała być kaplicą rodową Stanisława Lasockiego zmarłego w 1535 roku. Za datę rozpoczęcia jej budowy przyjmuje się czasami rok 1515, ale bliższy prawdy wydaje się rok 1530. Renesansowa kaplica Matki Boskiej Różańcowej została dostawiona kilkadziesiąt lat później, na przełomie XVI i XVII wieku, po śmierci Jana Lasockiego. W trakcie tej rozbudowy i przebudowy powstał także tunel prowadzący poza teren kościelny prosto do dziś już nieistniejącego murowanego budynku, nazywanego „klasztorkiem", gdzie najprawdopodobniej osadzone były zakonnice, które opiekowały się na co dzień mauzoleum Lasockich.

fot. Karolina Rendak, Błażej Muzolf

REKLAMA

www.wykrywacze24.pl

POLECAMY SZEROKI WYBÓR DETEKTORÓW
DLA KAŻDEGO POSZUKIWACZA

JESTEŚMY DYSTRYBUTORAMI MAREK

DORADZAMY...SPRZEDAJEMY...SERWISUJEMY...
tel. 660 797 830, e-mail: El-car@tlen.pl
72-200 Nowogard, ul. 3 Maja 44
TEKNETICS Metal Detectors
Whites
GARRETT
DETECH
Nokta
Fisher Labs
XP
MINELAB

Kości znalezione podczas oczyszczania tunelu; były wmurowane w fundament.

– Odległość między kryptą a budynkiem, w którym najprawdopodobniej było wyjście, to około 40-50 metrów – wyjaśnia mi Błażej Muzolf. *– To jest jedyny taki tunel znany na obszarze polski środkowej i nie tylko. To właśnie stanowi jego sensacyjną wartość.*

A co z legendami?

Brzeziny, chyba jak każda mała społeczność, ma regularnie powracające ulubione opowieści z motywem tajemnicy i wątkiem różnego rodzaju przejść. O tunelach pod miastem mówiono w latach 80. i 90. Pojawiały się przekazy, brzmiące bardzo wiarygodnie, że jeszcze w latach 50. i 60. można było zajrzeć a nawet wejść do podziemnych korytarzy.

Pierwsza drukowana informacja o tunelu pochodzi już w połowy XIX wieku i została spisana przez ówczesnego proboszcza, księdza Szalewicza, miłośnika historii brzezińskich. Wspomina on o legendarnym połączeniu klasztorku z kościołem. Bardzo interesujące jest dalsza lektura. Tunel rzekomo miał biec dużo dalej, aż do zamku Lasockich, znów dziś nieistniejącej siedziby rodu.

No cóż, pierwsza część legendy stała się faktem. Z drugą częścią sprawa wydaje się trudniejsza. Potwierdzony historycznie zamek datowany na XVI wiek mieścił się w samym centrum dzisiejszych Brzezin. Jest to odległość kilkuset metrów od Kościoła Podniesienia św. Krzyża, a linia łącząca przechodzi dodatkowo pod doliną rzeki Mrożycy. Tunel tak biegnący wydaje się mało prawdopodobny. Nie można go jednak całkowicie wykluczyć. W latach 80. w trakcie badań archeologicznych nad reliktami założeń zamku Lasockich natrafiono między innymi na fragmenty, które zostały wówczas również określone jako „tunele". Prac nie kontynuowano, a szkoda. Może warto dziś do nich wrócić? Kto wie...

Przyszłość

W przyszłości odkryty fragment tunelu zostanie zabezpieczony poprzez podmurowanie oraz wymianę zmurszałych fug pomiędzy cegłami i kamieniami. Wcześniej jednak należy go osuszyć ze względu na dużą wilgotność, skraplającą się na ścianach i suficie. Dodatkowy problem stanowi wpływająca do tunelu woda, która pojawiła się w momencie odkopania. Najprawdopodobniej wiąże się to wyższym poziomem rzeki Mrożycy, która na tej wysokości ma zrobiony sztuczny zalew.

– Jak potoczą się losy tunelu znajdującego się poza murem kościelnym? – pytam jeszcze Błażeja Muzolfa.

– Trudno powiedzieć. Do dyskusji musi zostać wprowadzona Generalna Dyrekcja Dróg Krajowych i Autostrad, droga należy do nich. Trzeba przeprowadzić szereg prac eksperckich, analizy wytrzymałości nawierzchni. Ulica Kościuszki to ruchliwa trasa, a wiemy już, że kawałkiem nic pod nią nie ma. Trzeba zapobiec zarwaniu terenu i katastrofie budowlanej. Dopiero dalszym etapem prac będzie odsłonięcie ewentualnego wyjścia z drugiej strony i być może udrożnienie całości.

Karolina Rendak
Wchodzi wszędzie, gdzie może. Jak nie może, wchodzi tym bardziej. Wielbicielka tajemnic i historii. Pisze i fotografuje.

YLAVIA

IŁAWSCY PASJONACI HISTORII

RAFAŁ KOCIĘDA

Stowarzyszenie Badaczy Historii Deutsch Eylau „Ylavia” może się pochwalić odkryciem już kilkuset zabytków

1

2

3

4

5

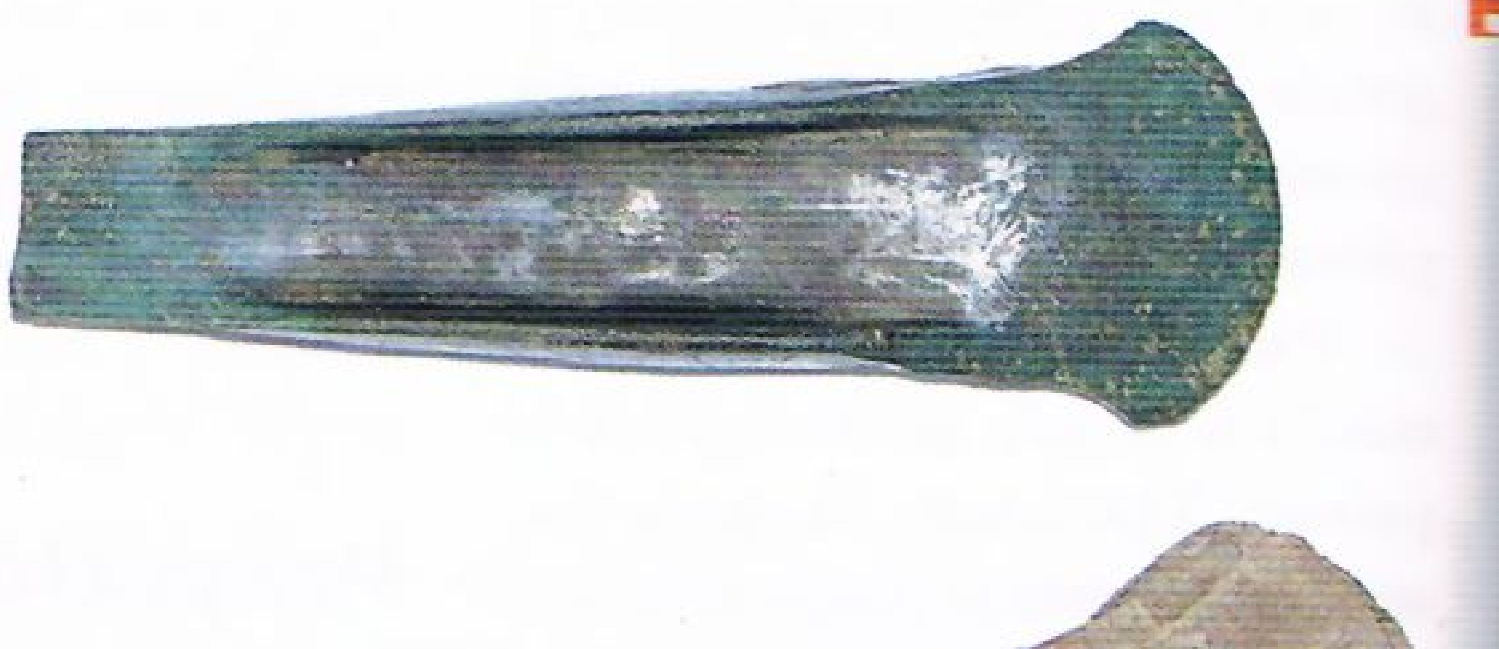

W moim debiucie na łamach miesięcznika „Odkrywca" nie będę roztrząsał formalno-prawnych aspektów poszukiwań skarbów, lecz chciałbym pasję tę przedstawić przez pryzmat działalności pewnego stowarzyszenia. Przedstawię fakty, a ewentualne opinie i wnioski pozostawiam Wam.

Stowarzyszenie Badaczy Historii Deutsch Eylau „Ylavia"[1] powstało w 2006 roku z inicjatywy grupy przyjaciół, których połączyła wspólna pasja odkrywania historii ich rodzinnego miasta Iławy. Iława to niewielkie senne miasto w województwie warmińsko-mazurskim, którego historia, jeśli wierzyć literaturze, nie obfitowała w szczególne wydarzenia. Jak wiemy, wspólne pasje łączą ludzi bez względu na wiek, pochodzenie czy status materialny, i tak też było w naszym przypadku – ot, historia jakich wiele. **Pierwszy raz oficjalnie zaistnieliśmy w 2005 roku**, organizując wystawę historyczną z okazji 700-lecia nadania praw lokacyjnych Iławie. Wystawa cieszyła się dużym zainteresowaniem, nie tylko ze względu na ilość eksponatów, ale przede wszystkim z powodu niepowtarzalnej okazji ujrzenia tylu zabytków związanych z przedwojenną Iławą, zebranych w jednym miejscu. Niestety, w Iławie nie ma muzeum czy choćby izby regionalnej. Wielu zwiedzających wyrażało zdziwienie, że autorami wystawy są osoby prywatne, a nie samorząd miejski. Padło wiele słów uznania, były też sugestie, aby grupa przyjęła jakąś formę organizacyjną. To zadecydowało o powołaniu stowarzyszenia.

Naszym głównym statutowym celem jest poszukiwanie i kolekcjonowanie porzuconych lub zagubionych pamiątek, przedmiotów datowanych do roku 1945, związanych z Iławą i okolicznymi miejscowościami. Dlatego najwięcej czasu poświęcamy na prowadzenie poszukiwań przy pomocy wykrywaczy metalu, nadzorowaniu wykopów budowlanych i rozbiórek starych kamienic oraz monitorowaniu aukcji internetowych, jarmarków, targów staroci itp. Kolejnym źródłem pozyskiwania artefaktów jest wymiana z innymi regionalistami. Nasza pasja to nie tylko poszukiwania zabytków. Oddzielnym zadaniem jest zbieranie informacji o przedwojennej Iławie.

15 lat z piszczałką

Tak naprawdę to z wykrywaczami nie rozstajemy się od 2000 roku. Oczywiście na początku nie było mowy o żadnym pozwoleniu, a kwestia legalności była tematem tabu. Jednak będąc już grupą formalną, mającą pewne sukcesy, postanowiliśmy zalegalizować poszukiwania. Był rok 2008 i coraz głośniej mówiło się o problemie nielegalnych poszukiwaczy. Czasy beztroskiego chodzenia z „piszczałką" bez rozglądania się wokół bezpowrotnie minęły. Postanowiliśmy spróbować uzyskać błogosławieństwo Wojewódzkiego Urzędu Ochrony Zabytków, tym bardziej, że jeden z iławskich poszukiwaczy wprawił nas w osłupienie, pokazując taki glejt! A więc można! Niemożliwe stało się faktem! Dlatego zebraliśmy wszystkie podziękowania, listy gratulacyjne, wyróżnienia i dyplomy, wysupłaliśmy z szuflad i kartonów wszystko, co nosiło znamiona zabytku, opisaliśmy naszą działalność, wypełniliśmy wszelkie wymagane wnioski oraz formularze – i cały ten kram złożyliśmy w sekretariacie Wojewódzkiego Urzędu Ochrony Zabytków w Olsztynie Delegatura w Elblągu. **Wczesną wiosną 2008 roku otrzymaliśmy pierwsze tak upragnione pozwolenie na poszukiwania.** Wprawdzie ważne tylko w obrębie kilku miejsc powiatu iławskiego, ale było! Muszę tu podkreślić bardzo istotny fakt wydatnej pomocy ze strony Muzeum Warmii i Mazur w Olsztynie, które poparło nas w uzyskaniu pozwolenia i pozytywnie zaopiniowało nasz dotychczasowy dorobek.

Już wkrótce współpraca ta miała okazać się korzystna dla obu stron.

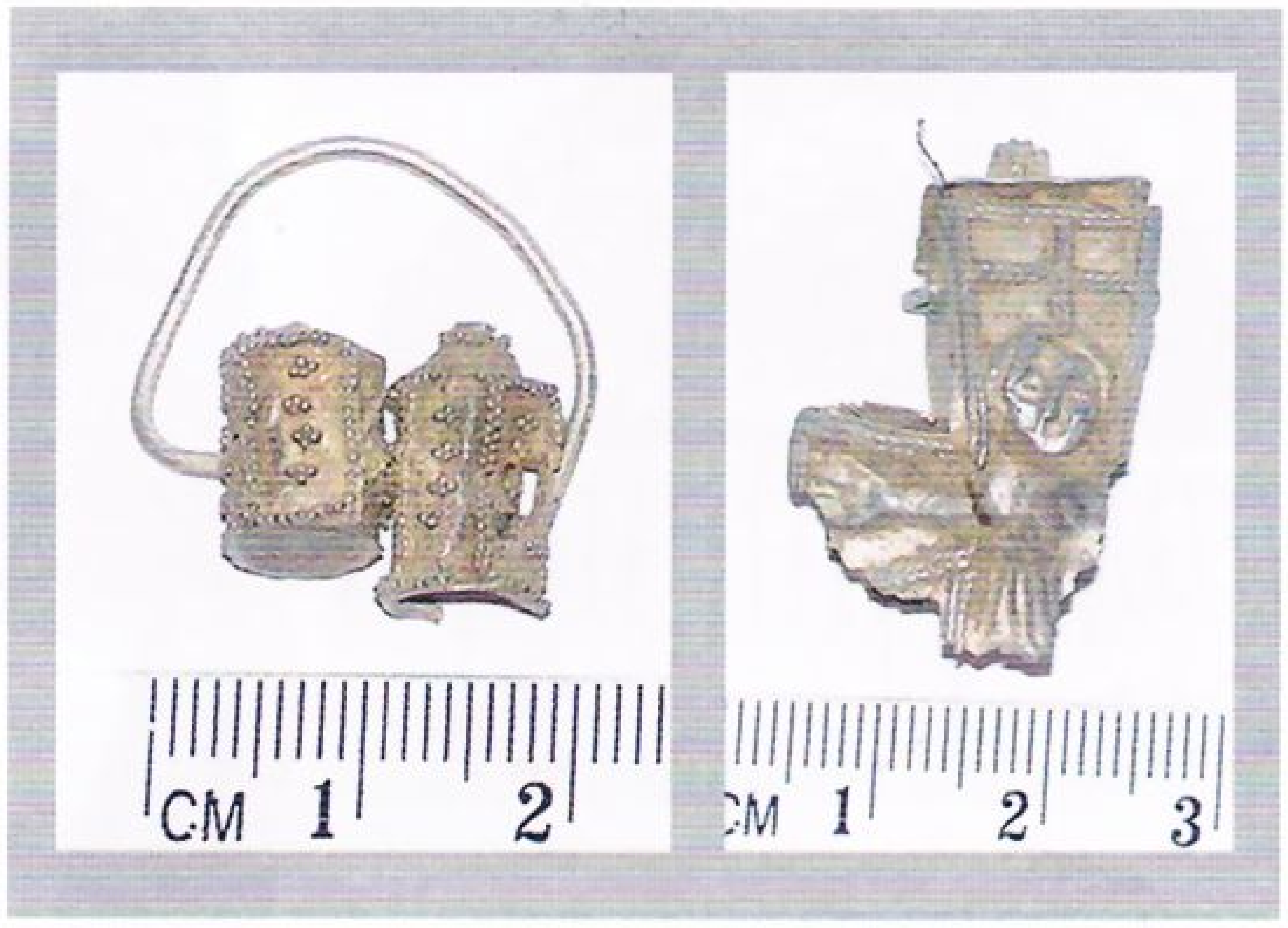

Część skarbu z Mózgowa. Kolczyk.

Obok: Fragment srebrnego enkolpionu.

1 Bransoleta celtycka.

2 Zapięcie naszyjników pierścieniowych. Epoka brązu.

3 Dolne okucie pochwy miecza, tzw. trzewik.

4 Średniowieczna ołowiana plakietka pielgrzymia.

5 Dwie siekierki z epoki brązu.

fot. Stowarzyszenie Badaczy Historii Deutsch Eylau „Ylavia"

Stowarzyszenie „Ylavia" przekazało bowiem olsztyńskim archeologom zabytki, których rangi naukowej nie sposób przecenić.

Co w trawie piszczy?

Stowarzyszenie Badaczy Historii Deutsch Eylau „Ylavia" może się pochwalić odkryciem kilkuset zabytków. Pierwszy rok współpracy z WUOZ, a właściwie 5 miesięcy 2008 roku, zaowocował dziesięcioma zabytkami. **Wśród nich była bransoleta celtycka, zabytek na tyle rzadki i cenny dla badaczy kultury celtyckiej w Polsce, że doczekał się opracowania naukowego**[2]. Rok 2009 to już 85 zabytków, w tym najcenniejsze to dwa unikatowe na skalę krajową okucia pochew mieczy z X i XI wieku (jeden trzewik proweniencji skandynawskiej), fragment enkolpionu z XI wieku i grot włóczni z XIV wieku. Przekazaliśmy także do muzeum skarb 31 monet rzymskich odkrytych na terenie Iławy w latach 80. XX wieku, który wykupiliśmy od znalazcy. Kolejny rok poszukiwań przyniósł 105 zabytków. Oczywiście nie obeszło się bez kolejnych ciekawostek. Największe z nich to trzy strzemiona wczesnopruskie, toporek kamienny, toporek z brązu, fragment klingi sztyletu z brązu i średniowieczna plakietka pielgrzymia. **Następne sezony to: w roku 2012 – 20 zabytków, w 2013 – 33 zabytki i w 2014 – 4.** W tych latach dominowała epoka brązu i najciekawszymi znaleziskami były 2 siekierki, sierp i dwa zapięcia >>>

Dirhem arabski.

Dolne okucie pochwy miecza, tzw. trzewik. IX-X wiek, proweniencja skandynawska.

Część skarbu z Mózgowa. Srebrne denary z X i XI wieku.

>>> naszyjników obręczowych. Inną ciekawostką było strzemię wczesnośredniowieczne. Poza wspomnianymi przedmiotami, przekazaliśmy także szereg pomniejszych znalezisk, jak numizmaty, fibule, ozdoby i przedmioty codziennego użytku, które pozwoliły rzucić nowe światło na pradzieje naszego regionu. **Łącznie do końca 2014 roku przekazaliśmy 298 zabytków, nie licząc przedmiotów z trzech skarbów.** Sukces „Ylavii" to także zorganizowanie pięciu wystaw historycznych, odkrycie nieznanego historykom i archeologom obronnego wału pruskiego, osady, grodziska oraz cmentarzyska z okresu wpływów rzymskich. Zlokalizowaliśmy trzy nieoznakowane mogiły żołnierzy niemieckich z okresu II wojny światowej, z których ekshumowano szczątki 19 osób. Poszukiwania to także kilkanaście składów niewybuchów i niewypałów, z których saperzy zneutralizowali ponad 2185 sztuk amunicji artyleryjskiej z czasów ostatniej wojny.

O skarbach słów kilka

Każdy z poszukiwaczy marzy o znalezieniu skarbu. To przecież normalne, że właśnie marzenia o skarbie są głównym motorem naszego hobby. Wielu z Was skarb już znalazło – to też wszyscy wiemy, choć nie wszyscy te skarby widzieliśmy. **Stowarzyszenie „Ylavia" odkryło 3 skarby i wszystkie 3 można podziwiać w gablotach Muzeum Warmii i Mazur w Olsztynie. Pierwszy był skarb z Mózgowa.**

We wrześniu 2010 roku w okolicach wsi Mózgowo odkryliśmy srebrny skarb złożony z 802 srebrnych monet i fragmentów ozdób z XI wieku o łącznej wadze 322,5 gramów. Znalezisko stanowiło pozostałość po depozycie odnalezionym w drugiej połowie XIX wieku. Wówczas pozyskano ponad 2000 sztuk monet i bliżej nieokreślonych ozdób. Namierzenie skarbu zajęło nam ponad dwa lata poszukiwań w terenie poprzedzonych wieloma godzi-

Zapinka z okresu wpływów rzymskich, tzw. fibula.

fot. Stowarzyszenie Badaczy Historii Deutsch Eylau „Ylavia"

nami spędzonymi na tropieniu go w dostępnych materiałach historycznych, ale też zwykłym... marudzeniu przy piwie. Odkrycie tego depozytu stało się sensacją w świecie archeologów i historyków, którzy bez wahania określili go mianem jednego z największych odkryć na terenie województwa warmińsko-mazurskiego po 1945 roku. Skarb składał się z 98 całych denarów, głównie cesarza niemieckiego Ottona III, 598 tzw. „siekańców", monet arabskich dirhemów i denarów oraz 106 ozdób i ich fragmentów, w tym unikalny na skalę europejską fragment srebrnego enkolpionu. Uroczyste przekazanie skarbu muzealnikom z Olsztyna odbyło się 11 listopada 2010 roku w sali wystawowej Iławskiego Centrum Kultury.

W sierpniu 2012 jako wolontariusze wzięliśmy udział w oficjalnych wykopaliskach w miejscu odnalezienia depozytu. Badania przeprowadził Dział Archeologii Muzeum Warmii i Mazur z Olsztyna. Oprócz nas udział wzięło kilkunastu innych poszukiwaczy amatorów z całej Polski. Kilkudniowe prace pozwoliły pozyskać kolejnych 380 elementów skarbu! Ukoronowaniem całości było naukowe opracowanie znaleziska, które ukazało się drukiem w 2013 roku. Fajna przygoda i ogromna satysfakcja!

Kolejnym skarbem było odkrycie zespołu 21 fragmentów naszyjników obręczowych z brązu związanych z kulturą kurhanów zachodniobałtyjskich datowanych na wczesną epokę żelaza. Znalezisko zupełnie przypadkowe. Smaczku dodaje fakt, iż są to pierwsze tego typu naszyjniki znalezione na terenie Pojezierza Iławskiego. Skarb został przekazany w styczniu 2012 roku.

Na trop trzeciego skarbu wpadliśmy również przypadkowo, ale w specyficznych warunkach. Znajomy rolnik opowiedział nam interesującą historię o grupie *„takich jak wy, co to od 3 lat chodzą po moim polu niczym wrony za pługiem i coś wydziobują"*. Pojechaliśmy. Dniówka spędzona na polu wyjaśniła fatygę tych „wron". To był rozorany skarb denarów rzymskich. Niestety, trzy lata penetracji pola przez nieznaną grupę przetrzebiło jego zasoby i z tego powodu przypadły nam w udziale resztki z pańskiego stołu, ale i tak pozyskaliśmy 27 monet, fragment pierścienia, 1 fibulę i dwa fragmenty bransolet z brązu. Całość przekazaliśmy w styczniu 2014 roku. Konsekwencją zgłoszenia znaleziska jest wpisanie miejsca odkrycia do rejestru stanowisk archeologicznych, co wiąże się z zakazem dalszej eksploracji. Szkoda tylko, że ten zakaz nie jest przestrzegany przez innych poszukiwaczy.

Na kolejne skarby czekamy. Jednak czy skarbem musi być srebro z odległych epok? A może skarb to też 1,5 tony żelaza przekutego w lufę działa kaliber 88 mm? Jeśli tak, to lista naszych skarbów jest dużo dłuższa...

Poszukiwacze łączcie się!

Dziś nikt już nie ma wątpliwości, że nasze stowarzyszenie, jako jedna z nielicznych, formalnie zorganizowanych grup detektorystów działających na terenie Warmii i Mazur na stałe wpisało się w historię regionu. To też cały czas jedna z nielicznych grup w Polsce, która zgodnie z prawem, za pozwoleniem odpowiednich instytucji, przeszukuje podmiejskie tereny przy użyciu wykrywaczy metali. Do chwili obecnej uzyskaliśmy łącznie 11 pozwoleń. Nie tylko na powiat iławski, ale także nowomiejski, a nawet na tereny bitwy tanneberdzkiej. Coroczne pozwolenia na poszukiwania traktujemy jako wyróżnienie i dowód zaufania ze strony WUOZ. Uczciwa i szczera współpraca pokazuje, że jest możliwa pełna symbioza pomiędzy środowiskiem poszukiwaczy skarbów a muzealnikami i archeologami. Warto wspomnieć, że nie jesteśmy jedynym takim stowarzyszeniem. Takie grupy jak: Towarzystwo Miłośników Ziemi Suskiej z Susza, Stowarzyszenie Historyczno Poszukiwawcze „Denar" z Elbląga, czy Warmińsko-Mazurskie Stowarzyszenie Historyczno Kolekcjonerskie to kolejne bardzo dobre przykłady wzorowej współpracy. Godnym podkreślenia jest fakt, że realizujemy swoją pasję hobbystycznie, z własnych funduszy i w czasie wolnym od obowiązków zawodowych i rodzinnych.

Zachęcamy innych poszukiwaczy, organizujcie się w formalne grupy i działajcie! Niech będzie nas jak najwięcej, wówczas być może ujrzymy światełko w tunelu. <

Rafał Kocięda

Regionalista, współzałożyciel i prezes Stowarzyszenia „Ylavia" z Iławy, publicysta i propagator historii lokalnej, autor albumu „Iława wczoraj i dziś". Miłośnik poszukiwań przy pomocy wykrywacza metali.

PRZYPISY

[1] Deutsch Eylau i Ylavia to historyczne nazwy Iławy.

[2] Celtycka bransoleta z Pojezierza Iławskiego, [w:] red. A. Jaszewska, Z najdawniejszych dziejów. Profesorowi Grzegorzowi Domańskiemu na pięćdziesięciolecie pracy naukowej, Zielona Góra 2012, s. 167-179

STRZELECKA 8

ANNA STRASZYŃSKA

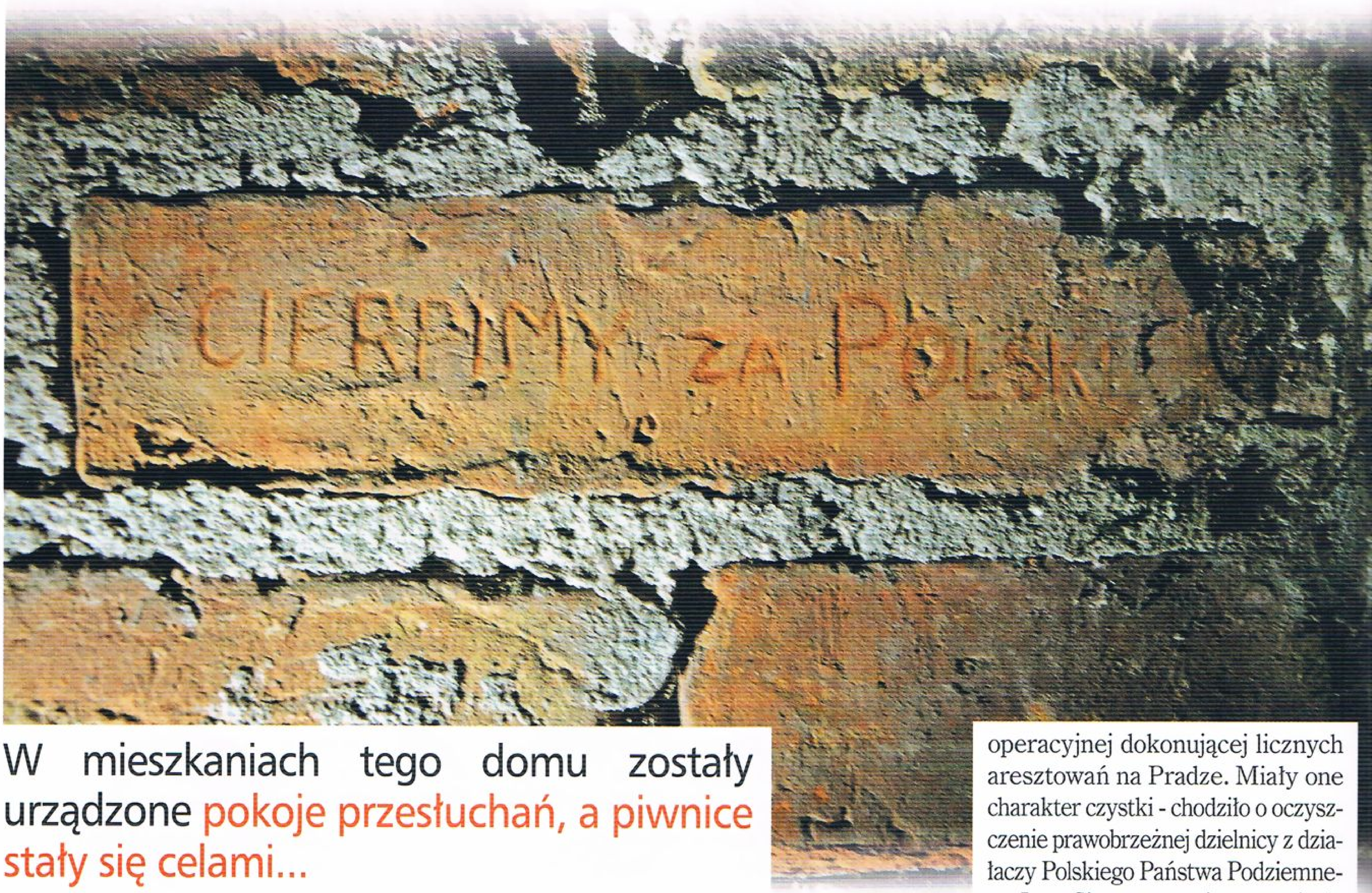

W mieszkaniach tego domu zostały urządzone pokoje przesłuchań, a piwnice stały się celami...

Strzelecka 8 na warszawskiej Pradze Północ. Adres znany wszystkim interesującym się historią komunizmu na ziemiach polskich. W numerze 9/2015 „Odkrywcy" zostały przedstawione współczesne losy tego miejsca. Warto jednak zastanowić się nad tym, co się działo przed przyjściem na Strzelecką 8 konserwatora zabytków i jak to odbiło się echem w krążących po okolicy legendach.

Kwatera NKWD

Jest 14 września 1944 roku. Na lewym brzegu Wisły właśnie zaczyna dogorywać powstanie warszawskie. Powstańcy czekają na odsiecz Armii Czerwonej, jednak ta nie nadchodzi. Czerwonoarmiści zatrzymali się na Pradze, gdzie pod osłoną sowieckiej armii i służb bezpieczeństwa zainstalowały się struktury administracyjne rządu lubelskiego, tworząc tym samym liczne polskie komórki polskich służb bezpieczeństwa. **W budynku przy ulicy Strzeleckiej 8 (podawany często również adres Środkowa 13) znalazła się główna kwatera dowództwa NKWD w Polsce.** Budynek stał się strategiczną siedzibą Iwana Sierowa, jak również płk. Pawła Michajłowa i jego grupy operacyjnej dokonującej licznych aresztowań na Pradze. Miały one charakter czystki - chodziło o oczyszczenie prawobrzeżnej dzielnicy z działaczy Polskiego Państwa Podziemnego. Iwan Sierow w swoim raporcie do szefa NKWD ZSRS Ławrietija Berii z dnia 19 stycznia 1945 roku informuje o poczynionych działaniach skupionych na prawym brzegu Wisły: *„W celu zaprowadzenia należytego porządku w Warszawie wykonaliśmy co następuje: 1. Zorganizowaliśmy grupy operacyjno-czekistowskie mające za zadanie filtrację wszystkich mieszkańców zamierzających przedostać się na Pragę. 2. Pracują grupy operacyjne, złożone z pracowników Ministerstwa Bezpieczeństwa Publicznego Polski i naszych czekistów, mające na celu ujawnienie i zatrzymanie kierownictwa Komendy Głównej AK NSZ i podziemnych partii politycznych".*

Cele w rozmiarze grobu

Cel założony przez nowych oprawców był skrzętnie realizowany. Na Strzeleckiej 8 w piwnicach, tuż pod okiem oficerów i innych pracowników resortu, zorganizowane zostało więzienie dla działaczy Polskiego Państwa Podziemnego. To właśnie tam działy się dantejskie sceny. We wspomnienia Zygmunta Domańskiego z lat 1892-1950, publikowanych również przez IPN, można przeczytać o bestialstwie, jakie miało miejsce w praskiej katowni: „*[...] Wjechaliśmy w podwórze dużej kamienicy, kazano wysiadać. Jeden ze współwięźniów poznał, że jesteśmy w posesji jego rodziny na Pradze, zajętej przez NKWD na ulicy Strzeleckiej. [...]. Znowu rozlokowano nas w małych piwniczkach na węgiel. Ja się znalazłem z jednym kolegą z Włoch, drugiego nie znałem. Klitka tak mała, że z trudem mogliśmy się koło siebie położyć, głowy dotykają jednej ściany, a od nóg do przeciwległej nie było nawet kroku. Słowem rozmiar grobu. Podłoga gliniana, pokryta grubą warstwą miału węglowego i cieniutką proszku z czegoś, co dawniej nazywało się zapewne słomą. Żadnego okienka. W kompletnej ciemności przesiedzieliśmy kilka dni, zatraciwszy zupełnie pojęcie czasu. Potem zainstalowano żarówkę, palącą się czerwonym nikłym światłem. Paliła się dla odmiany całą dobę, do reszty rozstrajając nerwy i wyżerając oczy. [...] Biedy nas dwóch w porównaniu z trzecim współtowarzyszem były niczym. To był prawdziwy bohater-męczennik. Niestety, nawet jego nazwiska zanotować nie mogę, mam wrażenie, że używane przez niego Borowicz było pseudonimem. [...] W śledztwie żądano, by wydał innych, a on milczał. Przez kilka dni, może nawet tydzień bito go prawie bez przerwy dzień i noc; na krótkie pauzy powracał do naszej piwnicy. Krew mu szła nie tylko z nosa, ust, uszu, ale po prostu ze wszystkich otworów ciała. Odebrano mu kożuch, w piekielnym więc zimnie leżał w piwnicy między nami dwoma, przykryty tylko naszymi płaszczami; nogi od bicia tak spuchły, że musiał chodzić boso; o wciągnięciu butów mowy być nie mogło. Dwa razy na dobę wypuszczano nas do ubikacji z dziurą w podłodze. Biedak nie mógł sam iść, prowadziliśmy więc, a właściwie ciągnęliśmy pod ręce. [...] W nocy majaczył nieprzytomnie i tylko szeptał bez przerwy; boli, boli, boli... Kiedyś przychodzi żołnierz, żeby znowu prowadzić na śledztwo. Borowicz nie ma sił wstać. Po chwili zstąpił do podziemia sam pan oficer śledczy. Trącił biedaka końcem buta i łaskawie orzekł: »Da, puskaj addachniot«. Odpoczynek trwał trzy godziny, po czym wyniesiono go na śledztwo i dalej bito. Gdy mnie wywożono, Borowicz prawie dogorywał. Drugi mój towarzysz dopiero w dobę później dołączył do mnie. Opowiadał, że biedny męczennik w nocy skonał. Trupa nawet nie wyniesiono na świat Boży, a zakopano w głębi piwnicy. [...]*”.

Egzekucje i miejsca pochówków

Rzeczywistość, która towarzyszyła osadzonym przez cały okres pobytu, była trudna. Zawsze gdy czytam te wspomnienia i rozmawiam z ludźmi, którzy opowiadają mi podobne historie, w głowie mam jedno z haseł wydrapanych na ścianie dawnej celi na Strzeleckiej: „Śmierć naszym wybawieniem”. W dzisiejszych czasach nie mieści się to w głowie, chociaż sytuacja polityczna stale pozostawia wiele do życzenia, nikt nie myśli nawet o tym, że przed laty ludzie składali ofiarę z własnego życia, wybierając śmierć jako ratunek zarówno dla siebie, jak i za kraj. Raporty siatki wywiadowczej Obszaru Centralnego Delegatury Sił Zbrojnych na Kraj z sierpnia 1945 r. przedstawiają obraz piekła na ziemi w bardzo konkretny sposób:

„W Warszawie na Strzeleckiej codziennie od trzech tygodni dokonywane są egzekucje na członkach AK. O godzinie 3-4 rano wiesza się 7-8 skazańców. Niezależnie od tego, tyluż więźniów rozstrzeliwuje się w piwnicach. Przed śmiercią stosowane są najpotworniejsze tortury. Wyrok wykonuje osobiście Żyd Falkensztajn – cywilny funkcjonariusz NKWD”.

Tak duża ilość wykonywanych egzekucji pociągała za sobą konieczność organizowania pochówków, a raczej pozbywania się ciał zamordowanych. Na prawym brzegu, zarówno na Pradze, jak i na Targówku, znanych jest kilka miejsc, w których grzebani byli nasi bohaterowie w bezimiennych dołach śmierci. To między

>>>

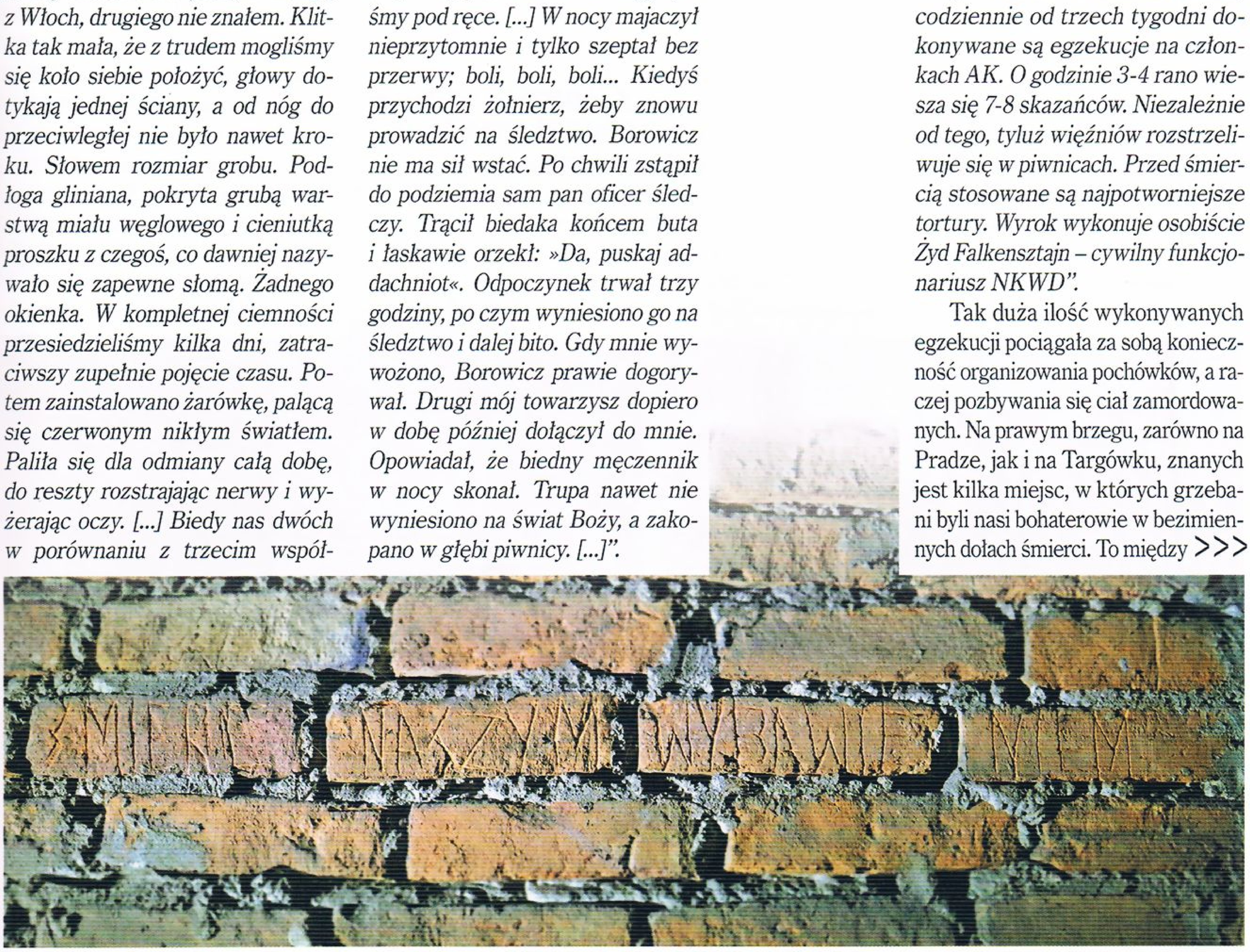

fot. Stowarzyszenie Kolekcjonerzy Czasu

>>> innymi słynna kwatera 45 N na Cmentarzu Bródnowskim, kirkut, tereny należące kiedyś do dawnego więzienia Toledo przy Namysłowskiej czy teren dawnego Cmentarza Cholerycznego. To również podwórze kamienicy przy Strzeleckiej 8. **Z relacji świadków wynika, że pochówek w piwnicy, o którym wspomina Zygmunt Domański, nie był jedynym na terenie tej posesji. Istnieją podania wskazujące obecność zbiorowej mogiły w podwórzu. Ma się ona znajdować pod obecnie stojącymi garażami.** Podczas jednych z obchodów Narodowego Dnia Pamięci Żołnierzy Wyklętych, który przypada 1 marca, od jednego z uczestników usłyszałam zatrważającą informację: *„Wie Pani, tam pod garażami… ponad 70 ofiar, to wszystko to Nasi, niech Pan ma ich w swojej opiece"*. Skóra cierpnie, gdy słyszy się coś takiego, a w głowie pojawia się pytanie, czemu Oni jeszcze tam leżą, czemu nikt się tym nie zajął!

To był okres, w którym Stowarzyszenie Kolekcjonerzy Czasu zaczęło interesować się historią obiektu. Rozpoczęła się kwerenda historyczna, która z dnia na dzień i z rozmowy na rozmowę potwierdzała tragedię tego miejsca. Wiedzieliśmy o tym, że kamienica zamieszkiwana była jeszcze przez wiele lat przez rodziny resortowe. Mieliśmy jednak nadzieję, że czas, jaki upłynął od tamtych wydarzeń, pozwoli nam na otwarcie nie jednych drzwi.

Pierwsze wejście do piwnic

Pierwsza wizyta na Strzeleckiej, podczas której chcieliśmy zejść do piwnic, była tą, którą ja osobiście zapamiętam do końca życia. Staliśmy na podwórku. Jak na złość nie było żywej duszy, którą można by zapytać o możliwość zejścia do podziemi, bo te zamknięte były na kłódkę. Po kilkunastu minutach podjęłam decyzję, że pójdę na klatkę, zapukam do jednego z mieszkań i może ktoś spojrzy przychylnie na cel, jaki nam przyświeca, i wpuści nas do piwnic. Chodząc jednak od drzwi do drzwi, pukając i dzwoniąc, zaczynałam tracić nadzieję. To było około południa, wszyscy byli w pracy. Jak już ktoś otworzył, okazywało się, że nie ma klucza do piwnic. I ostatnia próba. Pukam do kolejnych drzwi, zza których tym razem dobiega dźwięk włączonego telewizora. Musi się udać. Drzwi otwiera starsza pani, z trudem trzymająca się na nogach, wspierająca się o klamkę. Przedstawiam się grzecznie i zaczynam tłumaczyć, że chcemy zejść do piwnicy, bo było tam więzienie NKWD i chcemy wykonać zdjęcia. Nie będziemy szabrować ani niszczyć, tylko niech nas wpuści do środka. Te słowa okazały się „pokrzepiające" dla leciwej staruszki. W mgnieniu oka doskoczyła do mnie, popychając mnie w kierunku schodów i krzycząc: *„Wynocha, tu nigdy nic nie było, żadnego więzienia, żadnego NKWD"*. Zrozumiałam wtedy, że resortowe rodziny nadal bronią tajemnicy sprzed lat. Zbiegłam szybko po schodach, a w głowie kłębiło się wiele negatywnych myśli. Na szczęście na podwórku była już dozorczyni. Ta bez wahania otworzyła wrota piekieł, mówiąc przy tym: – *Róbcie zdjęcia, jak najwięcej, niech inni zobaczą bo później tego może już nie być!* Tak się

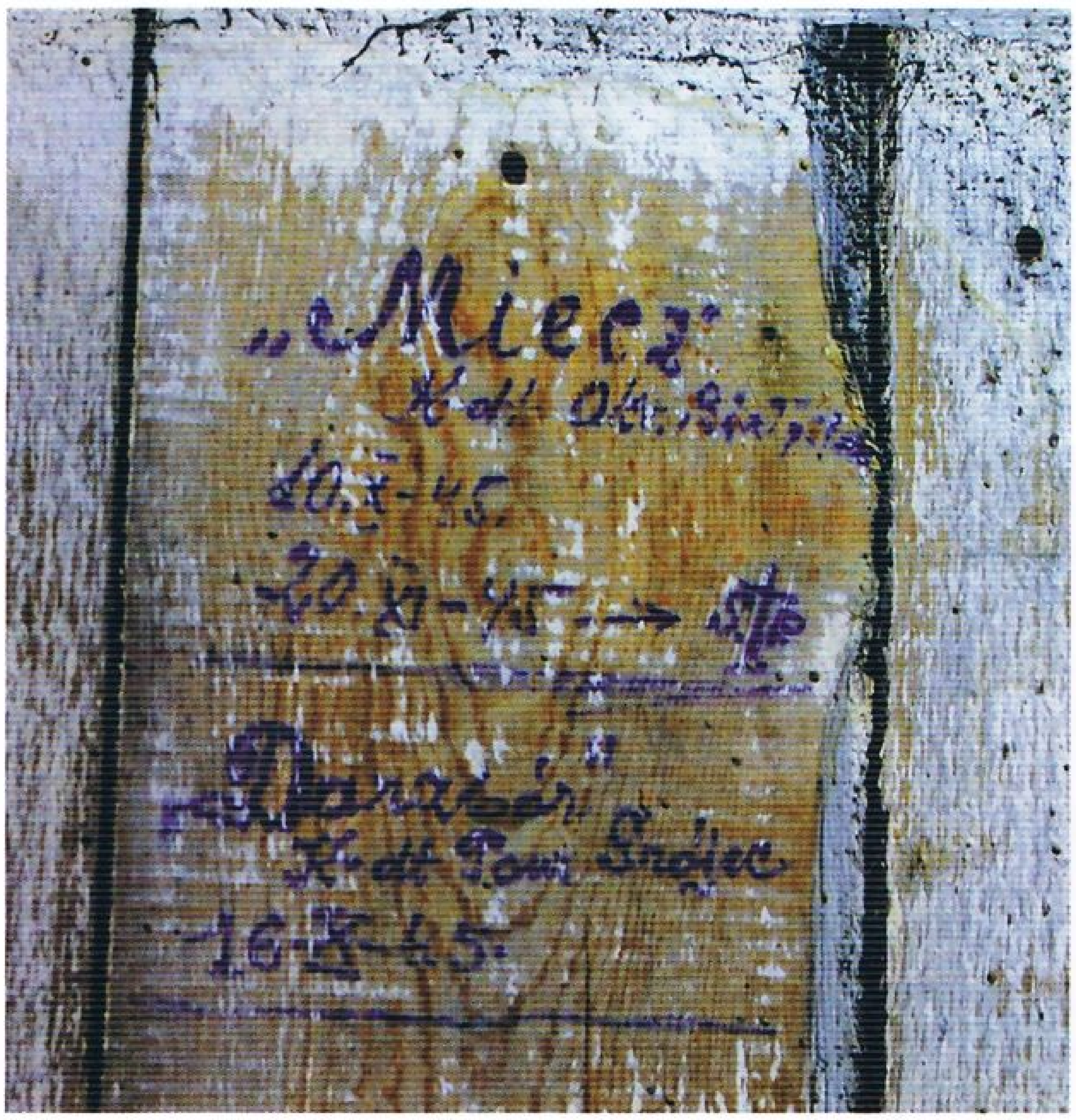

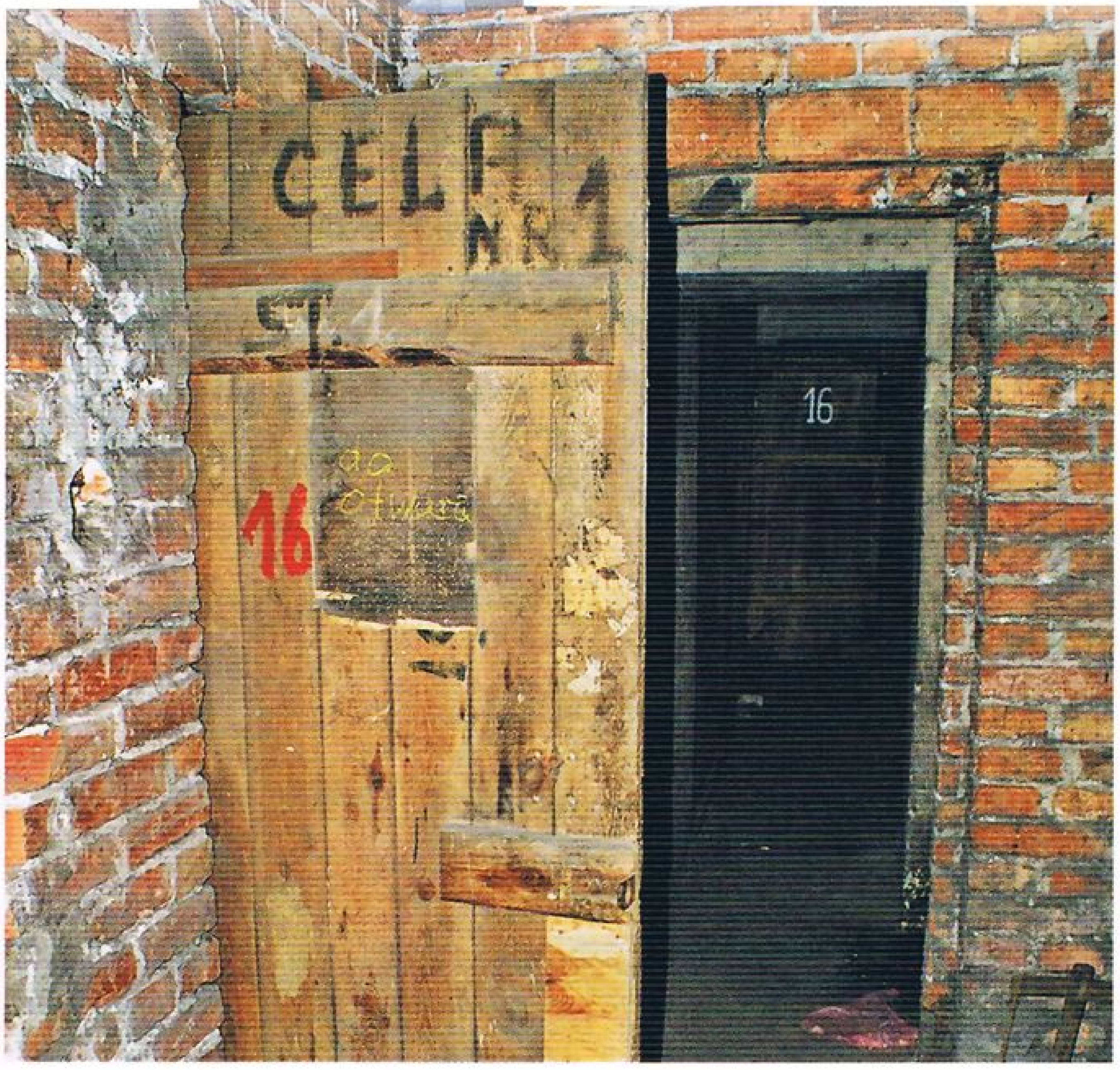

stało. Zrobiliśmy początkowo kilka zdjęć, ponieważ większość dawnych cel była zamknięta, wykorzystywane były jako komórki lokatorskie.

Relacje mieszkańców

– Mama koleżanki mieszkającej w klatce obok kiedyś bardzo długo negocjowała ze swoim mężem o udostępnienie piwnicy lub garażu na potrzeby rodzinne. (...) Drzwi od środka zakryte były jakąś dyktą. Ponieważ nie wyglądało to najlepiej, obie postanowiły ją zerwać. ***Wtedy wysypały się spod niej zdjęcia. Na fotografiach byli mężczyźni w mundurach, kobiety, dzieci i całe rodziny*** [podkr. redakcja] *Moja koleżanka zebrała te zdjęcia i pobiegła do taty podzielić się odkryciem. Gdy ojciec koleżanki zobaczył co ta trzyma w rękach, nerwowo odebrał skarb, mówiąc że zajmie się tym. Nigdy więcej nikt tych zdjęć nie widział* – relacjonuje była mieszkanka Strzeleckiej 8. Pozostaje się tylko domyślać, iż zdjęcia mogły zostać odebrane osadzonym przed laty w piwnicznych kazamatach. Rozmawiając z okolicznymi mieszkańcami, dowiadywaliśmy się kolejnych rzeczy i potwierdzaliśmy to, co wcześniej zostało gdzieś zasłyszane na zasadzie „jedna pani, drugiej pani”.

– Tata często w pracy dostawał różne tzw. przydziały. To była herbata, kawa, mydło i inne potrzebne w domu produkty. Pamiętam, że byli sąsiedzi, którzy dostawali większe paczki niż my. Mieli wyższe stanowiska widocznie: gdy ci dostawali 4 kostki mydła, tata przynosił półtorej lub dwie, to chyba o czymś świadczy. Czym zajmował się mój tata? – dokładnie nie wiem. Pracował dla NKWD, ale ojcem był wspaniałym. Na Strzeleckiej mieszkałam od urodzenia. Tu zostałam zameldowana, gdy miałam 3 miesiące. To był rok 1946. Właśnie tu dorastałam. W głowie mam różne historie związane z tym miejscem. Żadna z nich nie jest obarczona widokiem krwi. W zasadzie mogłabym rzec, że dzieciństwo tu było normalne. Dopiero z perspektywy czasu zrozumiałam, jaka jest historia tego miejsca. Jako dziecko beztrosko podchodziłam do wielu rzeczy”.

Numer piwnicy napisany krwią

W toku naszych poszukiwań okazało się, że **kamienica początkowo zajęta przez NKWD i WUBP, była później również miejscem kwaterowania do mieszkań służbowych funkcjonariuszy MO.**

– Gdy dostałem przydział do mieszkania, okazało się, że w zestawie mam również piwnicę.(…) Numery piwnic były przyporządkowane do mieszkań. Poszedłem zobaczyć jak wygląda moja komórka. Gdy zszedłem na dół i chodziłem po korytarzu piwnic, szukając mojego numeru, ***zobaczyłem jak na drzwiach jednej z nich numer był napisany palcem i krwią*** [podkr. redakcja]. *Poważnie! Taki bordowy. Wiedziałem co było tu wcześniej, więc bez wątpienia była to krew. Dwa dni później drzwi zostały umyte a numer napisany farbą* – wspomina były funkcjonariusz MO. Świadomość tego, co znajdowało się tu wcześniej podpowiada czasami najbardziej kuriozalne scenariusze. Nie każdemu trzeba jednak dawać wiarę. Tak powstają lokalne legendy, w których często jest odrobina prawdy. Trzeba jednak przyznać, że miejsce tak naznaczone, musi jakoś wpłynąć na zachowania mieszkańców i okolic. Wszak wieści szybko się rozchodzą i nie jest tajemnicą kto zamieszkuje dany obiekt, szczególnie na Pradze, gdzie specyficzny klimat i charakterność były wizytówką dzielnicy przez całe dekady.

fot. Stowarzyszenie Kolekcjonerzy Czasu

Tych spod ósemki nie ruszamy

– Moi dziadkowie mieszkali w kamienicy przy Strzeleckiej 8. W młodości spędzałem wiele czasu w tym budynku. Mój tata tam się wychowywał, wprowadził się tam >>>

ze swoimi rodzicami i siostrą kilkanaście lat po wojnie. Pamiętam, jak opowiadał mi pewną historię uliczną. To było chyba na Kowieńskiej. W latach 60. jeszcze za młodu, gdy szedł ulicą, został zaczepiony przez dwóch czy może trzech lokalnych opryszków. Chcieli pieniędzy, byli agresywni. Uliczny kodeks nakazywał jednak najpierw zapytać ofiarę, skąd jest. Tata odpowiedział że ze Strzeleckiej, „spod ósemki". To wywołało konsternację i rozczarowanie na twarzach napastników. Panowie szybko się zebrali i poszli w swoją stronę, rzucając do siebie „tych spod ósemki nie ruszamy – przytacza rodzinną opowieść mieszkaniec Pragi Północ. Oczywiście, wspomnianym „dżentelmenom" wcale nie chodziło o starą zasadę, że swoich się nie rusza, a o to, że pod podanym przez tatę Łukasza adresem mieszkają funkcjonariusze różnych urzędów, od których z racji „zawodu", jaki wykonywali, lepiej się trzymać z daleka.

– Jeden mężczyzna, który tu na dole siedział u czerwonych, opowiadał mi jak został aresztowany na Grochowie i przywieziony na Strzelecką. Wepchnęli biedaka do klatki, totalnie oszołomiony, bo najpierw go nieźle poturbowali, później prowadzili go długim tunelem do innego budynku. Bo wie pani na pewno, że pod ulicą Strzelecką jest tunel. Łączy on Strzelecką 10A i 8 – wspomina mieszkaniec Pragi. Powiedziałabym raczej, że długi korytarz i to z pewnością nie pod ulicą Strzelecką. Relacja byłego osadzonego jest oczywiście prawdziwa, trzeba jednak zwrócić uwagę na okoliczności, jakie wtedy miały miejsce. Mężczyzna w szoku nie miał zapewne zbyt dobrej orientacji w terenie, a i rzeczywistość wydawać się mogła trochę inna. Należy pamiętać przy tym, jak brutalne były aresztowania i jakie katusze już na samym początku przeżywali aresztanci. W istocie świadek był prowadzony długim korytarzem. Takowy znajduje się właśnie na Strzeleckiej 8 pod całym skrzydłem usytuowanym pod tą ulicą.

Zapach śmierci

Kamienica z czasem przestała być budynkiem resortowym, a mieszkania trafiły na wolny wynajem. – *Gdy kilkanaście lat temu wynajęłam to mieszkanie, po wstępnym rozpakowaniu swoich rzeczy, poszłam do dozorczyni zapytać się, czy są dostępne jakieś komórki. (...) Kalbarczykowa otworzyła mi zejście i wskazała wolne pomieszczenia, żebym sobie jedno wybrała i uprzątnęła na własne potrzeby. Schodząc po schodach, poczułam dziwny zapach nie mający nic a nic wspólnego z zapachem przetworów, ziem-*

REKLAMA

Nieznane oblicza historii
Generał pilot Stanisław Skalski
Portret ze światłocieniem
Grzegorz Sojda
Grzegorz Śliżewski
almapress 1985-2015
Oficyna Wydawnicza Alma-Press, Warszawa
Już w sprzedaży
Polecamy także:
Piotr Sikora
Asy polskiego lotnictwa
Chris Chant
Broń piechoty
Ilustrowana encyklopedia
Andrzej Zasieczny
Czołgi II wojny światowej
Andrzej Zasieczny
Leksykon broni II wojny światowej
Wojska lądowe
Michael E. Haskew
Najsłynniejsze czołgi
Ilustrowana historia
Piotr Sikora Łukasz Gredys
Polskie skrzydła nad Irlandią
almapress

Alma-Press, ul. Łędzka 44a, 01-446 Warszawa,
tel. (22) 877 27 04
e-mail: alma@almapress .com.pl
www.almapress.com.pl

niaków czy piwnicznym smrodem. Podzieliłam się tymi odczuciami z Kalbarczykową i ze swoim partnerem, mówiąc, że czuję tu zapach śmierci. Ta powiedziała mi wtedy, że tu było więzienie. Po pewnym czasie będąc w piwnicy, ***dostrzegłam napisy na ścianach, początkowo pomyślałam, że są to napisy pozostawione przez mieszkającą tu młodzież. Jednak gdy się im przyjrzałam, zaczęłam łączyć fakty, napisy, więzienie...*** *to musiało mieć coś ze sobą wspólnego. Zaczęłam drążyć historię kamienicy* – przypomina Agnieszka Murati, która ramię w ramię ze Stowarzyszeniem Kolekcjonerzy Czasu, walczyła o godne upamiętnienie tego miejsca.

Pamiątki z katowni

Działania społeczników i pasjonatów historii pozwoliły na zebranie obszernych materiałów w postaci wspomnień, jak również dokumentacji zdjęciowej tego miejsca. Wieści o prowadzonej kwerendzie historycznej rozeszły się pocztą pantoflową stosunkowo szybko. Lata zaniedbań urzędowych względem ochrony tego miejsca doprowadziły do licznych zniszczeń i rozproszenia kontekstowych artefaktów. W numerze 9/2015 „Odkrywcy" Robert Wit Wyrostkiewicz w swoim artykule wspomina o guzikach od mundurów, czy o radiostacji. Nie są to jednak jedyne pamiątki z tamtego okresu, które opuściły te miejsce. Do Stowarzyszenia przekazane zostały m.in. zdjęcia świeczek, które zostały wyciągnięte ze ściany w jednej z cel czy np. brzytwa, która wg informatora znajdowała się na wyposażeniu funkcjonariuszy NKWD, a znaleziona została w szczelinie pomiędzy cegłami na korytarzu dawnej katowni. Przedmioty te zostały uratowane przed trafieniem do kontenera z gruzem i śmieciami. Trzeba jednak powiedzieć, że tym samym stały się one kolejną legendą związaną z tym miejscem. Być może kiedy na Strzeleckiej 8 powstanie tak długo wyczekiwana Izba Pamięci, która ma być stworzona przez IPN, pamiątki trafią do jednej z gablot. Najpierw jednak miejsce musi się doczekać realizacji obietnicy o Izbie, ponieważ obecnie trwają tam prace remontowe, a końca tych prac nie widać. <

Anna Straszyńska
Prezes Stowarzyszenia Kolekcjonerzy Czasu, członek Mazowieckiego Stowarzyszenia Historycznego „Eksploratorzy.pl", redaktor Kuriera Praskiego. Z zamiłowania zajmuje się fotografią i historią, głównie warszawskiej Pragi-Północ.

REKLAMA

WYKRYWACZA JUŻ NIE SZUKAJ... WŁAŚNIE GO ZNALAZŁEŚ!

RUTUS *Argo*

Argo i Optima
z sondami 29 cm
w specjalnej cenie

- Automatyczne strojenie do gruntu
- Regulacja częstotliwości od 6329 Hz do 6944 Hz
- Możliwość regulacji reakcji na kamienie magnetyczne
- Identyfikacja cyfrowa w zakresie -90 + 90
- Dyskryminacja klasyczna i wybiórcza (20 pozycji)
- Czułość regulowana (48 poziomów)
- Pinpoint z podawaniem głębokości dla monet - pomiar niezależny od czułości
- Możliwość ułożenia własnego programu dźwięków
- Regulacja szybkości reakcji
- Praca dynamiczna, statyczna i jednoczesna

RUTUS
DETEKTORY METALI

Gdynia
tel.: 058 - 679 33 14, 0601 284 371
e-mail: rutus@rutus.com.pl, www.rutus.com.pl

ŚLEDZTWO W SPRAWIE SZCZELINY JELENIOGÓRSKIEJ

CZ. 2

KRZYSZTOF KRZYŻANOWSKI

Historia w połowie prawdziwa, w połowie legendarna: w Sudetach, pod koniec II wojny światowej miano ukryć pod ziemią przeogromny skarb...

W części I mojego materiału wspominałem o dwóch wydarzeniach, które dały początek legendzie „Szczeliny". Pierwsze z nich to aukcja, do której doszło 10 czerwca 1992 roku w Nowym Jorku, gdzie sprzedano za olbrzymie pieniądze „Jajko Trofeum Miłości" Fabergé. Drugie to publikacja Andrzeja Popielskiego, który powiązał powyższą transakcję z brutalnym morderstwem handlarza Waldemara Huczko z Nowej Soli rok wcześniej. Następnie w kwartalniku „Explorator" ukazał się list do premiera polskiego rządu, w którym wspominano o odnalezieniu *„rozległej sztolni zawierającej dzieła sztuki przez grupę indywidualnych poszukiwaczy"* i apel dotyczący zmiany przepisów o znaleźnym. Tropem tego śladu z nietypową misją do Szklarskiej Poręby udał się warszawski dziennikarz Ryszard Wójcik, gdzie miał rozmawiać z „pośrednikami" między znalazcami a rządem. Jego nietypowa, pełna dziwnych zdarzeń wizyta, przyniosła, jak się zdaje, więcej pytań niż odpowiedzi.

„Schowek nie całkiem opróżniony"

W czerwcu 1998 roku ukazała się kolejna ważna publikacja dotycząca „Szczeliny" spisana piórem Marka Chromicza. Był to artykuł „Schowek nie całkiem opróżniony", który opublikowano w 25. numerze „Nowin Jeleniogórskich". Rozpoczynał się cytatem z listu do premiera polskiego rządu opublikowanego w „Exploratorze", prócz tego jednak w artykule pojawiły się nowe szczegóły dotyczące znaleziska: *„Informacja o »rozległej sztolni«, którą PTE przekazało premierowi, dotyczyła odkrycia, którego dokonano w 1991 roku, w okolicy położonej około* ***20 km na północ od Jeleniej Góry*** *[podkreślenie – KK]. Tam właśnie pewien młody człowiek, w lesie, w górach na odludziu, zupełnie przypadkowo pomiędzy stertą głazów stanowiącą jakby naturalny, kamienny kopiec, jakich w tych górach jest pełno, znalazł pionowy korytarz – szyb prowadzący w głąb góry. Wylot szybu był tak przemyślnie ukryty, że tylko przypadek zrządził, że udało się go znaleźć. Odkrywca nie przygotowany wtedy do jakiejkolwiek eksploracji wejście to ponownie ukrył. Wrócił tam dopiero po kilku dniach, już z ekwipunkiem i z bratem, by ustalić, co naprawdę zostało odkryte (...) Już pierwszy zjazd na dno szybu (jak się później okazało – wentylacyjnego) pozwolił braciom ustalić, że szyb ma kształt syfonu, na końcu którego znajduje się sporych rozmiarów komora. W świetle latarki zauważyli, że nie jest pusta. Pod lewą ścianą komory zobaczyli bowiem* ***dwa osobowe auta, częściowo tylko przykryte plandeką, a obok nich również dwa motocykle*** *[podkreślenie – KK]. Na środku komory i pod prawą jej ścianą stały ustawione w kilka rzędów skrzynie, okrągłe tubusy i wiele innych przedmiotów. Jeden z braci zdecydował się zeskoczyć w dół, by bliżej zbadać zawartość komory. Pomimo bolesnego skręcenia przy tym skoku nogi, nie czuł bólu. Bo szybko okazało się, że komora stanowi prawdziwą składnicę skarbów (...) okazało się, że na zamkniętych skrzyniach leżą prawdziwe, niczym nie zabezpieczone dzieła sztuki, a w teczce przykutej do ręki nieboszczyka siedzącego w aucie znajdują się* ***wielkie, sprawiające wrażenie złotych, trzy różnej wielkości jaja"*** [podkreślenie – KK]. Zwróciłem uwagę, że jest to pierwsza relacja o konkretnych znalazcach skrytki – młody człowiek miał ją penetrować wraz z bratem. Po drugie, jest to także pierwszy tak szczegółowy opis odnalezienia skrytki, na tyle dokładny, że jest to aż… zaskakujące! Ktoś, kto zrelacjonował redaktorowi Chromiczowi tajemnicze miejsce, wiedział na przykład, że *„osobowe auto przykryte było częściowo plandeką”*, w aucie były *„trzy, różnej wielkości jaja”*, znał nawet markę stojących w podziemiu motocykli! Przychodziły mi w związku z tym do głowy tylko dwie możliwości: albo była to historia zasłyszana z pierwszej ręki, od bezpośrednich znalazców sztolni albo była to… rzecz całkowicie zmyślona i to przez osobę ze sporą wyobraźnią.

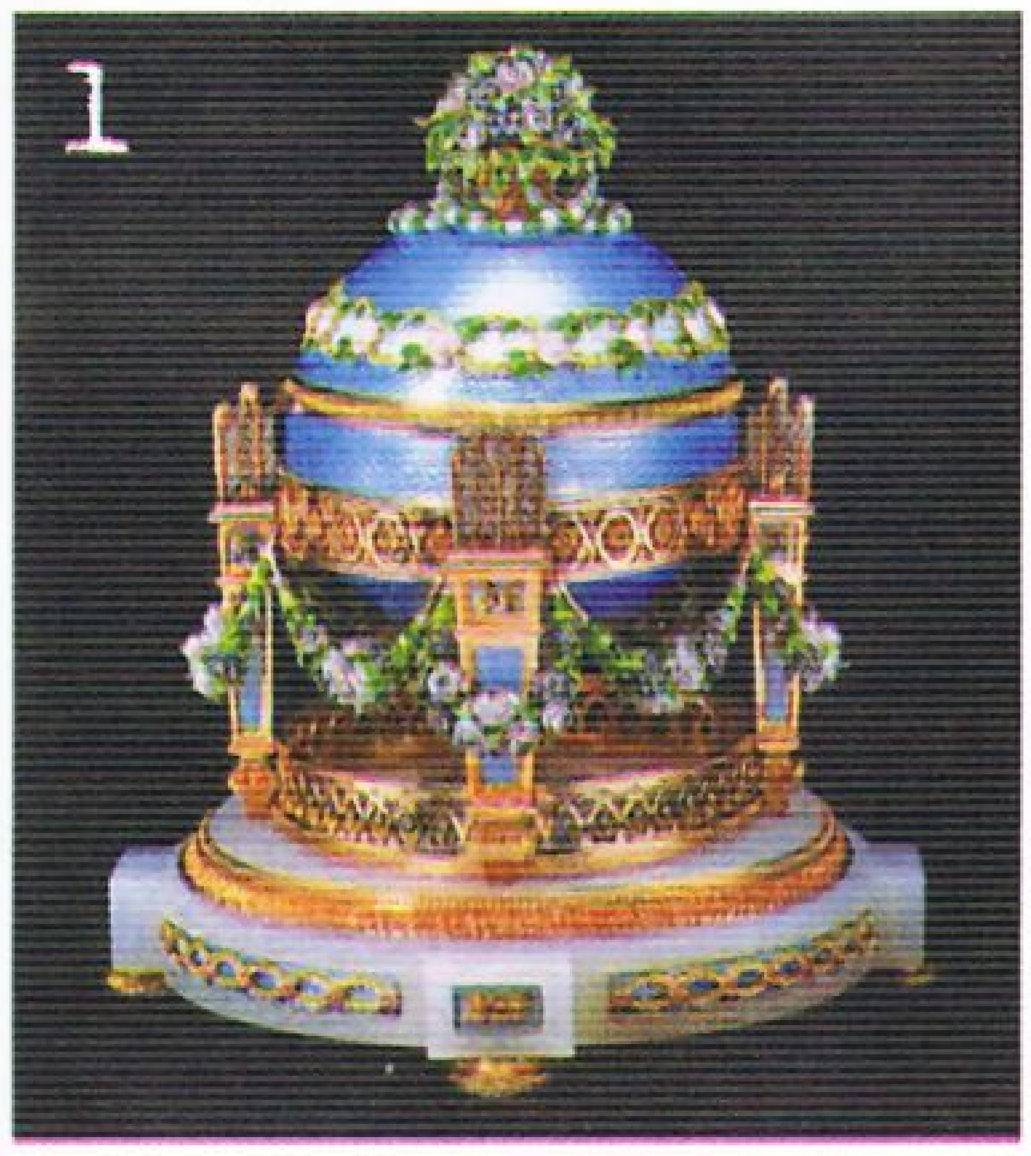

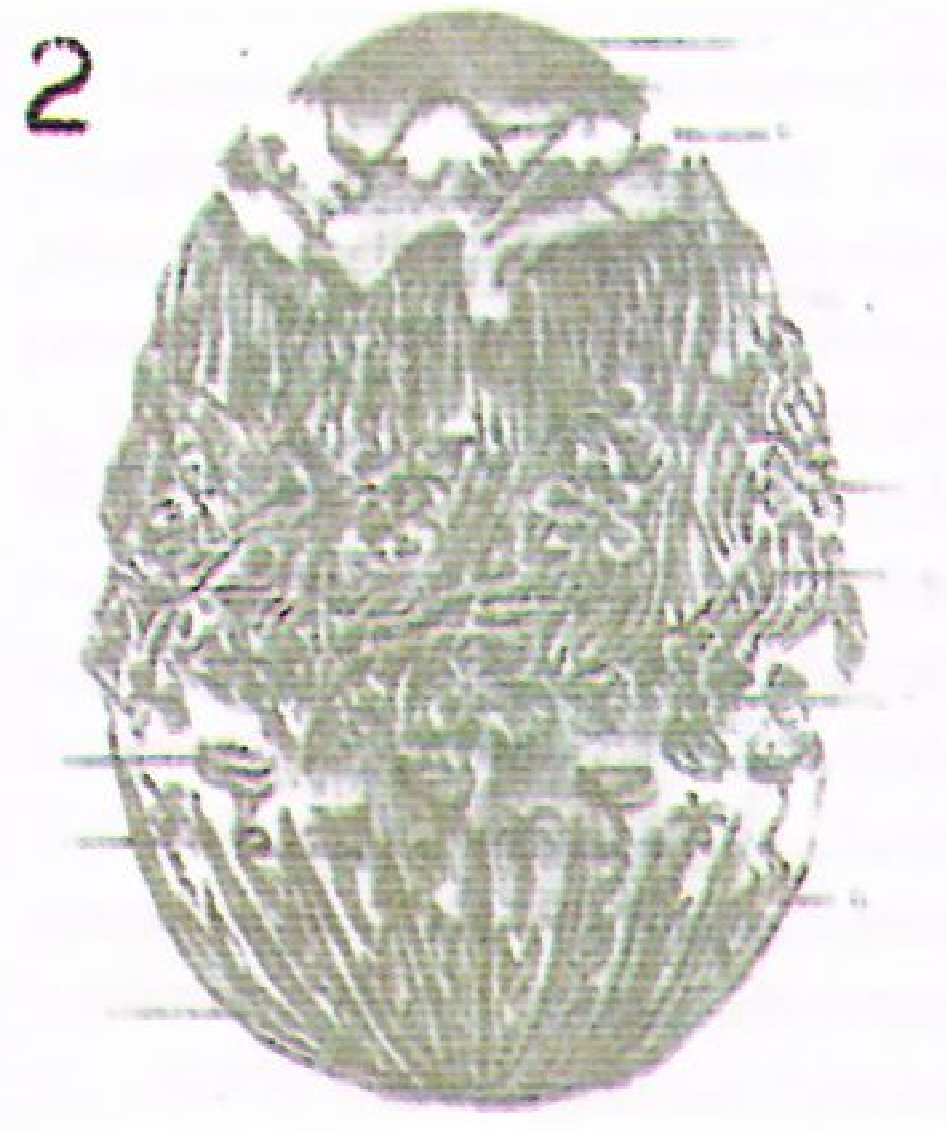

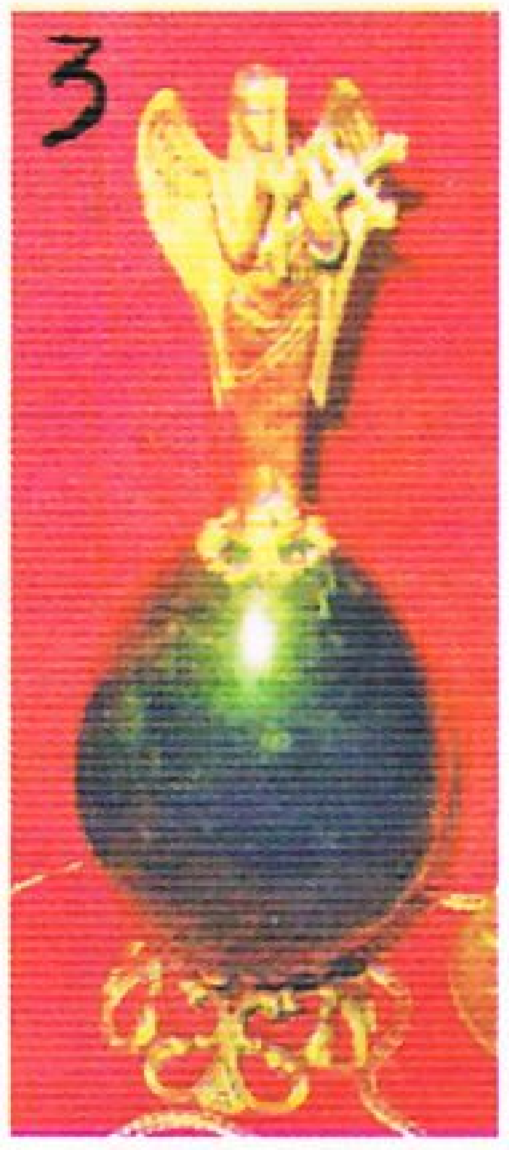

Zdjęcia jajek, które pojawiły się do 2001 roku w różnych publikacjach o „Szczelinie". Nr 1 – „Jajko Trofeum Miłości" sprzedane w Nowym Jorku, nr 2 – „Jajo ze złota" zrabowane w Nowej Soli, nr 3 – „Jajko z postacią kobiety – anioła". Brakuje zdjęć jajka nr 4 i 5, których znany jest wyłącznie opis.

Złota kareta…

Dalsza część publikacji była ciekawa i nawiązywała do wydarzeń już nam znanych. *„Znalazcy szybko zorientowali się, że skarb jest tak wielki, że sami, bez profesjonalnej pomocy, nie są w stanie ani go w całości wyciągnąć, ani właściwie ocenić, ani odpowiednio sprzedać. Dlatego do wiedzy o znalezisku musieli dopuścić znacznie więcej, niż początkowo zamierzali, ludzi (…) okazało się, że to, co początkowo było absolutną tajemnicą, na skutek pytań o wartość przedmiotów i propozycji ich sprzedaży, szybko rozniosło się w po środowisku handlarzy i poszukiwaczy (…). W tej właśnie sytuacji pojawiła się prośba znalazców, skierowana przez ich prawnego przedstawiciela do wojewody, do PTE i do premiera, o zawarcie układu, który miał znalazcom gwarantować 45 procent wartości znaleziska i zaniechanie przez organa państwa dochodzenia tego, co już wcześniej opuściło skrytkę".* Z tego fragmentu wyłania się obraz wydarzeń, które nastąpiły po odkryciu skrytki do momentu publikacji listu otwartego przez czasopismo „Explorator". Kolejne akapity artykułu są nie mniej sensacyjne. Informator redaktora Chromicza miał bowiem rozmawiać *„ze świadkiem, który* ***na własne oczy widział największe ze znalezionych jajo Fabergé*** [podkreślenie – KK], *który widział puste, skórzane tubusy po wielkich obrazach Wilmanna (…). Opisuje on szczegółowo największe z jaj Fabergé, twierdząc, że miał je w ręku. Według niego jajo to wykonano z białego i zielonego złota, osadzono na łapkach i ozdobiono na szczycie postacią kobiety – anioła ze skrzydłami. W środku schowana była złota kareta. Wysokość tego klejnotu mój rozmówca określa na około 12 do 14 cm. To jajo podobno od dawna jest już poza granicami kraju. Dwa inne nadal są w Polsce, a jedno z nich charakteryzuje się brakiem złotej opaski w miejscu styku górnej części jaja z dolną. W jednym z nich była schowana mała cerkiew, a w drugim scena figuralna, przedstawiająca jakiś hołd."* Redaktor Chromicz miał więc najwyraźniej styczność ze świadkiem i osobą, która „widziała" przedmioty pochodzące ze skrytki. Prócz relacji o pojemnikach na obrazy Wilmanna, mamy także opis kolejnych jaj Fabergé, które przeszły przez ręce świadka; opis, który zawiera szereg charakterystycznych szczegółów. W swoim artykule Marek Chromicz rzeczywiście zamieścił zdjęcie złotego jaja i karety, podpisując je „Jajo koronacyjne Fabergé". Trudno powiedzieć, czy Chromicz chciał tym zdjęciem wyłącznie skomentować wypowiedź swojego informatora, pewne jest to, że jajo, które rzekomo oglądał świadek, nie jest „Jajem koronacyjnym". Nie zgadzają się kolory, motyw „łapek", na których miało być osadzone, brakuje także postaci kobiety – anioła ze skrzydłami. Ze zdziwieniem zauważyłem, że jajo z białego złota, a także pozostałe, które miał widzieć świadek, nie pasują nie tylko do zdjęcia zamieszczonego w artykule Chromicza, ale także do… jajek wspomnianych we wcześniejszych publikacjach prasowych! Aby to dobrze zrozumieć pozwolę sobie przypomnieć, że w historii „Szczeliny" pojawiło się już wiele jajek, z których – najwyraźniej – każde było inne:

1. „Jajo ze złota" – opisane przez Andrzeja Popielskiego jako przedmiot zrabowany Waldemarowi Huczce w 1991 roku;
2. „Jajko Trofeum Miłości" – sprzedane w czerwcu 1992 roku na aukcji Sotheby's w Nowym Jorku, które Popielski wiązał z tym pierwszym;
3. „Jajko z postacią kobiety-anioła" – opisane przez tajemniczego informatora Marka Chromicza w artykule z 1998 roku;
4. „Jajo z cerkwią" – jak wyżej;
5. „Jajo ze sceną figuralną (hołd)" – jak wyżej.

Na kolejne informacje trzeba było czekać aż do 30 października 2001 roku.

„Szczelina?"

Po dwóch latach braku jakichkolwiek informacji o skrytce w „Nowinach Jeleniogórskich" ukazał się kolejny artykuł Marka Chromicza zatytułowany „Szczelina?": *„W tym miejscu, w nieco legendarnej, ale przecież realnie istniejącej »Szczelinie« znaleziono setki innych, niezwykle*

>>>

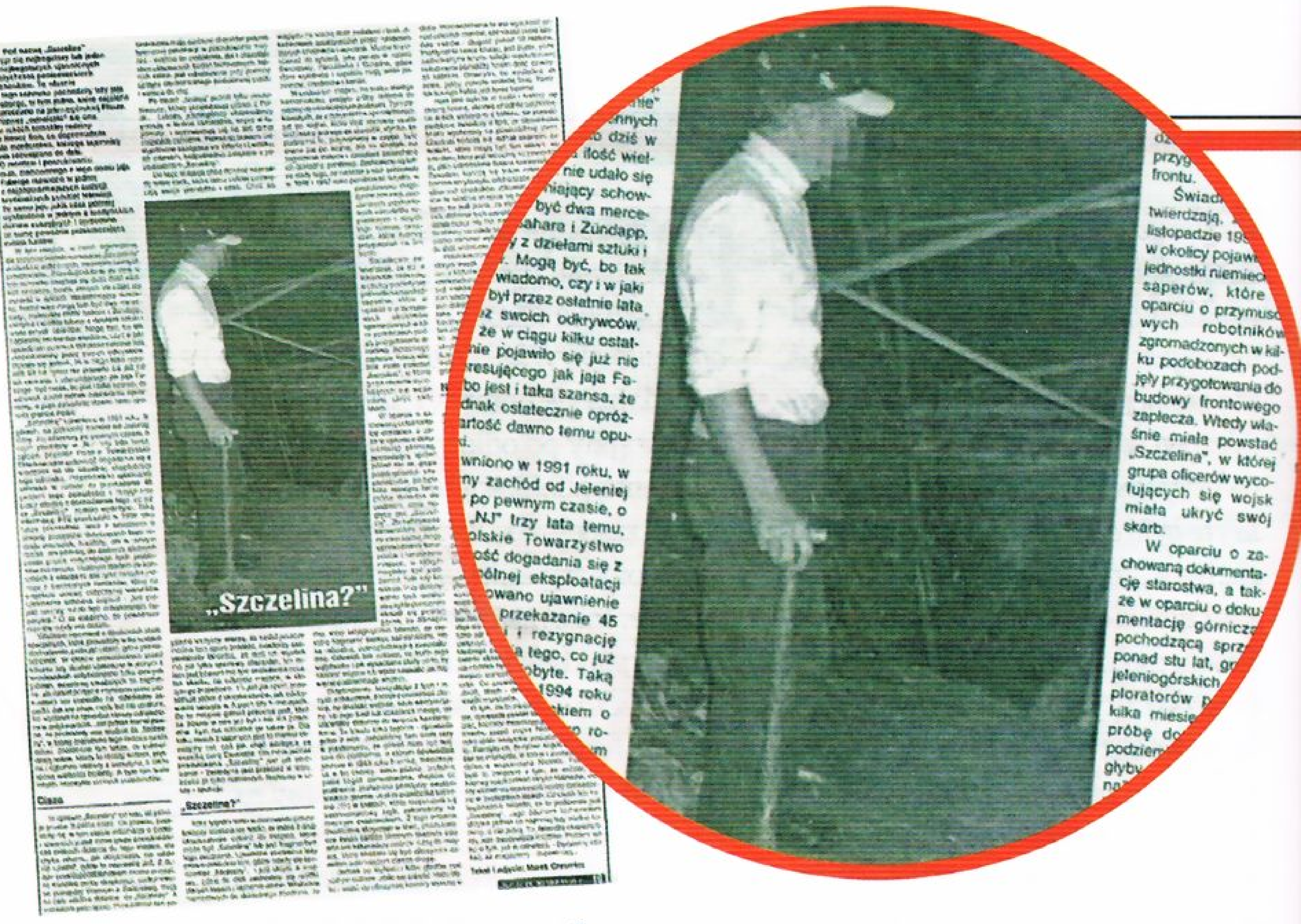

Artykuł Marka Chromicza z 30 października 2001 roku. Po raz pierwszy pojawiło się zdjęcie niezidentyfikowanego miejsca, podpisane „Szczelina?". Na powiększeniu widoczny jest otwór w ziemi, przykryty prowizoryczną konstrukcją. Co jednak wynikało z tekstu publikacji?

>>> *cennych przedmiotów. Prawdopodobnie do dziś w tym schowku znajduje się duża ilość wielkich obiektów, takich, których nie udało się wynieść w sposób nieujawniający schowka."* Po przeczytaniu artykułu rzuca się w oczy ilość nagromadzonych w nim przypuszczeń: Chromicz używa takich zwrotów jak *„prawdopodobnie", „mogą tam być", „nie bardzo wiadomo", „wydaje się jednak", „być może", „jest i taka szansa".* Obiektywnie rzecz ujmując, nie dodaje to wiarygodności całemu tekstowi. Po drugie, dlaczego – zdaniem Marka Chromicza – „Szczelina" jest *„nieco legendarna"*? Czy wątpił we wszystkie fakty przekazywane mu przez informatora i stąd użycie takiego przymiotnika? Dopiero po kilku akapitach dochodziliśmy do nowych ustaleń dziennikarza: *„»Szczelinę« ujawniono w 1991 roku, w górach, na północny zachód od Jeleniej Góry. Jej odkrywcy po pewnym czasie (…) zgłosili poprzez Polskie Towarzystwo Eksploracyjne gotowość dogadania się z władzami co do wspólnej eksploatacji tego schowka (…). Realnym śladem po kontaktach z władzami jest* ***tylko notatka jednego z ówczesnych ministrów*** *[podkreślenie – KK], który na projekcie umowy dotyczącej warunków ujawnienia schowka dopisał - »ten projekt umowy może być przedmiotem negocjacji.«. O ile wiadomo, do poważnych rozmów nigdy nie doszło."* Nową informacją była „notatka ministra", który musiał najwyraźniej przeanalizować projekt umowy dostarczony przez odkrywców. Czy było możliwe dotarcie nie tylko do samego dokumentu, ale także do urzędnika, który zajmował się tą sprawą?

Na tym jednak rewelacje Chromicza się nie kończyły: *„Wiadomo o działaniach służb specjalnych, które prowadziły w tej sprawie dochodzenie, próbując ustalić, gdzie jest schowek. W efekcie prowadzonych przed kilkoma laty działań ujawniono w jednym z wrocławskich antykwariatów kilka cennych płócien, wcześniej uważanych za zaginione, ale nawet podjęcie czynności przez prokuratora nie pozwoliło na rozwikłanie zagadki. Jak się zdaje, nigdy też nie ustalono, kto wystawił na sprzedaż obrazy odnalezione w antykwariacie. Jest jednak niemal pewne, że pochodziły one właśnie ze »Szczeliny«, w której znaleziono tego rodzaju dzieła sztuki (…)".* Wątek służb, a konkretnie działań Urzędu Ochrony Państwa, pojawił się już wcześniej w publikacji Marka Chromicza „Góry pełne skarbów?" z 1997 roku. Autor wspominał wtedy o pułapce zastawionej przez funkcjonariuszy służb „we Wrocławiu", gdzie UOP miał zamiar zatrzymać osobę zamieszaną w sprawę „Szczeliny". Nie ulega więc wątpliwości, że skoro państwowe urzędy (ochrony państwa i prokuratorski) miały prowadzić skomplikowaną akcję we Wrocławiu, musiały istnieć uzasadnione przesłanki do tego, by taką akcję zorganizować. Innymi słowy, na wolnym rynku musiały pojawić się dzieła sztuki niewiadomego pochodzenia, których właścicieli nie udało się – w owym czasie – ustalić.

Wymiary: 4x6x50

Prócz powyższych informacji, artykuł Chromicza zawiera jeden kluczowy fragment, który sugeruje, że grupa eksploratorów natrafiła… na „Szczelinę". *„Kilka tygodni temu w środowisku poszukiwaczy rozeszła się wieść, że jedna z grup eksploratorów dotarła do miejsca, które może być »Szczeliną« lub jest fragmentem tego podziemia. Ujawnione podziemie leży prawie dokładnie tam, gdzie należy się spodziewać »Szczeliny«, i jest ukryte w miejscu, gdzie do dziś zachowały się resztki starych kopalń i kamieniołomów (…) na skraju starego kamieniołomu, podjęto próbę dotarcia do niezwykle interesujących podziemi. Tym ciekawszych, że z dokumentów sporządzonych już po wojnie, które dziś stanowią zasób archiwalny jednego ze starostw, wynika, że podziemia te, przynajmniej w części, były znane już po wojnie, ale ze względu na zagrożenie minami i zawałami zaniechano ich dokładnej penetracji (…). Świadkowie potwierdzają, że już w listopadzie 1944 roku w okolicy pojawiły się jednostki niemieckich saperów, które w oparciu o przymusowych robotników zgromadzonych w kilku podobozach podjęły przygotowania do budowy frontowego zaplecza. Wtedy właśnie miała powstać »Szczelina«, w której grupa oficerów wycofujących się wojsk miała ukryć swój skarb (…). Jest to prawdziwa szczelina w skałach, którą rozpoczyna się siedmiometrowy szyb, zakończony kamiennym zwałowiskiem. Z tego miejsca, dwukrotnie skręcając w lewo, poszukiwacze zeszli bardzo stromym skalnym osuwiskiem kilkanaście metrów niżej do miejsca, które okazało się być olbrzymim zawałem odcinającym dalszą drogę (…) po wybraniu kilku głazów pod samym sufitem udało się przejść nieco dalej i wejść do olbrzymiej komory wykutej w skale. Pomieszczenie to ma wysokość ponad czterech metrów, szerokość około sześciu metrów i długość*

fot. Krzysztof Krzyżanowski

ponad 50 metrów. Praktycznie rzecz biorąc, jest puste, poza zachowanymi torami kolejki wąskotorowej i ułożonymi pomiędzy torami dość dziwnymi kablami." W tekście Chromicza, dokładnie na środku szpalty, zamieszczono pojedyncze czarno-białe zdjęcie opatrzone napisem „Szczelina?". Na zdjęciu stoi szczupły mężczyzna z rozmazaną twarzą, ubrany w białą koszulę, czapkę z daszkiem, oparty o łopatę. Spogląda w stronę dziury w ziemi, którą zabudowano drewnianą konstrukcją, stanowiącą najpewniej zabezpieczenie szybu. Jeśli dobrze się zastanowimy, to człowiek na zdjęciu nie wygląda jakby wykonywał „brudne" prace w szybie lub okolicy (ma czystą koszulę, nie ma kasku, rękawic czy kapoty). Wygląda bardziej... jakby przyprowadził kogoś z aparatem, aby pokazać mu wykonane prace. Dlaczego nie ma zdjęcia z wewnątrz podziemi, które byłoby prawdziwą sensacją?

Świadkowie, dokumenty...

Przyznam, że miałem trudności w dokładnej analizie tekstu dziennikarza. Marek Chromicz przedstawił cały zestaw szczegółów, które – patrząc obiektywnie – uwiarygadniały jego relację. Skąd wszedł w ich posiadanie? Wydaje się rozsądne przyjąć, że informacje pozyskał od „jednej z grup eksploratorów", właśnie tej, która dotarła do rzekomej „Szczeliny". Z niektórych fragmentów wynikało także, że grupa miała proweniencję jeleniogórską, a Autor miał z nimi bezpośredni kontakt. Na to wskazywałby takie zwroty jak *„zdaniem eksploratorów"* czy *„poszukiwacze twierdzą"*. Marek Chromicz nie jest natomiast konsekwentny jeśli chodzi o liczbę swoich rozmówców, ponieważ w jego relacji raz pojawia się sugestia, że miał tylko jednego (np. *„to trwało kilka tygodni – opowiada jeden z nich", „tam jest pozornie pusto, twierdzi jeden z eksploratorów"* czy też *„jego zdaniem"*), by za chwilę przejść płynnie do liczby mnogiej (*„jeździliśmy tam wiele razy", „ich zdaniem"*). Moim zdaniem świadczy to o tym, że rozmawiał z jednym człowiekiem, wypowiadającym się w imieniu większej grupy. Po raz pierwszy także mieliśmy do czynienia ze wzmianką o archiwalnej dokumentacji jednego ze starostw na temat prób penetracji terenu skrytki. Sam fakt istnienia takiej dokumentacji nie jest niczym zaskakującym, ponieważ na terenie szeroko rozumianych ziem odzyskanych działały po wojnie przeróżne grupy, komisje a nawet przedsiębiorstwa zajmujące się badaniem pozostawionych przez Niemców obiektów. Nową rzeczą byli świadkowie, którzy rzekomo potwierdzali pobyt niemieckich saperów w listopadzie 1944 roku w okolicy „Szczeliny". Informator podawał także nowe, zaskakujące szczegóły jak głębokość szybu, rozmiary komory etc. Czyżby więc była to rzeczywiście „Szczelina Jeleniogórska?!"

Emocje, a fakty...

Po ponownym przejrzeniu wcześniejszych tekstów uznałem, że... z pewnością nie. Spróbuję to udowodnić. We wcześniejszych relacjach Chromicza (np. w 1998 roku) droga prowadząca do podziemi została opisana zupełnie odmiennie niż w relacji z 2001 roku: „pewien młody człowiek" zjeżdżał wcześniej „szybem w dół", łączącym się bezpośrednio z komorą, w której ukryto skarby. Tymczasem rozmówcy Chromicza w wersji z 2001 roku zjechali najpierw szybem na kamienne zwałowisko, następnie zeszli skalnym osuwiskiem kilkanaście metrów niżej (w kolejnym fragmencie nawet „kilkudziesięciometrowym") do zawału, który przebrali i dopiero weszli do komory wykutej w skale. Pomijam już oczywiście fakt, że komora miała być zupełnie pusta, bez śladów niemieckich samochodów, motocykli czy ludzkich szczątek. Były w niej także tory górniczej wąskotorówki, nie wspominane we wcześniejszych relacjach. Sam rozmówca Chromicza dodaje także, że *„tam należy szukać »Szczeliny«, tyle tylko, że gdzieś obok"*, a za chwilę *„niezbyt prawdopodobne wydaje się bowiem to, że jest to Szczelina, tylko już całkowicie oczyszczona"*. Pomijam w zupełności nieuprawnione sugestie rozmówców Chromicza, jakoby *„ma się dziwne uczucie, że [komora] stanowi fragment czegoś innego, być może znacznie większego"* czy też przypuszczeń typu *„tam jest tylko pozornie pusto"*. Były o ewidentnie proste dziennikarskie „sztuczki", nieoparte o fakty, mające na celu podwyższyć emocje towarzyszące lekturze artykułu.

Wnioski były oczywiste: pomimo kilku podobieństw, było to zupełnie zwyczajne miejsce – pozostałość po pracach górniczych jakich jest wiele na Dolnym Śląsku. Zwróćmy uwagę, że anonimowi odkrywcy twierdzili buńczucznie, że są blisko samego schowka, a samych komór miało być trzy. Dlaczego więc nie kontynuowali poszukiwań, skoro byli *„tuż obok"* i *„mieli świadków"*? Dlaczego zrezygnowali?

Odpowiedź nasuwała się jedna. W tym miejscu nie było legendarnej „Szczeliny". Skrytka stanowiła dalej tajemnicę jej pierwszych odkrywców, a ja zamierzałem ją odnaleźć.

CDN.

Powyższy artykuł został opracowany na podstawie książki autora „Skarb generała. Na tropie tajemnic Szczeliny Jeleniogórskiej", która została wydana nakładem wydawnictwa Technol w 2015 roku. <

!

Jeśli ktoś z czytelników posiada nowe lub nieznane informacje o opisywanej przeze mnie sprawie, proszę o kontakt na adres: mediator.wroclaw@wp.pl lub przez portal społecznościowy Facebook (Grupa Eksploracyjna Miesięcznika Odkrywca / GEMO).

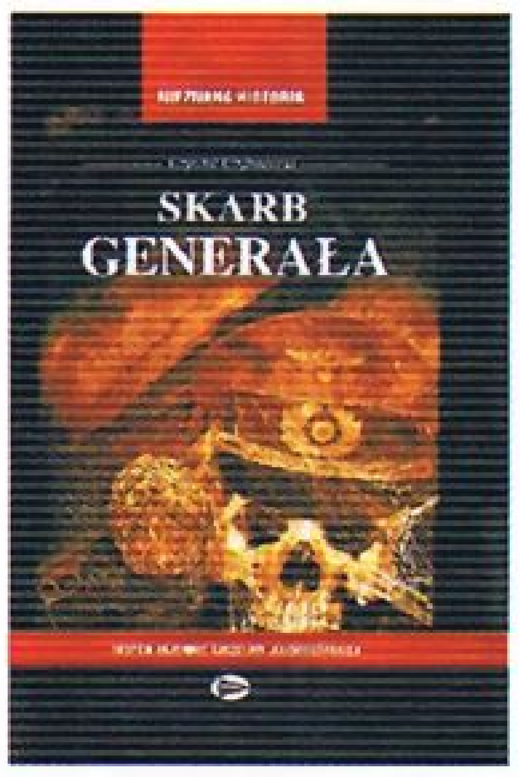

Krzysztof Krzyżanowski

Niezależny badacz, dziennikarz, eksplorator i fotograf. Pasjonat górnictwa, starych kopalni i dokumentów kartograficznych. Główna specjalizacja: zapomniane podziemia na Dolnym Śląsku. Współautor ponad 120 opracowań z dziedziny górnictwa i książek popularnonaukowych. Współpracownik „Odkrywcy" od 2008 roku.

LITERATURA

MAREK CHROMICZ **Schowek nie całkiem opróżniony**
Nowiny Jeleniogórskie, nr 25, 1998

MAREK CHROMICZ **Szczelina?**
Nowiny Jeleniogórskie, nr 44, 2001

BOGUSZYCKA TRAGEDIA W PIEKIELNIE ZIMNYM STYCZNIU

DARIUSZ PIETRUCHA

Sowiecka ofensywa styczniowa odcisnęła w tym rejonie Opolszczyzny tragiczne piętno, szczególnie w Boguszycach

Boguszyce (niem. *Boguschütz*, a od 1936 r. *Gottesdorf*) to mała miejscowość na południe od Opola, na lewym brzegu Odry. Leży przy drodze krajowej nr 45 łączącej Opole z Raciborzem. Naziści zmienili jej nazwę, bo pochodziła od słowiańskiego imienia Bogusz. Od 1772 r. Boguszyce posiadały szkołę (o charakterze polskim), której w 1872 r. w dobie Kulturkampfu nadano niemiecki charakter. W 1910 r. w Boguszycach mieszkało 538 osób, w tym 532 Polaków. Podczas plebiscytu w marcu 1921 r. za Polską padło tu 178 głosów, a za Niemcami tylko 149. Mimo to miejscowość pozostała po stronie niemieckiej. To dość ważne w kontekście wydarzeń, o których chciałbym Wam opowiedzieć.

W miejscowości znajduje się kościół, w którym do 1925 r. wszystkie nabożeństwa odbywały się w języku polskim. W latach 1925-1939 jedno nabożeństwo odprawiano w języku polskim, a drugie w niemieckim. Oczywiście potem nabożeństw w języku polskim zakazano.

Podczas wojny miejscowych mężczyzn jako *Reichsdeutschów* wcielano do niemieckiej armii. W 1939 r. walczyli przeciwko Polakom, których mowę w większości znali. Później znaleźli się wszędzie tam, gdzie stanął but niemieckiego żołnierza. Wielu z nich zginęło i nie wróciło do rodzinnej wioski. Jednak najgorsze dla Boguszyc dopiero miało nadejść…

Początek końca świata

Tragedia tej miejscowości rozegrała się w ciągu czterech dni (od 27 do 30 stycznia 1945 r.). Ale cofnijmy się kilka dni wcześniej. Walki o Opole zaczęły się 23 stycznia, a nad ranem następnego dnia praktycznie ustały. Sowieci, zdobywszy miasto po zaciekłej niemieckiej obronie, dokonali w nim masakry ludności cywilnej. Liczbę ofiar określa się na około 280 osób.

Już 21 stycznia Sowieci zbliżyli się do Krapkowic *(niem. Krappitz)*, a w nocy z 23 na 24 stycznia sowiecka 72. Dywizja Piechoty (dow. gen. mjr I. Jastriebow) z 21. Armii Ogólnowojskowej przekroczyła Odrę pod Krapkowicami i zdobyła przyczółek na lewym brzegu rzeki. Sowieci zdobyli również miejscowości Dobra *(niem. Döbern)* i Osobłoga *(niem. Hotzenplotz)*.

Samych Boguszyc broniła jedna kompania *Volkssturmu* dowodzona przez kpt. Lewalda. Obsadzili oni nadodrzańskie wały, a kilku żołnierzy z karabinem maszynowym ulokowało się z drugiej strony wsi, u wylotu opolskiej szosy. Kiedy jednak za rzeką pojawiły się radzieckie czołgi i wystrzeliły kilka pocisków, kompania Lewalda w popłochu opuściła stanowiska.

Niektórzy żołnierze szukali schronienia w domach koło dawnego młyna w pobliżu Odry, inni uciekali przez wieś w kierunku szosy. Nie ma im się co dziwić. Nazywam ich żołnierzami, którymi w praktyce nie byli. Kazano im walczyć, ale spanikowali w starciu z regularną sowiecką armią. Mieszkańcy Boguszyc mogli się ewakuować, ale tego nie chcieli. Wydawało im się, że Sowieci nie będą stanowili dla nich dużego zagrożenia. W końcu wielu z nich czuło się Polakami. Sądzili, że ucieczka *Volkssturmu* ma swój plus. Sowieci nie będą musieli walczyć o miejscowość, a jej mieszkańcy unikną zniszczeń i przypadkowej śmierci. Stało się zupełnie inaczej…

23 stycznia sowiecki pułk piechoty dowodzony przez Iwana Charmyszewa przystąpił do ataku w rejonie Winowa *(niem. Winau)* i Folwarku. W tej drugiej miejscowości Sowieci uchwycili przyczółek i poszerzali go w kierunku na Chrzowice. W okolicy pojawiły się niemieckie oddziały, które wycofały się z prawobrzeżnej części Opola. Wzgórze pomiędzy Chrzowicami a Chrząszczycami *(niem. Chrzumczütz, a od 1936 r. Schönkirch)*, które górowało nad całą okolicą, zostało obsadzone przez niemieckich obrońców. Grupa Bojowa „Opole", którą dowodził płk Lothar Berger (niektórzy piszą, że dowódcą tej grupy był płk Spiethöft), została wzmocniona jednostką alarmową artylerii. Posiadając dwie baterie dział kal. 105 mm, dała się we znaki Sowietom, próbującym umocnić się na zdobytych pozycjach.

W dniach 24-27 stycznia w rejonie Chrzowic, Chrząszczowic, Boguszyc i Złotnik miały miejsce intensywne walki, ataki i kontrataki. Ostatecznie 27 stycznia sowieccy żołnierze ze 120 DP ponownie przekroczyli rzekę i wniknęli w głąb niemieckiej obrony, docierając do szosy nr 45. Folwark, Chrzowice, Boguszyce i Źlinice zostały ponownie przez nich zdobyte. W miejscowości Boguszyce, w zabudowaniach należących do Chudallów, ulokowali sztab. Niestety, nie wiadomo, czy był to sztab pułku, batalionu czy kompanii. Rozpętała się zaciekła walka o okoliczne wzgórza (182 i 185), które przechodziły z rąk do rąk. To nie był jedyny rejon intensywnych walk. Dalej na południe walczyła sowiecka 72. DP, kilka razy zdobywając, a potem ustępując z Rogowa Opolskiego (niem. *Rogau*). Ściągnięta z Węgier niemiecka 100. Dywizja Strzelców Górskich (dow. gen. mjr Hans Kreppel) 27 stycznia zdołała wyprzeć Sowietów z miejscowości Dobra. To właśnie tam doszło do wydarzenia, które mogło zadecydować o losie mieszkańców Boguszyc.

Zbrodnia wojenna w Dobrej

Właściwie jestem pewien, że zadecydowało, choć to zapewne nie jedyny taki przypadek w historii tych styczniowych zmagań. Niemieccy żołnierze wzięli w Dobrej do niewoli kilkunastu rannych sowieckich żołnierzy. Ustawiono ich koło budynku poczty i rozstrzelano. Ich zwłoki ułożono na stos (w szopie gospodarza Mleczki) i podpalono. Jeden ranny sowiecki żołnierz cudem uniknął tego losu, ale nie uciekł od śmierci. Niemcy zamordowali go szpadlami od łopat. Wiadomość o tej zbrodni wojennej szybko trafiła do Sowietów.

Można się spodziewać, że dowódca sowieckiego 117 Korpusu Armijnego z 21 Armii Ogólnowojskowej, gen. mjr Wasilij Aleksiejewicz Trubaczew, któremu podlegały 72 DP i 120 DP, na wieść o mordzie przekazał oficerom i podoficerom rozkaz, aby ci ogłosili tragiczną wiadomość żołnierzom. Chyba tym należy tłumaczyć fakt, że już następnego dnia czerwonoarmiści całkowicie zmienili stosunek do miejscowej ludności, który podczas wcześniejszych walk można określić mianem stosunkowo poprawnego (oczywiście poza aktami ewidentnego bestialstwa, których autorami byli dotąd nieliczni sowieccy żołnierze). W nocy z 28 na 29 stycznia do walki w tym rejonie wprowadzono sowiecką 125 DP (dow. płk Wasilij Zinowiew), być może bardziej upolitycznioną i żądną krwi od tych jednostek, które walczyły na tym obszarze. Tylko że pierwsze mordy rozpoczęły się na kilkanaście godzin wcześniej, zanim 125. DP została skierowana do akcji.

Śmierć za każdym rogiem

Już 28 stycznia w Boguszycach piekło zstąpiło na ziemię. Do piwnicy rodziny Lubczyków weszli sowieccy żołnierze i wybrali trzech mężczyzn (jednym z nich był Bernard Kulik), których zadaniem miało być kopanie grobów. Mężczyźni poszli, chyba nie przeczuwając niebezpieczeństwa. Zresztą powiedziano im, że za kilka godzin wrócą do swoich rodzin. Następnego dnia znaleziono ich martwych koło szkoły. To była jedna z pierwszych zbrodni. Coś musiało się dziać w sowieckich szeregach, gdyż do Kulikowej >>>

Figura anioła na boguszowickim cmentarzu.

Opole po walkach w 1945 roku.

> *…I wtedy… zaczęli strzelać. Tak wkoło, po wszystkich. I wtenczas mama dostała i upadła na mnie. Ja zemdlałam…*
>
> *…Ja wtedy w jednej minucie wydorosłałam, wiedziałam, że muszę te dzieci uratować. Płakać wtedy nie umiałam, nie mogłam…*
>
> *Wspomnienia mieszkanki Boguszyc*

>>> z Boguszyc, która pozostała z trójką dzieci, przyszło dwóch oficerów. Podobno jeden z nich mówił trochę podobnie do języka polskiego, który Kulikowa doskonale znała. Ostrzegł ją, aby powyciągała córkom z uszu złote kolczyki, a także ukryła biżuterię, którą miała na sobie. Na koniec powiedział jej wprost, że ma zabrać dzieci i uciekać jak najdalej od tego miejsca, w którym za niedługo stanie się coś strasznego. Widać coś wiedział o planowanym mordzie, a sumienie nie pozwalało mu nie podzielić się tą wiadomością z matką trójki małych dzieci.

Gen. mjr Joachim von Siegroth.

W budynku, gdzie stacjonował sowiecki sztab, w nieustalonych okolicznościach, zostało zamordowana rodzina Chudallów (prawdopodobnie 8 osób – Bernhard, Maria, Jadwiga, Stanisław, Róża, kolejna Maria, Eleonora i Józef; oprócz tego kilku członków tej rodziny zginęło na wojnie). W domu Piechatzków doszło do kolejnej tragedii. Piotr, jego żona Agnieszka, syn i dwie córki (jedna z nich to Matylda) zginęli zamordowani. Po drugiej stronie ulicy zginęli inni członkowie tej rodziny – podeszły wiekiem Jan i jego chory umysłowo syn Stanisław. Józef i Maria Piechatzkowie, mieszkający w innej części wsi, zostali zamordowani wraz z Robertem, bratem Józefa. W gospodarstwie Smolinów zginął Józef, jego córka z dzieckiem oraz dwie siostry Józefa (Hildegarda, Jadwiga i Erwin). Ich dom podpalono. W domu należącym do rodziny Lihsy zamordowano wszystkich domowników – małżonków Stanisława i Julię, ich córkę Bronisławę oraz pozostające w podeszłym wieku Katarzynę, Jadwigę i Franciszka, rodzeństwo Stanisława. W domu Matuszków Sowieci zamordowali małżeństwo młodych gospodarzy (Franciszek i Jadwiga). Maria Woitzik, matka zamordowanej Jadwigi, starała się ukryć czworo dzieci, swoich wnucząt (Gerda, Krystyna, Erika i Herbert). Uciekła do piwnicy. Na nic się to nie zdało. Zginęła razem z nimi. Ocalał tylko Herbert, którego następnego dnia rannego znaleźli w piwnicy sowieccy żołnierze (szukali ziemniaków). Nie wiem, jak to można wytłumaczyć, ale zajęli się rannym chłopcem, ratując mu życie. W tym czasie na zewnątrz budynku Sowieci zastrzelili Józefa Woitzika (męża Marii), staruszków Annę i Józefa Seibelów z miejscowości Malina zza Odry (krewnych Matuszków) oraz trójkę chłopców, którzy przyjechali do Matuszków razem z Seibelami. Świadkiem tej przerażającej sceny był ich sąsiad Józef Malkusch, który siedział w szopie i ze strachu odmawiał różaniec. Jego również zastrzelono. Nawet siostra zamordowanej Matuszkowej, 20-letnia Anastazja Woitzik, nie uniknęła śmierci. Sowieci zastrzelili ją w zabudowaniach u sąsiadów. Chwilę po tej tragedii na podwórku Matuszków zjawił się miejscowy pastor, 59-letni Franciszek Walloschek. Trudno powiedzieć, czy przyszedł z własnej inicjatywy, czy został sprowadzony na siłę. Sowieci od razu go zastrzelili. W innych budynkach i piwnicach działo się dokładnie to samo. *„I wtedy... zaczęli strzelać. Tak wkoło, po wszystkich. I wtenczas mama dostała i upadła na mnie. Ja zemdlałam..."* Autorka tych słów cudem ocalała. Zginęli wszyscy dorośli, którzy ukrywali się w piwnicy, do której zaczęli strzelać sowieccy żołnierze (wiedząc, że jest tam sporo małych dzieci). Ocalały tylko cztery osoby, same dzieci. Dom, w którym doszło do tej masakry, został celowo podpalony. *„Ja wtedy w jednej minucie wydoroślałam, wiedziałam, że muszę te dzieci uratować. Płakać*

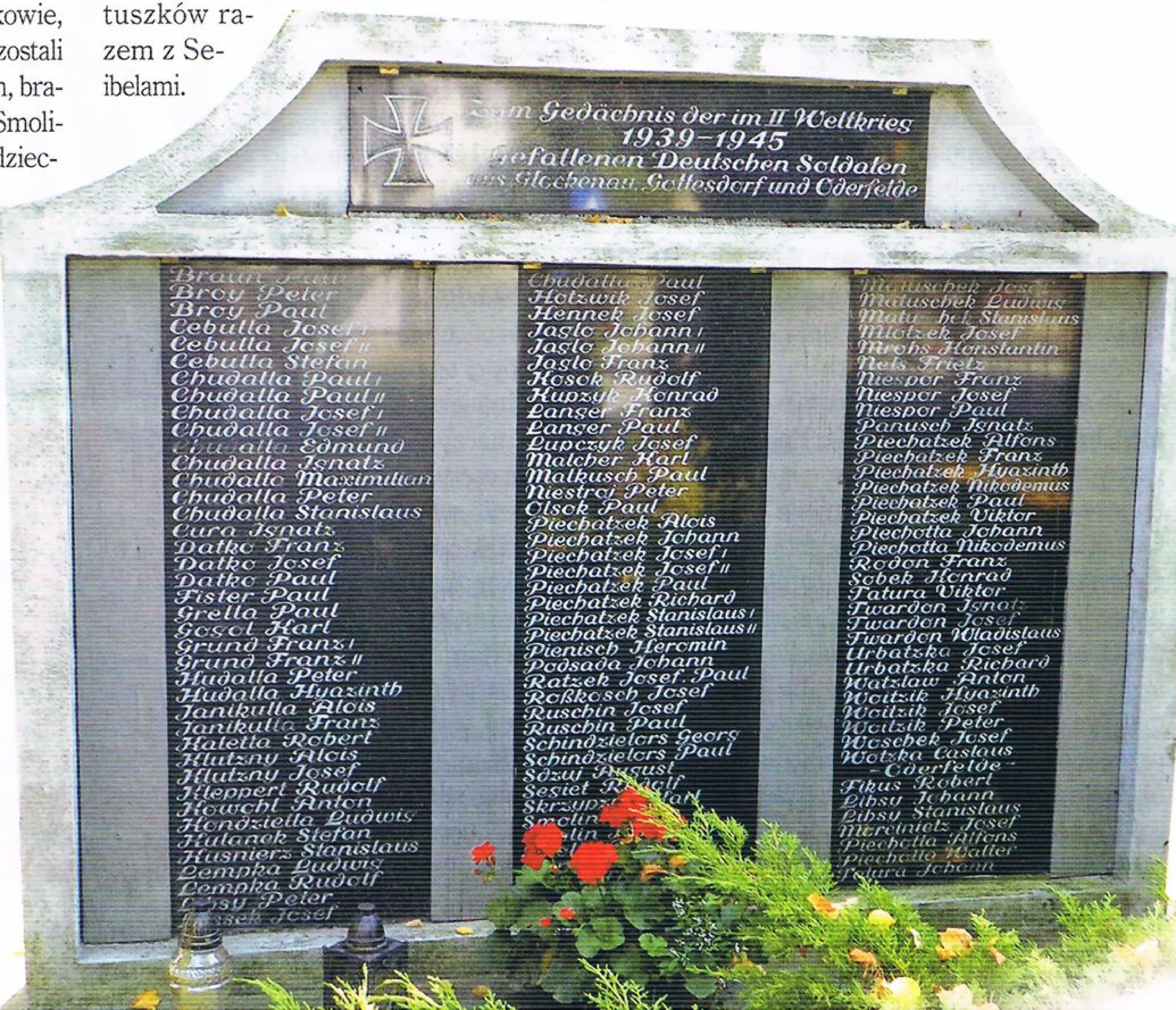
Zum Gedächnis der im II Weltkrieg
1939–1945
Gefallenen Deutschen Soldalen
aus Glockenau, Gottesdorf und Oderfelde
Braun Paul
Broy Peter
Broy Paul
Cebulla Josef I
Cebulla Josef II
Cebulla Stefan
Chudalla Paul I
Chudalla Paul II
Chudalla Josef I
Chudalla Josef II
Chudalla Edmund
Chudalla Ignatz
Chudalla Maximilian
Chudalla Peter
Chudalla Stanislaus
Cura Ignatz
Datko Franz
Datko Josef
Datko Paul
Fister Paul
Grella Paul
Gosol Karl
Grund Franz I
Grund Franz II
Hudalla Peter
Hudalla Hyazinth
Janikulla Alois
Janikulla Franz
Haletta Robert
Klutzny Alois
Klutzny Josef
Kleppert Rudolf
Kowchl Anton
Kondziella Ludwis
Kulanek Stefan
Kusnierz Stanislaus
Lempka Ludwis
Lempka Rudolf
Lihsy Peter
Chudalla Paul
Holzwik Josef
Hennek Josef
Jaslo Johann I
Jaslo Johann II
Jaslo Franz
Kosok Rudolf
Kupzyk Konrad
Langer Franz
Langer Paul
Lupczyk Josef
Malcher Karl
Malkusch Paul
Niestroj Peter
Olsok Paul
Piechatzek Alois
Piechatzek Johann
Piechatzek Josef I
Piechatzek Josef II
Piechatzek Paul
Piechatzek Richard
Piechatzek Stanislaus I
Piechatzek Stanislaus II
Pienisch Heromin
Podsada Johann
Ratzek Josef. Paul
Roßkosch Josef
Ruschin Josef
Ruschin Paul
Schindzielors Georg
Schindzielors Paul
Sdzuj August
Sesiet Rudolf
Matuschek Josef
Matuschek Ludwis
Matuschek Stanislaus
Mlotzek Josef
Mrohs Konstantin
Nels Frietz
Niespor Franz
Niespor Josef
Niespor Paul
Panusch Ignatz
Piechatzek Alfons
Piechatzek Franz
Piechatzek Hyazinth
Piechatzek Nikodemus
Piechatzek Paul
Piechatzek Viktor
Piechotta Johann
Piechotta Nikodemus
Rodon Franz
Sobek Konrad
Tatura Viktor
Twardon Ignatz
Twardon Josef
Twardon Wladislaus
Urbatzka Josef
Urbatzka Richard
Watzlaw Anton
Woitzik Hyazinth
Woitzik Josef
Woitzik Peter
Woschek Josef
Wotzka Caslaus
– Oderfelde –
Fikus Robert
Lihsy Johann
Lihsy Stanislaus
Mercinietz Josef
Piechotta Alfons
Piechotta Walter
Tatura Johann

Tablica ku pamięci mieszkańców Boguszyc poległych podczas II wojny światowej (ok. 120 nazwisk).

wtedy nie umiałam, nie mogłam...”, pisze dalej cudownie ocalała. Przez zabudowania gospodarcze przeprowadziła swoich podopiecznych do innego budynku.

Niemiecki kontratak

29 stycznia sytuacja sowieckich wojsk nieco się pogorszyła. Niemcy ściągnęli nowe siły i zamierzali przeprowadzić kontratak (wsparty czołgami) wzdłuż lewego brzegu Odry. Dowódca 21. Armii Ogólnowojskowej, gen. płk Dmitrij Gusiew, rozkazał podległym sobie jednostkom zająć dogodne pozycje obronne. Gdy nastąpił niemiecki kontratak, żołnierze ze 125. DP wycofali się do zajętych wcześniej wsi, szykując się do walki w okrążeniu. Niemcy przepuścili trzy ataki, które zostały odparte. Później na trzy wsie spadł silny ostrzał niemieckiej artylerii. Sowieci twardo trzymali się na swoich stanowiskach, odpierając nawet ataki niemieckich czołgów. Walczono pomiędzy Chrzowicami, Boguszycami, Chrząszczycami i Złotnikami. To bez wątpienia potęgowało wrogość Sowietów.

Dlaczego?

Gdyby w Boguszycach w pierwszej kolejności mordowano ludzi związanych z nazistowskim reżimem, miałoby to jakiś sens. Ale mordowano zwykłe osoby, które z polityką nie miały nic wspólnego. Co ciekawe, we wsi cały czas przebywał miejscowy sołtys, a jednocześnie Orstgruppenleiter NSDAP Richard Bink, który wraz z rodziną ukrył się w piwnicy. W okresie wojny miał opinię fanatycznego nazisty, wrogo nastawionego wobec robotników przymusowych z Polski i Ukrainy. Najprawdopodobniej nie zdecydował się wcześniej na ucieczkę, by nie posądzono go o defetyzm. Został więc we wsi – na swoją zgubę i swojej rodziny. Później nie było już gdzie uciekać. 29 stycznia w ich piwnicy zjawili się sowieccy żołnierze. Wiedzieli, jaką rolę we wsi pełnił Bink. Zastrzelili go, a wraz z nim zginęła jego żona Agata, syn Helmut, córka Stazja (z małym dzieckiem), córki Paula, Elżbieta i Irma. Niewykluczone, że Richard był przed śmiercią torturowany. Zastrzelono nawet ich służącą, Jadwigę Piechatzek. Ale to nie koniec. Na podwórko Binków zapędzono innych ludzi. Była to rodzina Gielników (matka z siedmiorgiem dzieci – jej mąż został zastrzelony dzień wcześniej – byli to Ignacy, Maria, Hildegarda, Elżbieta, Helena, Maria, Ludwik i Paul). Zginęli wszyscy poza 16-letnią Getrudą, która wymknęła się przez okno oraz jej młodszą siostrą, ale o niej za chwilę. Wraz z Gielnikami w szopie Binków zamordowano kilka osób z rodziny Gwosdzów, Piechatzków i innych miejscowych rodzin. Wszystkim kazano położyć się twarzą na klepisku. Tak ich zastrzelono, nie patrząc ofiarom w oczy. 13-letnią Marię Gielnikową kula nieznacznie trafiła w rękę. Zdołała opanować strach i uciec. Następnego dnia została zastrzelona. Obok domu Binków zastrzelono Pawła Kosoka.

To nie był tylko bezlitosny mord. Na jednym z podwórek leżały zwłoki sześciu półnagich kobiet, które miały pocięte brzuchy i piersi. Jak na ironię, 27 stycznia Maria Broy (żona Franciszka Wieschalli) urodziła córkę Marię, a 30 stycznia jedna z Piechactzkowych urodziła w Boguszycach syna, któremu dała na imię Ryszard. 30 stycznia dwudniowa Maryjka została zamordowana. Życie mieszało się ze wszechobecną śmiercią. Zwłoki pomordowanych leżały na ulicach, podwórkach, w budynkach i w piwnicach. Jeden z sowieckich żołnierzy ostrzegł miejscową kobietę z dzieckiem, aby jak najszybciej uciekała. Co więcej, eskortował ją do budynku Wieschallów, gdzie pozostawił ją pod opieką gospodarzy. Trudno to wszystko zrozumieć, a tym bardziej wytłumaczyć. W innym budynku zastrzelono staruszków, Joannę i Antoniego Krawietz, a łóżko z ich zwłokami podpalono. 31 stycznia Sowieci przestali mordować. Tak po prostu.

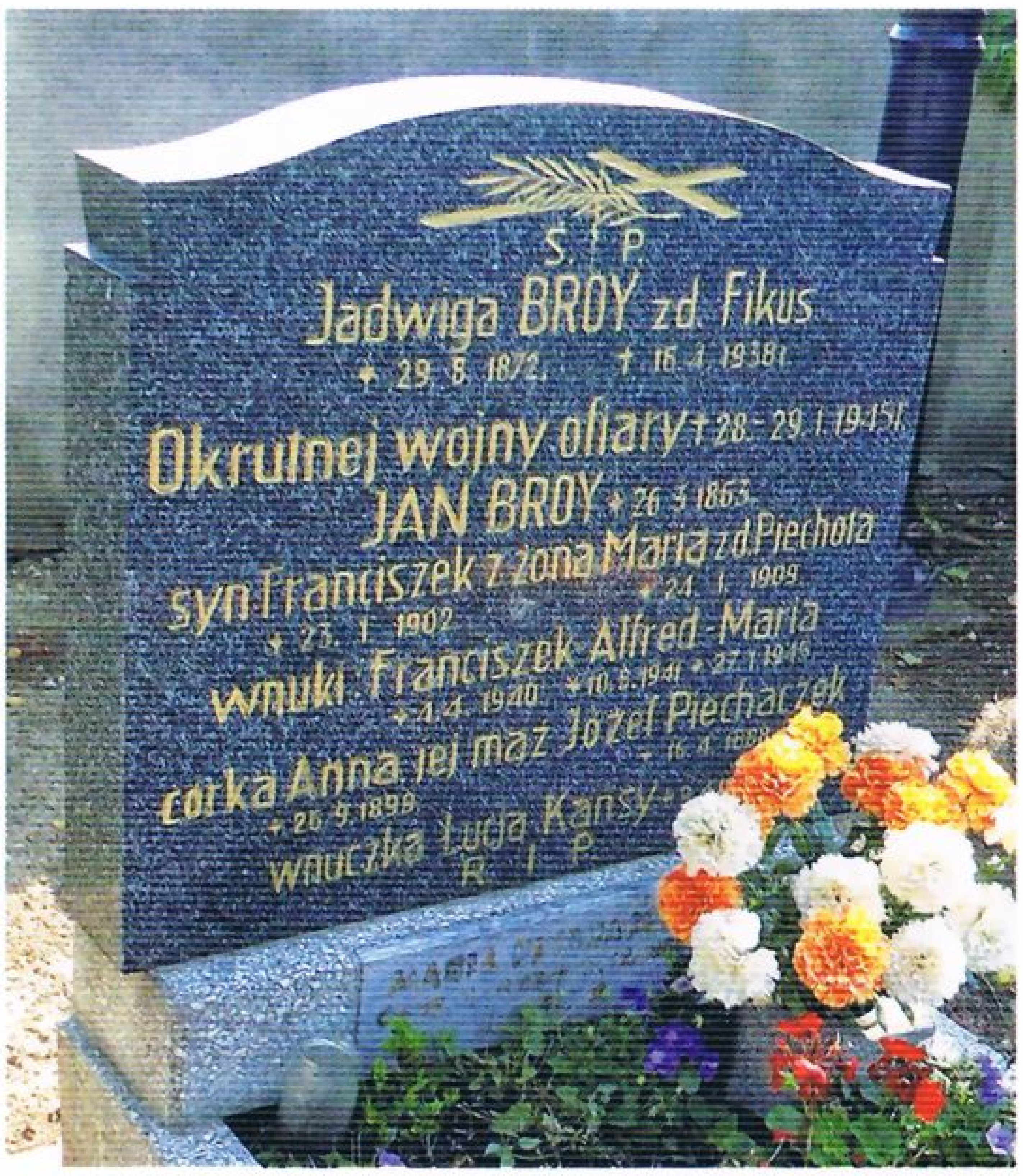
S. † P.
Jadwiga BROY zd. Fikus
Okrutnej wojny ofiary
JAN BROY
syn Franciszek z żoną Maria z d. Piechota
wnuki Franciszek Alfred Maria
córka Anna jej mąż Józef Piechaczek
R. I. P.

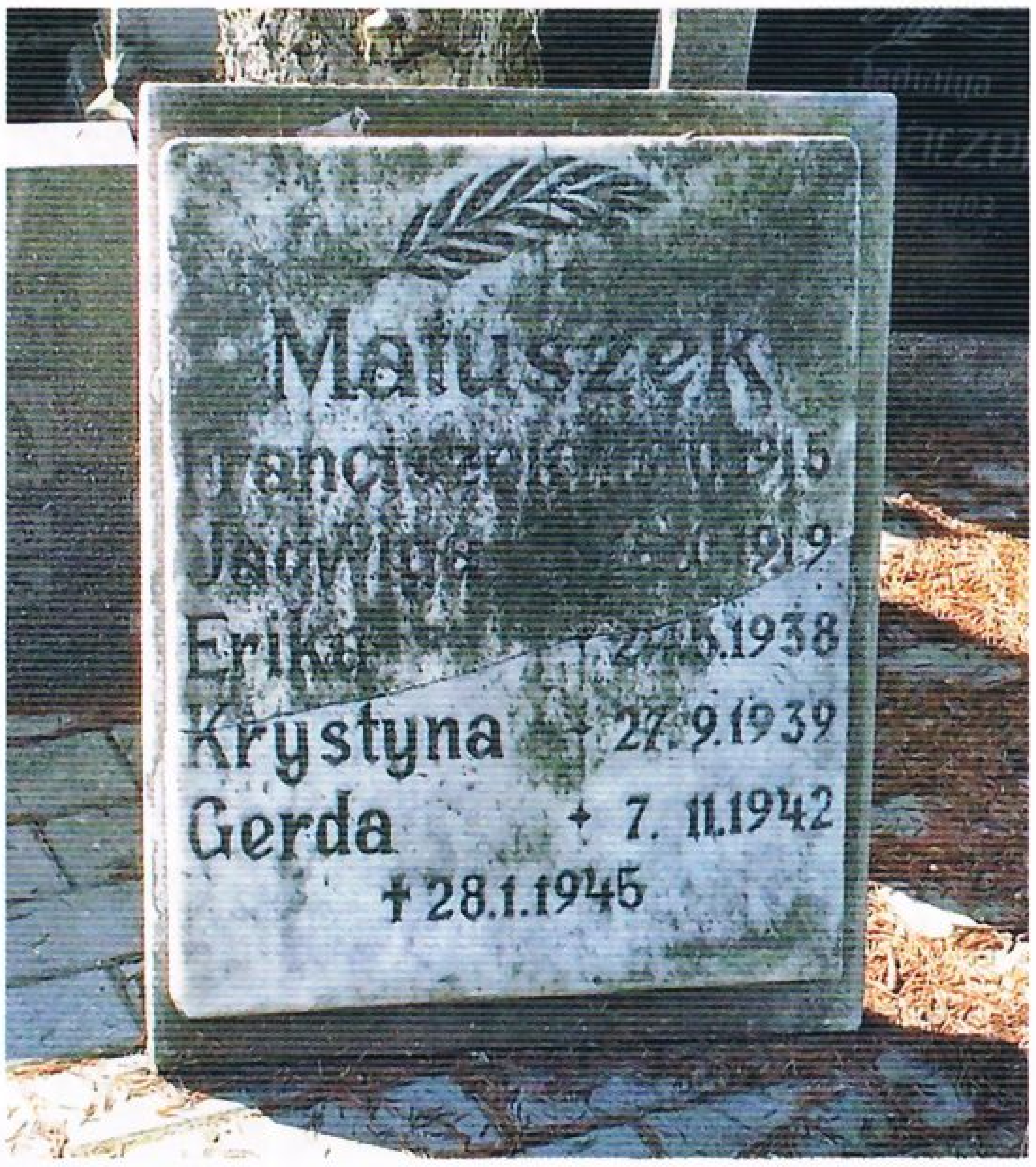

Nagrobek rodziny Broy, w tym dwudniowej Marii.

Nagrobek rodziny Matuszków na boguszowickim cmentarzu.

Są różne odpowiedzi na pytanie, dlaczego nagle zaprzestano mordów. Mogło mieć to związek z działalnością powołanego w Krakowie 22 stycznia 1945 r. Komitetu Obywatelskiego Polaków Śląska Opolskiego, który 27 stycznia wręczył gen. Aleksandrowi Zawadzkiemu memoriał. Była w nim mowa o tym, że na Opolszczyźnie zamieszkuje wiele osób uważających się za Polaków, na których uwagę powinny zwrócić wojska sowieckie. Gen. Zawadzki mógł przekazać wiadomość do dowództwa sowieckiego I Frontu Ukraińskiego, a stamtąd mógł pójść rozkaz do

>>>

>>> walczących jednostek, by uważać na ludność cywilną. Być może zakazano nawet jakichkolwiek niezgodnych z prawem działań wobec ludności cywilnej. Nie wydaje mi się jednak, aby stało się to tak szybko i tak skutecznie. Bardziej prawdopodobne, że któryś z sowieckich oficerów (być może nawet dowódca dywizji), dotąd nieświadomy o skali zbrodni, wydał rozkaz zaprzestania takich działań. A może jeszcze prościej. Ci sowieccy żołnierze, którzy w Boguszycach dokonali tak potwornej zbrodni, w nocy mogli zostać przesunięci na inne stanowiska. Dlatego się skończyło.

Tabu

Ciała pomordowanych leżały tam, gdzie zakończyli swój żywot. Na razie nie wolno było ich pochować. Ale ich zwłoki pozbierano i wystawiono na widok. Leżały na prowizorycznych katafalkach w izbach czy stodołach. Taki był tu zwyczaj. Nie było trumien. Każdą dostępną deskę wykorzystano na sklecenie prowizorycznych skrzyń. We wsi zostało przy życiu kilkunastu mężczyzn, którzy pomagali wszystkim wokół. 31 stycznia zaczęły się pierwsze pogrzeby. Właściwie trudno to nazwać godziwymi pochówkami. Pomordowanych grzebano w ogródkach, bez udziału pastora, który też nie żył. 31-letnia Albina Piechatzek, od 1933 r. mieszkanka Źlinic, zmobilizowała ocalałe kobiety do zbierania ciał. We wsi słychać było lament i płacz. Głównie z powodu bezsilności. Wyraźnie zmieniło się nastawienie sowieckich żołnierzy.

„Żołnierze podjechali blisko i zobaczyli nas. Jeden zeskoczył z wozu, podszedł i zapytał, dlaczego tak płaczemy. Powiedziałam mu, że jesteśmy sami i że nasi rodzice są tam w środku pobici. Poszedł na podwórko, widocznie zajrzał do komory, może jeszcze gdzieś i kiedy wrócił coś mówił do pozostałych, a potem wsadzili nas na tę furę, zawrócili i zawieźli przez most na Odrze, którego jeszcze przed paru dniami nie było, do Groszowic, do szpitala" – wspomina mieszkanka Boguszyc. Po czasie sowieckie władze wojskowe wydały pozwolenie na pochowanie pomordowanych na miejscowym cmentarzu. Mężczyźni wykopali tam dół, do którego składano zwłoki (około 200 ofiar). Nad całością starała się zapanować Albina Piechatzek. Ale nie wszystkie ciała wtedy odnaleziono. Wokół ciągle toczyły się walki, które pociągały nie tylko duże straty wśród żołnierzy obydwu stron, ale także wśród cywili. Niemcy wzmocnili swoją obronę rozciągającą się od Dąbrowy Niemodlińskiej (niem. *Dambrau*) przez Niemodlin (niem. *Falkenberg*), Korfantów (niem. *Friedland in Oberschlesien*), Głogówek (niem. *Oberglogau*) aż do Krapkowic. Ściągnęli w ten rejon nowe jednostki, tworząc Grupę Korpuśną „Schlesien" (dow. gen. Rudolf Koch-Erpach)[1]. Ostrzał zniszczył budynek szkoły w Boguszycach i wieżę kościoła. Niemiecki pocisk artyleryjski trafił w dom rodziny Kroll w Źlinicach, zabijając nastoletniego chłopca i ciężko raniąc 35-letnią Krystynę Piechatzek. Została zawieziona do sowieckiego sztabu w domostwie Chudallów, skąd żołnierze przetransportowali ją do szpitala w Groszowicach. Straciła nogę, ale przeżyła. Jednakże straciła dwóch synów, zastrzelonych na polach przez niemieckiego lub sowieckiego żołnierza. Z powodu zaciekłych walk ludność cywilna została zmuszona przez Sowietów do ewakuacji na prawy brzeg Odry. Ci, którzy ocaleli z masakry w Boguszycach, również musieli odejść. W mrozie, śniegu i czyhającej wokół śmierci.

Gdy w połowie stycznia 1945 r. Sowieci przystąpili do operacji opolskiej, niemiecka obrona szybko pękła. Front przesunął się dalej, więc mieszkańcy Boguszyc i okolicznych wsi mogli powrócić do swoich domów. Wszędzie leżały zwłoki sowieckich i niemieckich żołnierzy. Zaczynała się wiosna, więc fetor stawał się nie

1 Panorama Boguszyc od strony Źlinic.

2 Tablica pamiątkowa na kaplicy przy boguszowickim kościele.

3 Kościół parafialny w Boguszycach.

1

Boguszyce
Boguschütz

3

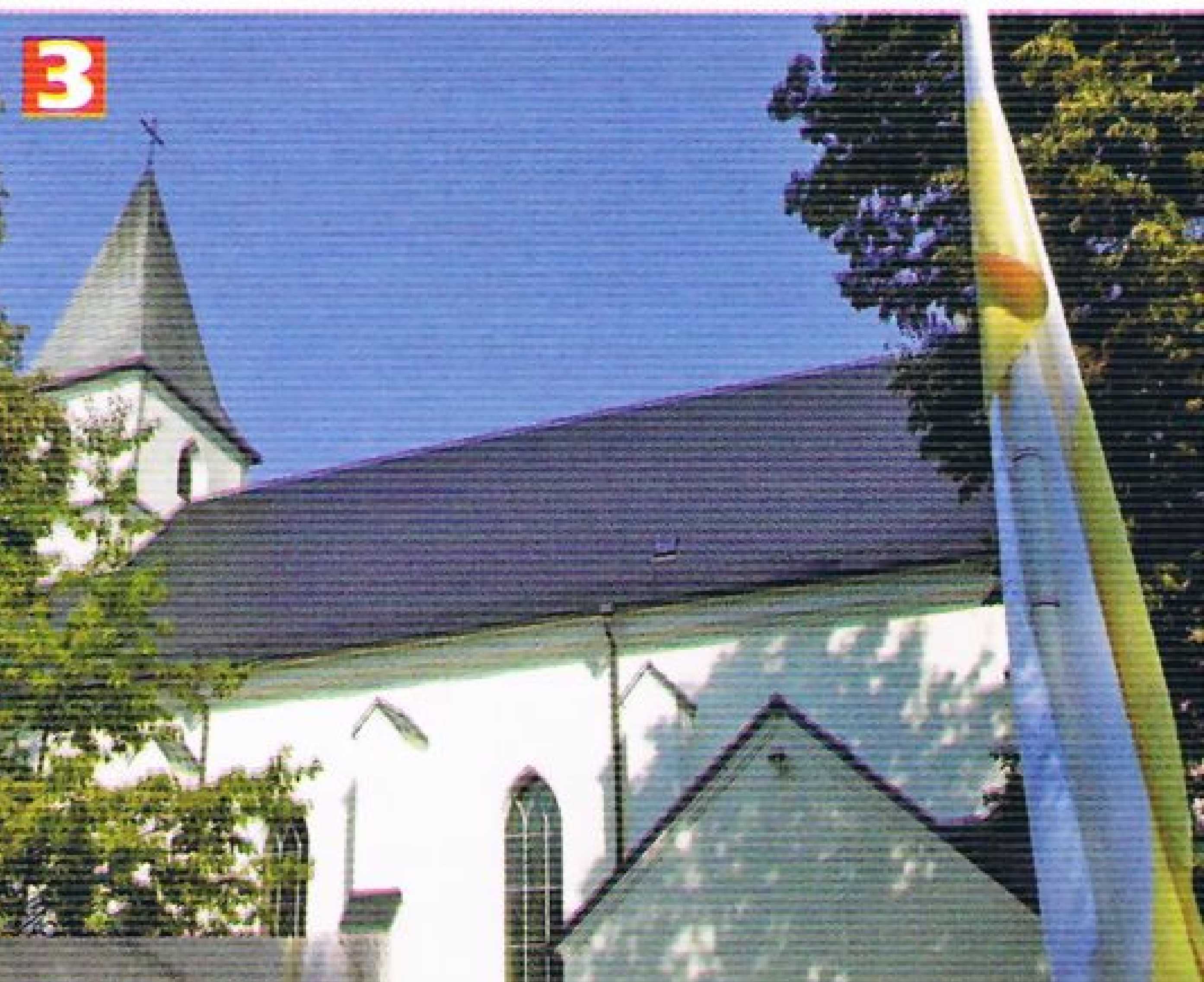

2

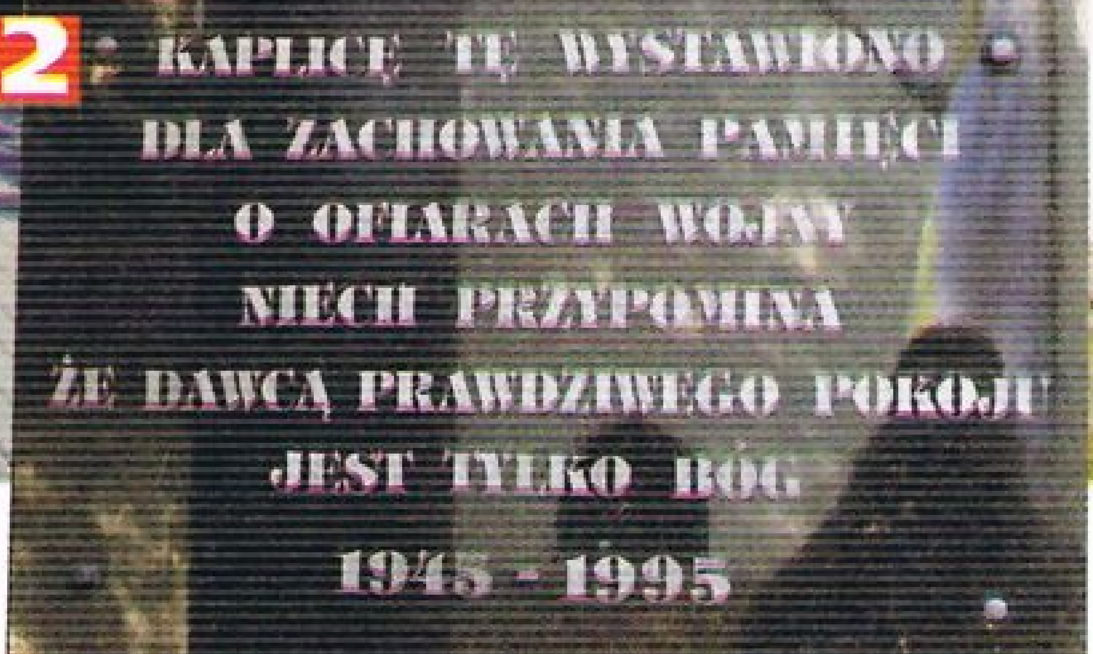

KAPLICĘ TĘ WYSTAWIONO
DLA ZACHOWANIA PAMIĘCI
O OFIARACH WOJNY
NIECH PRZYPOMINA
ŻE DAWCĄ PRAWDZIWEGO POKOJU
JEST TYLKO BÓG
1945 - 1995

do zniesienia. Około 86 niemieckich żołnierzy pochowano we wspólnej mogile na cmentarzu w Boguszycach. Razem z nimi pochowano sowieckich żołnierzy (później ekshumowanych i złożonych w Chrzowicach, a ostatecznie w Kędzierzynie). Liczba ciał złożonych w masowych mogiłach sięgała setek ludzi. Natomiast w samych Boguszycach pochowano około 275 osób, ofiar kilku dni bestialskiego mordowania. Mogło ich być więcej, bo w okolicy przebywało wiele osób uciekających z prawego brzegu Odry. W marcu 1945 roku powstała ich kolejna wspólna mogiła na boguszowickim cmentarzu. Ogółem mogło zostać zamordowanych nawet około 350 osób. Kiedy dzisiaj odwiedzicie cmentarz w Boguszycach, nagrobki tych osób są w różnych miejscach, a część z nich zebrano w jedną grupę.

„Dopiero z biegiem czasu do domów, z których nikt nie przeżył, zaczęli się wprowadzać pochodzący z okolicznych wsi krewni dawnych właścicieli. Ja też mieszkam teraz w domu, w którym w styczniu 1945 roku zamordowani zostali krewni mojej żony" – wspomina Alojz Olsoka z Boguszyc.

Wyrzut sumienia

Kiedy czytacie ten tekst, na pewno rzucają się Wam w oczy polskie nazwiska pomordowanych (pomimo niemieckiej pisowni, co normalne – w końcu był to obszar Niemiec). No tak, bo Boguszyce właściwie były polską wsią. Tak było od wieków. Dlatego tym bardziej bolesnym jest fakt, że ta miejscowość stała się miejscem, a jednocześnie symbolem bestialstwa sowieckiej armii, którego doświadczyła spora część Opolszczyzny i mieszkających tam Ślązaków. Ciągle powraca to samo pytanie – dlaczego? Dzisiaj o tragedii w Boguszowicach niewiele osób pamięta. Jeszcze więcej pewnie woli o niej nie pamiętać. Można by zadać to samo pytanie – dlaczego?

Kiedy skończyła się wojna, do gospodarstwa Passonowej zawitali niezwykli goście. Na jej podwórku stanął sowiecki czołg i ciężarówka. Oficer poprosił o miejsce do spania dla siebie i swoich żołnierzy. Wystraszona gospodyni zgodziła się. Przebywając w domu oficer zauważył małe dziewczynki, których rodzice zginęli podczas styczniowej masakry. Gdy dowiedział się, że stały się sierotami z powodu sowieckich żołnierzy, zdenerwował się na swoich rodaków i zaoferował, że może je zabrać do ZSRR. Passonowa, chcąc je uratować, kazała im w nocy uciekać z domu. Następnego dnia oficer dopytywał, gdzie są. Kazał ich nawet szukać. Po czasie dał swoim ludziom rozkaz do wyjazdu. Pewnie chciał dobrze. A może po prostu było mu wstyd…

Boguszyce starały się wrócić do normalności. Próbowano również prawnie unormować sytuację dzieci, które straciły rodziców. Nie można było jednak mówić, że są ofiarami sowieckiej armii. Tego w urzędach nie tolerowano.

JÓZEF
MARIA
PIECHATZEK
HELENA
GERTRUDA
JADWIGA
KONRAD

Nagrobek rodziny Piechatzków na boguszowickim cmentarzu.

„Jak tak można mówić, twoi rodzice zginęli od niemieckiej bomby, a nie przez radzieckich żołnierzy!". Odpowiedź urzędnika w Opolu

Po czasie do Boguszyc wracali mężczyźni, którzy służyli w niemieckiej armii. Wtedy dowiadywali się, że ich rodziny nie żyją… Wieś starała się żyć z pamięcią o tym, co się stało. Żyć nowym życiem. Pierwszym prezesem wiejskiego koła „Samopomocy Chłopskiej" został wybrany Józef Kiełbasa, którego wraz z pasierbem w styczniu 1945 r. Sowieci zabrali z domu. Na szczęście uniknęli dalszej wywózki na wschód, bo pewnie by z niej nie wrócili. No i ciągle to samo pytanie – dlaczego? <

Dariusz Pietrucha

Prezes Stowarzyszenia na Rzecz Zabytków Fortyfikacji „Pro Fortalicium". Współpracownik miesięcznika „Odkrywca", publikował m.in. w „Focus Historia".

LITERATURA

STAŃCZYK HENRYK **Od Sandomierza do Opola i Raciborza**
Warszawa 1998

SMOLORZ DAWID, KORDECKI MARCIN **Górny Śląsk 20 historii z XX wieku**
Gliwice 2010

TOMCZYK DAMIAN **Śląsk Opolski – 1945. Militarne i polityczne aspekty okresu wyzwolenia, Instytut Śląski w Opolu**
Opole 1989.

WALEŃSKI BERNARD **Na płacz zabrakło łez**
wydanie internetowe

PRZYPISY

[1] W składzie Grupy Korpuśnej „Schlesien" znalazły się Grupa Bojowa z estońskiej 20. Ochotniczej Dywizji Grenadierów SS (dowódca SS-Brigadeführer Franz Xaver Josef Maria Augsberger), resztki 168. Dywizji Piechoty (dowódca gen. mjr dr Maximilian Rosskopf) oraz resztki 344. Dywizji Piechoty (dowódca gen. por. Erwin Jollase); w walkach uczestniczył także Pułk Alarmowy „Schlesien" utworzony z ozdrowieńców z zapasowego szpitala wojskowego w Nysie.

NA OKOPACH

KLUKI 1944/1945

BARTOSZ BIJAK

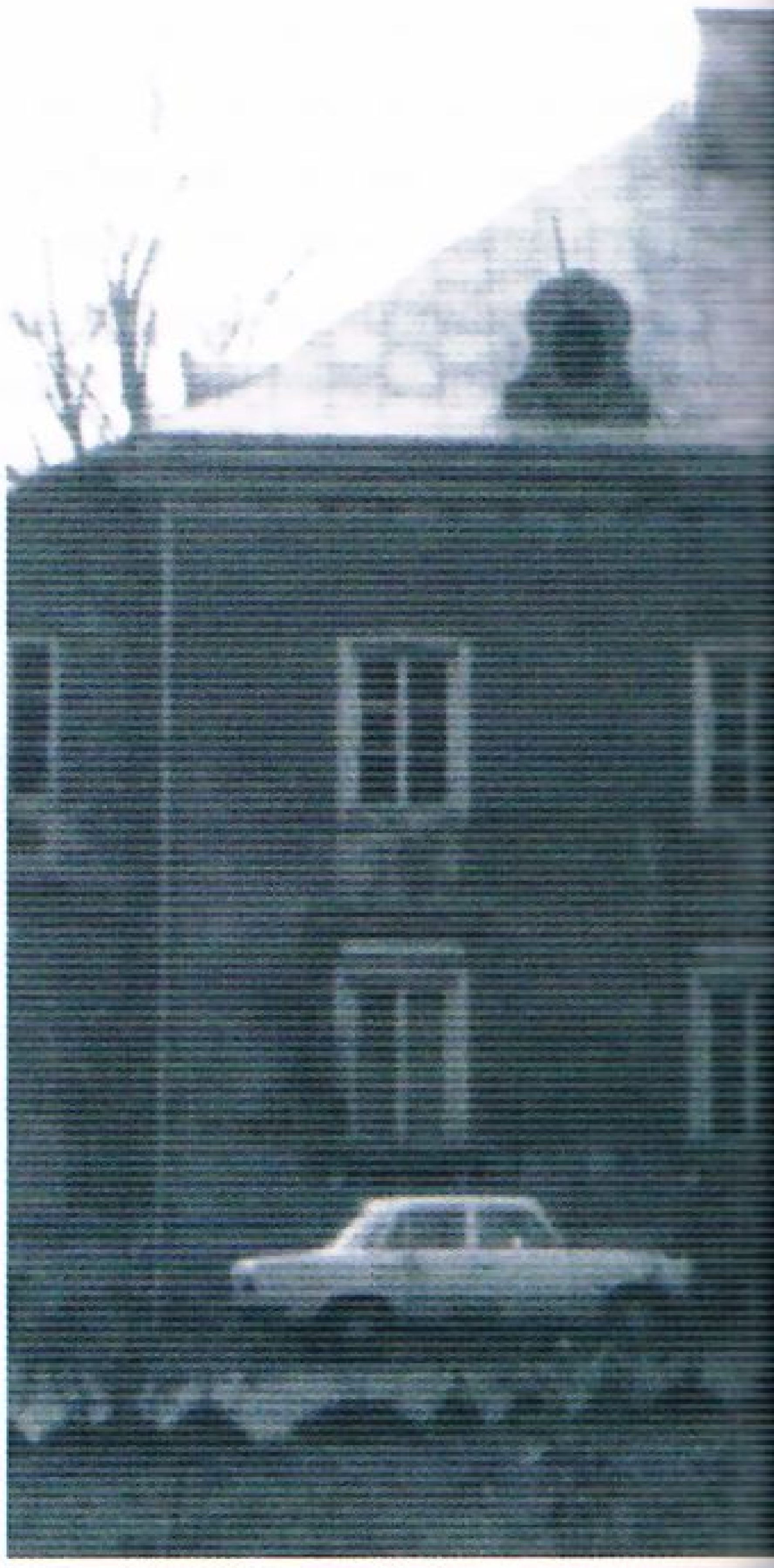

fot. zbiory Bartosza Bijaka (2)

Ogólny zarys działalności obozu pracy przymusowej w świetle przesłuchań świadków

Termin „obozy" w kontekście II wojny światowej przywodzi na myśl przede wszystkim obozy masowej zagłady i koncentracyjne. Osoby bardziej zainteresowane tematem dodadzą pewnie również obozy jenieckie. Stosunkowo rzadko wspomina się o niewielkich, krótkotrwałych obozach pracy przymusowej, które Niemcy organizowali pod koniec wojny w celu zmuszenia miejscowej ludności do budowy różnego rodzaju fortyfikacji polowych mających zatrzymać Armię Czerwoną[1].

Chciałbym dziś Czytelnikom „Odkrywcy" pokrótce przedstawić jeden z wielu takich obozów utworzonych na ziemiach polskich. I nie chodzi mi tu o precyzyjne zrekonstruowanie jego dziejów, bo to jest w moim przekonaniu prawie niemożliwe[2], lecz o zasygnalizowanie pewnej tematyki badawczej poprzez przywołanie konkretnego przykładu.

Historia Kluk

Kluki to niewielka wieś gminna leżąca ok. 10 km na zachód od Bełchatowa. Jest to jedna z najstarszych osad na terenie woj. łódzkiego wspomniana po raz pierwszy już w Bulli gnieźnieńskiej z 1136 r. Miłośnicy zabytków odnajdą tu neoklasycystyczny pałac (własność prywatna) z lat 20. XX w. wybudowany przez Witolda Święcickiego na miejscu (może nawet na fundamentach) dawnej gorzelni opactwa cystersów. Zainteresowani ostatnią wojną trafią na cmentarz wojenny – świadectwo ciężkich walk w 1939 r. – na którym pochowani są żołnierze z 30. Poleskiej Dywizji Piechoty Armii

„Łódź" (pułki 82, 83, 84). Do 2003 roku, to jest do czasu ekshumacji, spoczywali na nim też żołnierze Wehrmachtu. W historii cmentarza pojawia się również tajemniczy wątek pochówku żołnierzy radzieckich[3].

W okresie okupacji hitlerowskiej Kluki należały do Kraju Warty, czyli innymi słowy były częścią III Rzeszy. Majątek wraz z pałacem przeszedł pod zarząd niemiecki, a nazwa wsi zmieniona została w 1943 r. na *Klucksdorf.* To właśnie tu pod koniec 1944 r. Niemcy ulokowali jeden z kilku położonych na terenie współczesnego powiatu bełchatowskiego obóz pracy przymusowej dla okolicznej ludności, którą zmuszono do prac przy kopaniu okopów i rowów przeciwpancernych (określany w aktach jako „Einsatzlager")[4].

Dawny kurnik przy pałacu w Klukach. Być może także w nim mieszkali więźniowie.

Pałac w Klukach 1979 r. Renowację zaczęto w 2004 r.

Zeznania ze śledztwa

Podstawą źródłową do stworzenia tego tekstu są materiały śledztwa OKŁ. Ds. 2/67 prowadzonego w latach 1967-1978 przez Delegaturę Powiatową w Bełchatowie Okręgowej Komisji Badania Zbrodni Hitlerowskich w Łodzi, a ściślej rzecz ujmując, protokoły przesłuchań świadków. Te swoiste źródła (zeznaje się pod groźbą odpowiedzialności karnej za kłamstwo) obligują jednak do pewnej ostrożności, choćby ze względu na upływ czasu. Mimo iż zeznający nie byli osobami w podeszłym wieku (mieli 50-60 lat), to jednak musimy mieć na uwadze zawodność ludzkiej pamięci. Zeznania świadków, wśród których byli zarówno więźniowie, pracownicy majątku w Klukach, a także jeden rolnik, u którego mieszkała grupa przymusowych robotnków, w różnych kwestiach bywały niespójne. Niemniej jednak w podstawowych zagadnieniach są one dosyć powtarzalne. Dlatego sądzę, że można na ich podstawie naszkicować zarys działalności obozu w Klukach, nawet jeżeli nie można ich skonfrontować z dokumentacją autorstwa władz obozowych. Należy na koniec tego wstępu jeszcze wspomnieć, że Komisja prowadziła śledztwo w kierunku potencjalnych zbrodni popełnionych na więźniach.

Początki obozu

Obóz w Klukach powstał jesienią 1944 roku. Świadkowie, wspominając swoje przybycie, mówią niemal wyłącznie o październiku i listopadzie tego roku. Najpierw zostały przez Niemców poczynione pewne elementarne przygotowania w postaci ocieplenia słomą budynków gospodarczych zlokalizowanych na terenie pałacowym. Dodatkowo przewidując, iż wszystkich Polaków nie da się w nich rozlokować, miejscowa ludność dostała nakaz opróżnienia stodół i wyścielenia ich warstwą słomy. Następnie Niemcy zaczęli zwozić do Kluk narzędzia (łopaty, kilofy, piły itp.), przywieźli również kotły do gotowania posiłków dla robotników przymusowych. Wymienione powyżej prace przygotowawcze miały się rozpocząć po żniwach 1944 r. Pierwsze transporty, które przybyły do Kluk w październiku, zastały jeszcze obóz w fazie organizacji. Młoda więźniarka, która trafiła tam w grudniu 1944 roku, zaznacza w swojej opowieści, że obóz już w pełni funkcjonował.

Polacy w obozie i rodzaj prac

Polacy zmuszeni do prac w Klukach trafiali do obozu głównie na zasadzie administracyjnego przymusu. Otrzymywali od swojego sołtysa (Niemca) nakaz stawienia się na miejscu i, wiedząc że jego złamanie grozi surowymi konsekwencjami dla nich oraz ich rodzin, po prostu się do niego stosowali. Wszyscy przesłuchiwani w śledztwie OKŁ. Ds. 2/67 właśnie w ten sposób znaleźli się „na okopach", jak nazywali swój pobyt w Klukach. Jednocześnie praktycznie wszyscy zaznaczają, że część więźniów została przez okupanta wcześniej zatrzymana w łapankach. W tym miejscu warto zauważyć, że wywożenie Polaków na roboty przymusowe z Łodzi i regionu trwało całą wojnę, lecz niezwykle nasiliło się pod koniec 1944 roku właśnie ze względu na masowy pobór ludzi do prac fortyfikacyjnych. Organizacja tego typu obozów miała miejsce również na terenie Generalnego Gubernatorstwa, gdzie między sierpniem 1944 roku a styczniem 1945 roku utworzono ich aż 145 (17% stanu liczbowego więźniów wszystkich obozów pracy w GG).

Wróćmy jednak do naszych Kluk. Transporty z robotnikami docierały do obozu bezpośrednio >>>

>>> z konkretnych wsi lub punktów zbornych. Niektórzy przyjeżdżali na własną rękę. Wytypowanych na roboty przywożono do Kluk ciężarówkami i furmankami. Pochodzili oni przede wszystkim z najbliższych okolic, ale również z dalej położonych miejscowości okupacyjnych powiatów łaskiego i sieradzkiego. Warto zauważyć, że do obozu nie skierowano żadnego z mieszkańców Kluk.

Wśród zmuszonych do prac przy kopaniu rowów przeciwczołgowych (podstawowa rzecz) i strzeleckich oraz karczowania lasu byli zarówno mężczyźni, jak i kobiety. Najmłodsi mieli 15-16 lat. Mieszkali w stodołach, oborach i szopach przy pałacu, śpiąc na słomie na „podłodze", przykryci jedynie własnymi ubraniami. Część z nich kwaterowała w stodołach, a czasami w domach u miejscowych rolników. Komendantura i załoga niemiecka znajdowały się w pałacu.

Liczba robotników i plan dnia

Szacunki liczby osób przetrzymywanych i pracujących przy kopaniu rowów przeciwpancernych wahają się od 1 do 4 tys. Najczęściej w zeznaniach świadków pada liczba 2 tys. Część z zeznających opierała swe obliczenia na podstawie... wielkości kuchni polowej. Dwukrotnie odnaleźć możemy informację w aktach o sześciu kotłach, raz o trzech. Wszyscy wspominający o nich określali ich pojemność na ok. 200-300 litrów każdy.

Dzień pracy rozpoczynał się często jeszcze w ciemnościach od apelu przed miejscową remizą ok. 6 rano. Następnie podawano „śniadanie", ponownie zwoływano zbiórkę, pobierano narzędzia i kolumnami wyruszano do pracy. Więźniowie zorganizowani byli w 50-osobowe grupy na czele z polskim grupowym. Nad dwoma takimi grupami nadzór sprawował setnik, który był Niemcem. W południe na miejsce pracy dostarczano „obiad", a praca kończyła się o zmierzchu, czyli ok. godz. 16-17. Po powrocie z miejsc prac zdawano narzędzia i fasowano „kolację". Osoby kwaterujące u miejscowych gospodarzy pierwszy i ostatni posiłek spożywały na swoich kwaterach. Z zeznań nie wynika, czy żywność otrzymywały od Niemców, właścicieli gospodarstw, w których przebywały, czy też dowoziła ją rodzina. Jedna z więźniarek wspomina, że za „luksus" spania i jedzenia na prywatnej kwaterze jej ojciec płacił, dostarczając jej gospodarzom żywność. Jako ciekawostkę można tu przytoczyć fakt, że w przypadku bliźniaczych obozów w Wadlewie i Kleszczowie, mieszkający na miejscu pozostawali w swoich domach, stawiając się tylko codziennie do pracy.

Pożywienie i opieka medyczna

Pożywienie, jakie dostawali robotnicy przymusowi, było złej jakości i w zbyt małej ilości jak na tak ciężką, wielogodzinną pracę fizyczną wykonywaną na wolnym powietrzu w okresie jesienno-zimowym. Śniadanie i kolacja składało się z kawy oraz czarnego chleba z marmoladą, margaryną lub smalcem. Wielkość jego przydziału jest różnie wspominana przez poszczególnych świadków. Jednak w ich pamięci pozostała jedna wspólna miara – *„za mało"*. Obiad składał się zawsze wyłącznie z zupy. Gotowano ją we wspomnianych już kotłach *„jak dla bydła"* – jak określiła to była więźniarka – z brukwi, buraków, ziemniaków, kaszy lub zboża. Biorąc pod uwagę sposób odżywiania, formę kwaterunku, rodzaj pracy i porę roku należy stwierdzić, że warunki panujące w obozie były bardzo ciężkie.

Nie jest do końca jasne, czy w obozie funkcjonowała jakakolwiek opieka medyczna. Niemalże wszyscy opowiadający o pobycie w Klukach twierdzą, że we wsi nie było

1 Cmentarz wojenny w Klukach przed ekshumacją żołnierzy niemieckich.

2 Cmentarz wojenny po ekshumacji żołnierzy niemieckich.

3 Tablica upamiętniająca żołnierzy Września 1939 r.

fot. Bartosz Bijak (3)

lekarza, a co za tym idzie w obozie nie było żadnej pomocy medycznej. Jednak jeden z nich twierdzi, że we wsi był punkt sanitarny prowadzony przez dwie pielęgniarki (sanitariuszki), które obsługiwały także obóz. Nie potrafię tej kwestii rozstrzygnąć, choć intuicyjnie skłaniam się do pierwszej wersji.

Komendant obozu i załoga

Najwięcej niejasności w historii obozu w Klukach jest w kwestii komendanta i niemieckiej załogi. Ten pierwszy określany mianem gruppenführera lub lagerführera utożsamiany bywa z niemieckim zarządcą majątku w Klukach, nazywanym przez miejscowych Janem. Raz opisywany jest w czarnym mundurze z opaską ze swastyką i czapce z trupią czaszką, raz w mundurze żółtym.

Jednak już z jego opisów (wzrost, tusza, kolor włosów) można by zbudować kilka postaci.

Podobnie jest z załogą. Tylko w jednym przypadku świadek podaje jej liczbę – ok. 20 osób, co wydaje mi się być liczbą zbyt małą do kontrolowania kilku tysięcy pracowników. Strażnicy bywają określani jako miejscowi folksdojcze (okolicę od XIX w. zamieszkiwała duża grupa Niemców), osadnicy niemieccy przesiedleni tu znad Morza Czarnego (tzw. Czarnomorcy), a nawet Ukraińcy. Różnie opisywane są także ich mundury. Jednak ci, którzy w ogóle podjęli wątek mundurów załogi kluckiego obozu, w zdecydowanej większości przywołują żółte mundury i czapki „degolówki", co wskazywałoby na SA. Jeden z byłych więźniów bezpośrednio wskazuje na członków tej formacji, złożonej z miejscowych Niemców jako na załogę obozu. Kilka razy powtarza się informacja, że więźniowie nazywali ich „żółtkami". Mnie ta wersja wydaje się wielce prawdopodobna. Motyw żółtych mundurów i SA pojawia się także w przypadku obozu w Kleszczowie[5].

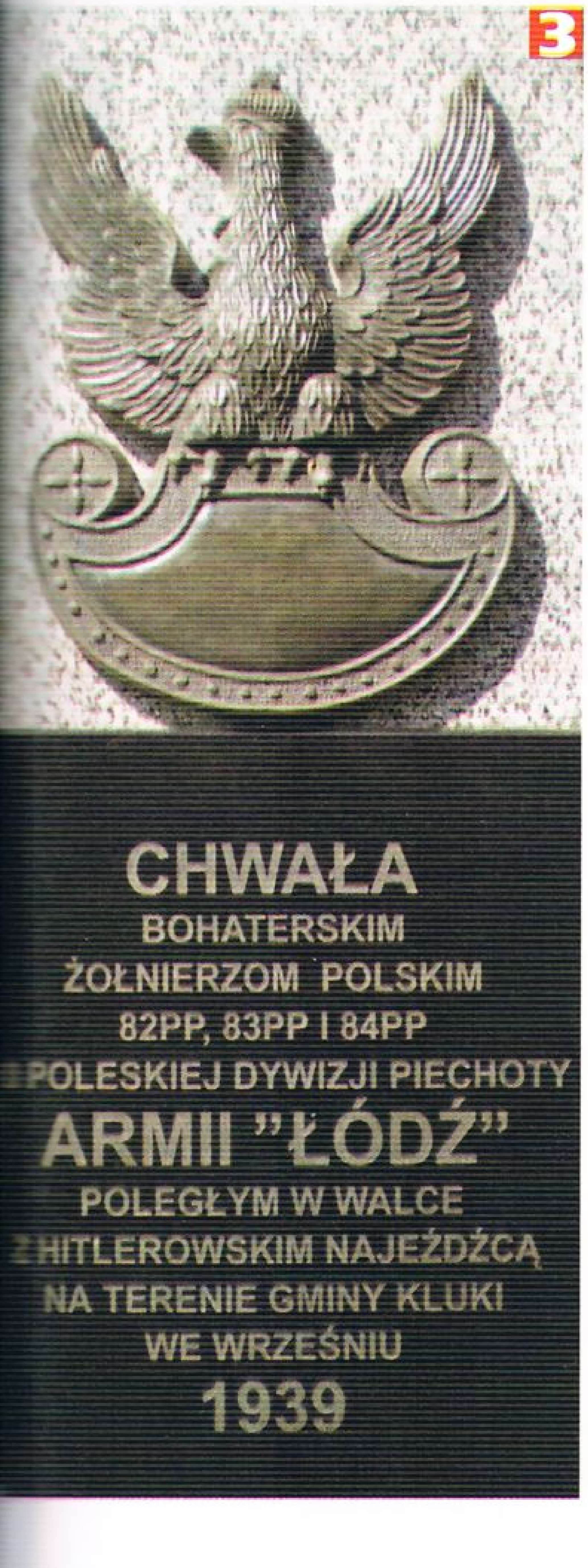

Wszyscy przesłuchiwani przez prokuratora komisji podkreślali, że nie byli świadkami żadnych zbrodni popełnionych w obozie i byli przekonani, że jeżeli takowe miałyby miejsce, to musieliby o nich wiedzieć, co zdaje się być bardzo sensownym założeniem. Jednocześnie wspominają oni, że Niemcy stosowali kary cielesne za różnego rodzaju przewinienia. Jeden z byłych robotników przymusowych opowiadał, że za niestawienie się na czas do pracy został odstawiony na miejscowy posterunek żandarmerii, oskarżony o próbę ucieczki i dotkliwie pobity.

Koniec obozu

Obóz zakończył swoje funkcjonowanie kilka dni przed wkroczeniem do wsi żołnierzy Armii Czerwonej, które miało miejsce 19 stycznia 1945 r. Niemcy w nocy uciekli, a więźniowie widząc, że zostali sami, rozeszli się po prostu do swoich domów.

Wobec faktu, iż nie stwierdzono popełnienia żadnych zbrodni na więźniach obozu w Klukach śledztwo OKŁ. Ds. 2/67 zostało umorzone.

Jak widać, ta krótka i ogólna historia, zbudowana wyłącznie na ludzkiej pamięci, ma sporo luk i rodzi wiele pytań, choć, jak wspominałem na początku artykułu, układa się w pewną logiczną choć ogólnikową całość. Na bazie tego jednostkowego przykładu rodzą się z kolei pytania o ogólnookupacyjną skalę tego zjawiska: ile istniało tego typu obozów na terenie kraju, ilu Polaków się przez nie przewinęło, czy Niemcy dopuścili się jakichś zbrodni na umieszczonych w nich robotnikach itp. <

Bartosz Bijak

Z wykształcenia etnolog i historyk, na co dzień archiwista w łódzkim oddziale IPN, a przede wszystkim ojciec. Miłośnik archeologii krajobrazu i pieszych wędrówek z dala od uczęszczanych szlaków. Optymista (stara się zawsze widzieć szklankę do połowy pełną).

MATERIAŁY ARCHIWALNE:
IPN Ld 421/1, IPN Ld 421/2, IPN Ld 421/3.

LITERATURA

OPR. K. LESZCZYŃSKI **Obozy pracy na ziemiach polskich w latach 1939-1945, część II**
Warszawa 1967

S. WYRWA-RAJCH **Z dziejów okupacji na ziemi łódzkiej w latach 1939-1945**
Łódź 1965

J. MARSZAŁEK **Obozy pracy w Generalnym Gubernatorstwie w latach 1939-1945**
Lublin 1998

PRZYPISY

[1] Na terenach wiejskich okupowanej Polski funkcjonowało przez kilka lat – głównie w okresie 1942-1944 – wiele małych obozów pracy przymusowej, zorganizowanych w celach „cywilnych", tj. regulacji rzek, kopania torfu, eksploatacji kamieniołomów, budowy dróg itp. Z terenu obecnego woj. łódzkiego można wymienić chociażby obozy w Niechmirowie, Mysłakowie, Bogumiłowie czy Burzeninie.

[2] Jestem przekonany, iż niewielki obóz funkcjonujący ledwie kilka miesięcy przed końcem wojny nie mógł wytworzyć specjalnie bogatej dokumentacji, nie mówiąc już o tym, by ona gdzieś przetrwała.

[3] Bardzo dokładny i interesujący zarazem opis nekropolii wojennej w Klukach znaleźć można w internecie: http://www.dobroni.pl/media/grh,grh-84-pulk-piechoty,1635,1406,415.html (dostęp: 26.09.2015 r.)

[4] Pozostałe zlokalizowane były w Wadlewie (śledztwo OKŁ 3/67) i Kleszczowie (śledztwo OKŁ 1/67).

[5] Trzeba jednak zaznaczyć, że w wypadku obozu w Kleszczowie pojawiają się jeszcze informacje o „żołnierzach w zielonych mundurach".

SKARBY ELBL

LESZEK ADAMCZEWSKI

Przez wiele dziesięcioleci historycy myśleli, że Elbląg był prowincjonalną mieściną. My odkopaliśmy bogate kupieckie miasto. Nieprawdopodobnie bogate.

Gdy w maju 1978 roku po raz pierwszy przyjechałem do Elbląga, w jego ścisłym centrum straszył wielki plac porośnięty trawą i przecięty ulicą o nazwie... Stary Rynek. To w tym miejscu do lutego 1945 roku znajdowało się Stare Miasto. Rozpoczęto je odbudowywać dopiero pod koniec Polski Ludowej. Odbudowę poprzedziło odsłonięcie jego starych fundamentów, a cały teren przebadali archeolodzy, którzy w średniowiecznych latrynach znaleźli prawdziwe skarby.

700 lat Elbląga

„Jubel in Elbing" – krzyczał wielkim tytułem na pierwszej stronie dziennik *„Elbinger Zeitung"*. Okazja była szczególna, bo to stare hanzeatyckie miasto w 1937 roku obchodziło akurat jubileusz 700-lecia. Ówczesna propaganda hitlerowska nadała temu zdarzeniu spory rozgłos, ale jednocześnie niemal całkowicie przemilczała fakt, że przez grubo ponad trzysta lat (1454-1772) Elbląg należał do Polski, będąc w jej koronie jedną z najpiękniejszych pereł.

Historię *Elbinga* przypomniano na wielkiej paradzie, która w niedzielę 22 sierpnia 1937 roku, uświetniła uroczystości jubileuszowe. Przeszła ona przez centrum miasta, a z trybuny honorowej obserwowali ją liczni dygnitarze hitlerowscy łącznie z naczelnym prezesem Prus Wschodnich i królewieckim gauleiterem NSDAP Erichem Kochem. Przez zbudowaną u wylotu Adolf Hitlerstrasse bramę na Friedrich Wilhelm-Platz wjeżdżały platformy, na których odgrywano scenki z dziejów Elbląga. Obserwatorzy tej parady zapamiętali, że pokazano też epizody z czasów przynależności tego miasta do Rzeczypospolitej Obojga Narodów, przypominając na przykład liczne przywileje nadane Elblągowi i jego mieszkańcom przez królów polskich czy odparcie najazdu krzyżackiego z 6 mar-

Panorama Starego Miasta w *Elbingu* od strony rzeki o tej samej nazwie przed zniszczeniem w 1945 roku.

fot. Leszek Adamczewski, arch. autora, Muzeum Archeologiczno-Historyczne w Elblągu

ĄGA

ca 1521 roku. Ale jednocześnie wyeksponowano rok 1772, kiedy to do miasta wkroczyli pruscy grenadierzy, kończąc polski okres w dziejach Elbląga.

Duma mieszkańców Elbinga

Dla Elbląga przekleństwem było zawsze położenie między Gdańskiem a Królewcem. Z tego właśnie powodu niemiecki *Elbing* zadowalał się tylko skromną rangą miasta na prawach powiatu. A przecież w roku jubileuszu 700-lecia był to duży i ważny w ówczesnych Prusach Wschodnich ośrodek miejski i przemysłowy. Na pewno większy i ważniejszy od *Marienwerder* (Kwidzyna), gdzie urzędowały władze rejencji. Do elbląskiego portu wpływały statki do 1000 ton wyporności. W 1936 roku przeładowano tu pół miliona ton towarów, a w kilku następnych latach jeszcze więcej, co jednak miało swój związek z postępującą militaryzacją gospodarki niemieckiej. Poprzez port elbląski transportowano między innymi sprzęt wojskowy, który miał służyć Wehrmachtowi w ataku na Polskę z terytorium Prus Wschodnich.

Obok portu rozwijał się także przemysł stoczniowy. Statki i okręty, w tym podwodne, produkowano w stoczni Ferdynanda Schichaua. Po szosach i liniach kolejowych nie tylko Rzeszy jeździły samochody osobowe i ciężarowe, autobusy i parowozy wytwarzane w elbląskich zakładach Komnicka i Schichaua.

Niemieccy mieszkańcy *Elbinga* kochali swe miasto miłością szczególną. *„To było – i kto wie, czy nie mieli racji – najpiękniejsze miasto niemieckiego Wschodu, a przynajmniej z tych leżących na wschód od Wisły"* – pisałem w wydanej po raz pierwszy w 2011 roku książce „Łuny nad jeziorami", nieco dalej dodając, że *„takiej atmosfery, jak u nich, nie ma nigdzie. Codziennie podziwiali więc starówkę, wprawdzie mniejszą od gdańskiej, ale za to piękniejszą. I wiekowe świątynie pełne zabytkowych rzeźb i obrazów. Chwalili się z jednej strony elbląskim przemysłem ze stocznią Schichaua na czele, a z drugiej malowniczą Bażantarnią. Cieszyli się z wąskotorowych tramwajów i byli dumni z jedynych w Prusach Wschodnich ruchomych schodów w domu towarowym Löwenthal na Starym Mieście".*

Pierwsze dni wojny

Tysiące elblążan smacznie sobie spało, gdy przed świtem w piątek, 1 września 1939 roku, z *Elbinga* wystartowały samoloty, które na kilka minut przed godziną 4:45 zbombardowały polski Tczew. Bomby spadły głównie na tereny kolejowe sąsiadujące z mostami tczewskimi. Niemcom chodziło o przerwanie w wyniku eksplozji bomb przewodów łączących centralny detonator z ładunkami wybuchowymi przytwierdzonymi do newralgicznych elementów obu mostów. Adolf Hitler liczył, że ta niezwykle ważna dla Wehrmachtu przeprawa przez Wisłę ocaleje. Na chwilę przed wyjazdem na nadzwyczajne posiedzenie Reichstagu poinformowano Führera, że polscy saperzy mosty tczewskie jednak wysadzili w powietrze.

W pierwszych tygodniach wojny zmieniło się administracyjne podporządkowanie Elbląga. Hitler całą rejencję kwidzyńską odłączył od Prus Wschodnich i włączył do nowo utworzonej prowincji *Danzig-Westpreussen* (Gdańsk-Prusy Zachodnie). Jednocześnie Führer zdawał sobie sprawę, że 75-tysięczny *Elbing* jest dużo większy od *Marienwerder* i na jego polecenie to miasto wróciło do rejencji gdańskiej, z czego elblążanie byli zadowoleni. Tym samym jesienią 1939 roku władzę nad całą rejencją kwidzyńską i odłączonym od niej Elblągiem stracił Erich Koch z *Königsberga*. Władza przeszła w ręce zachodniopruskiego namiestnika Rzeszy i gdańskiego gauleitera NSDAP Alberta Forstera.

Szyldy z polskimi nazwiskami

W pierwszych miesiącach wojny elblążanie nie odczuwali jeszcze jej skutków. Wojna, którą symbolizowała wystawiona w październiku 1939 roku przed ratuszem zdobyczna armata polska, trwała gdzieś daleko, chociaż pojawiły się już kartki na wiele podstawowych towarów nie tylko spożywczych, ale zaopatrzenie sklepów i restauracji zbytnio się nie pogorszyło. Wszak Elbląg leżał w wybitnie rolniczym regionie, mając pod bokiem urodzajne Żuławy, a w pobliskim Zalewie Wiślanym i niedalekim Bałtyku ryb nie brakowało.

Powoli jednak elbląski przemysł przestawiał się na produkcję wojenną, a w mieście pojawili się pierwsi cudzoziemscy robotnicy przymusowi, głównie Polacy. Jeden z nich, Józef Nikodem Murzynowski, >>>

>>> tak po latach wspominał: *„Mnie i kilka innych osób przywieziono do Elbląga. Ze stacji zabrał mnie jakiś Niemiec i poprowadził Tannenberg Allee – dzisiejszą aleją Grunwaldzką. Rozglądałem się po mieście i byłem coraz bardziej zdziwiony. Wzdłuż ulicy ciągnęły się rabaty kwietne, stały automaty z wodą sodową, pocztówkami, cukierkami. Na jakimś szyldzie odczytałem w języku niemieckim »Zakład malarski«, a pod nim nazwisko właściciela – Edmund Falkowski. Na kolejnych domach wisiały szyldy również z polskimi nazwiskami: Robert Kamiński, Feliks Budzyński... „Wydawało mi się, że tkwią tu silne korzenie polskości, których faszyzm nie zdołał wyrwać, że tu Polacy nie są i nie będą tak dyskryminowani jak na terenach okupowanych”* – napisał Murzynowski. I mylił się, bo nazwiska nie świadczyły jeszcze o takiej czy innej postawie noszących je osób. Na przykład mieszkającemu w *Cadinen* (podelbląskich Kadynach) wnukowi cesarza Wilhelma II, księciu Ludwikowi Ferdynandowi Pruskiemu (Louisowi Ferdinandowi von Preussen) z rodu Hohenzollernów, w styczniu 1945 roku w ucieczce przez zamarznięty Zalew Wiślany – jak wspominał książę – *„towarzyszył 75-letni mistrz piekarski, Ligowski z Elbinga, niezłomny monarchista”.*

W wojennym *Elbingu* wielu polskich robotników przymusowych cieszyło się sporą swobodą. Po pracy chodzili do kin i kawiarni, mogli robić zakupy, a zarobione pieniądze przesyłać rodzinom. Niektórzy mieszkali nawet w wynajmowanych u elblążan pokojach. Surowo zakazane były natomiast kontakty seksualne z Niemkami. Historycy zwracają jednak uwagę, że część pracujących w Elblągu polskich robotników przymusowych, a później także ze Związku Radzieckiego, miało niewiele więcej praw niż więźniowie z podobozów filialnych *KL Stuthof.* Pierwsza jego filia powstała w czasach, gdy obóz nie zaliczał się jeszcze do państwowych obozów koncentracyjnych Rzeszy. Więźniowie pracowali między innymi w zakładach *Schichaua.*

Ewakuacja przed bombardowaniami

Od połowy 1942 roku w hitlerowskich Niemczech można było – bez obawy o oskarżenie o defetyzm i niewiarę w zwycięstwo Rzeszy – zabezpieczać skarby kultury przed skutkami alianckich bombardowań. Decyzję w tej sprawie podjął sam Adolf Hitler, którego zarządzenie dalekopisami przesłano do gauleiterów NSDAP. Ministrowie jego rządu dowiedzieli się o tym z adresowanego do nich pisma z 17 maja tegoż roku podpisanego przez szefa Kancelarii Rzeszy doktora Hansa Heinricha Lammersa. Ani brytyjskie, ani amerykańskie samoloty nie zapuszczały się jednak nad *Elbing*, chociaż 9 października 1943 roku bombowce B-17 i B-24 8. Armii Lotniczej USA przeprowadziły nalot na montownię samolotów Focke-Wulf w niedalekim *Marienburgu* (Malborku). Tej jesiennej soboty amerykańskie bomby spadły też na Gdańsk i Gdynię. To już było wyraźne ostrzeżenie, że któregoś dnia alianckie bombowce pojawią się także nad Elblągiem.

1

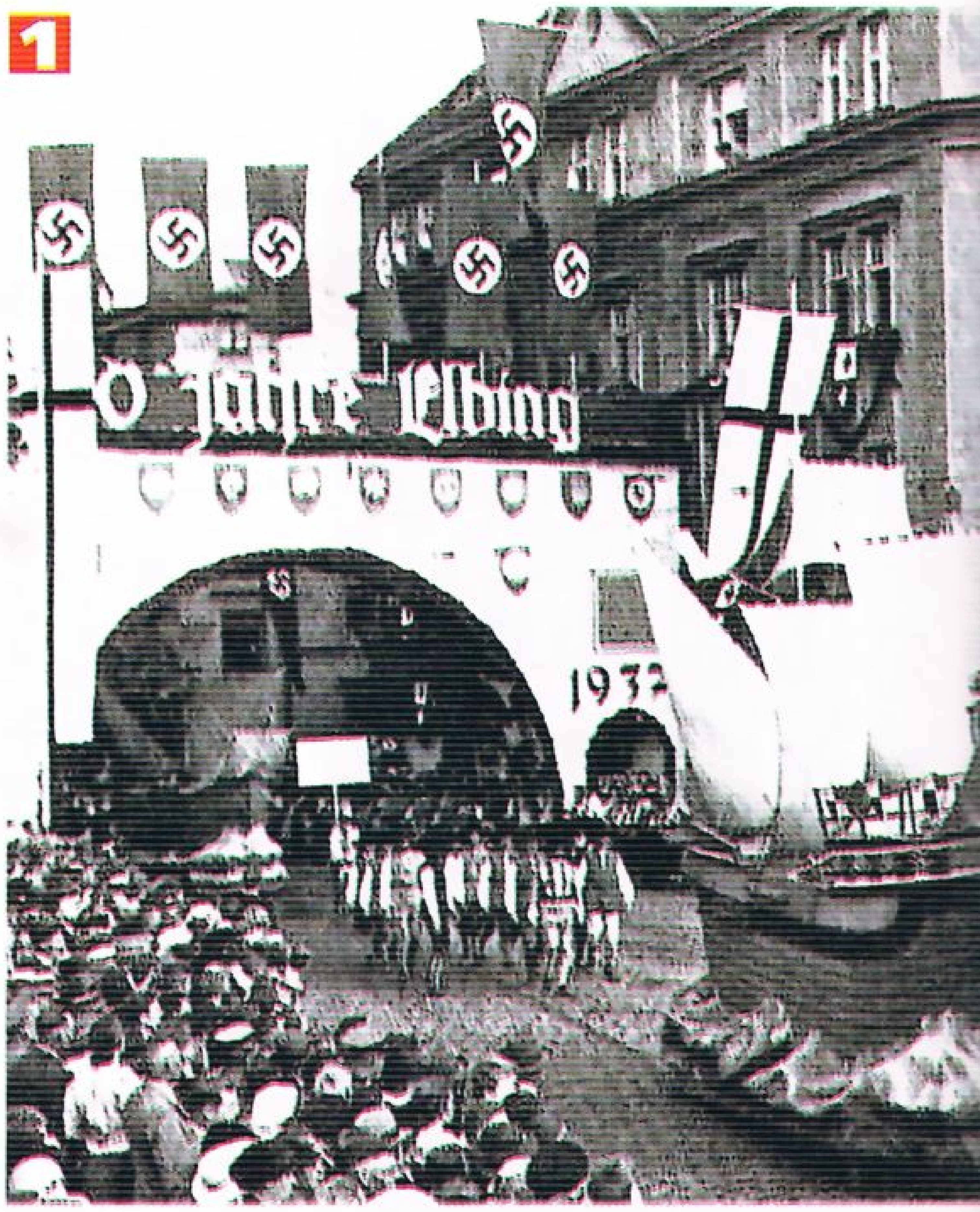

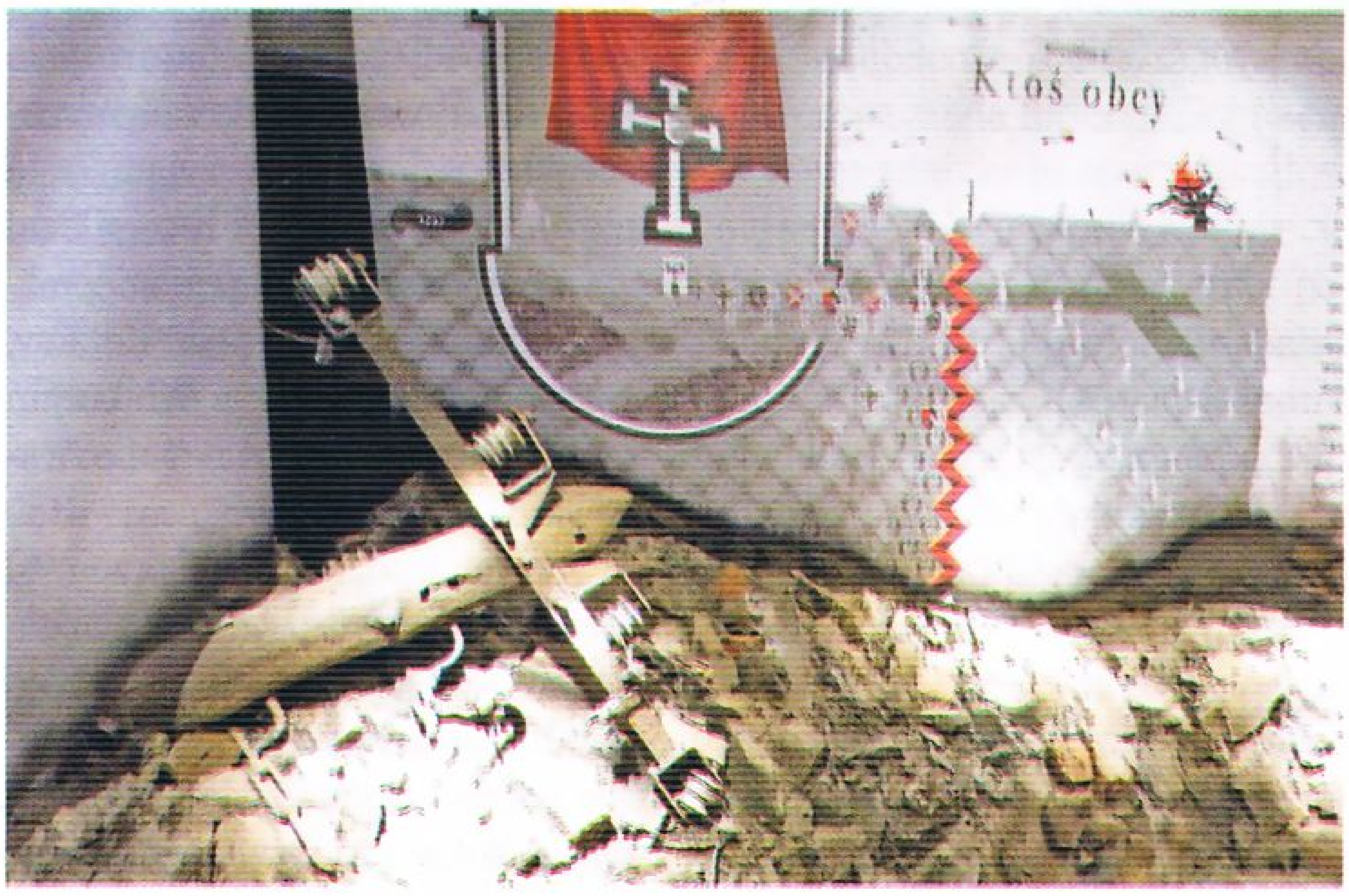

W najnowszej ekspozycji Muzeum Archeologiczno-Historycznego w Elblągu jego dzieje przedstawiono w wystroju zniszczonego miasta.

Najcenniejsze skarby kultury z Kraju Warty, w tym obrazy i archiwalia, od lata 1942 roku wywożono z *Posen* (Poznania) do podziemnych komór w fortyfikacjach Międzyrzeckiego Rejonu Umocnionego. W tym samym czasie rozpoczęła się ewakuacja dóbr kultury z *Breslau* (Wrocławia) i innych większych miast Dolnego Śląska. Skarby te trafiały do składnic urządzonych w małych miejscowościach, które nie były narażone na bombardowania. Tymczasem hitlerowskie władze Prus Zachodnich nie myślały jeszcze o ewakuacji. W pełnych unikatowych zabytków miastach, jak Gdańsk, Elbląg, Malbork, a nawet Kwidzyn nie podejmowano ku temu przygotowań.

Najbezpieczniejsze miasto prowincji

W niemieckim *Elbingu* najcenniejsze skarby kultury – głównie obrazy, rzeźby i całe ołtarze – zdobi-

fot. Leszek Adamczewski, arch. autora; Muzeum Archeologiczno-Historyczne w Elblągu

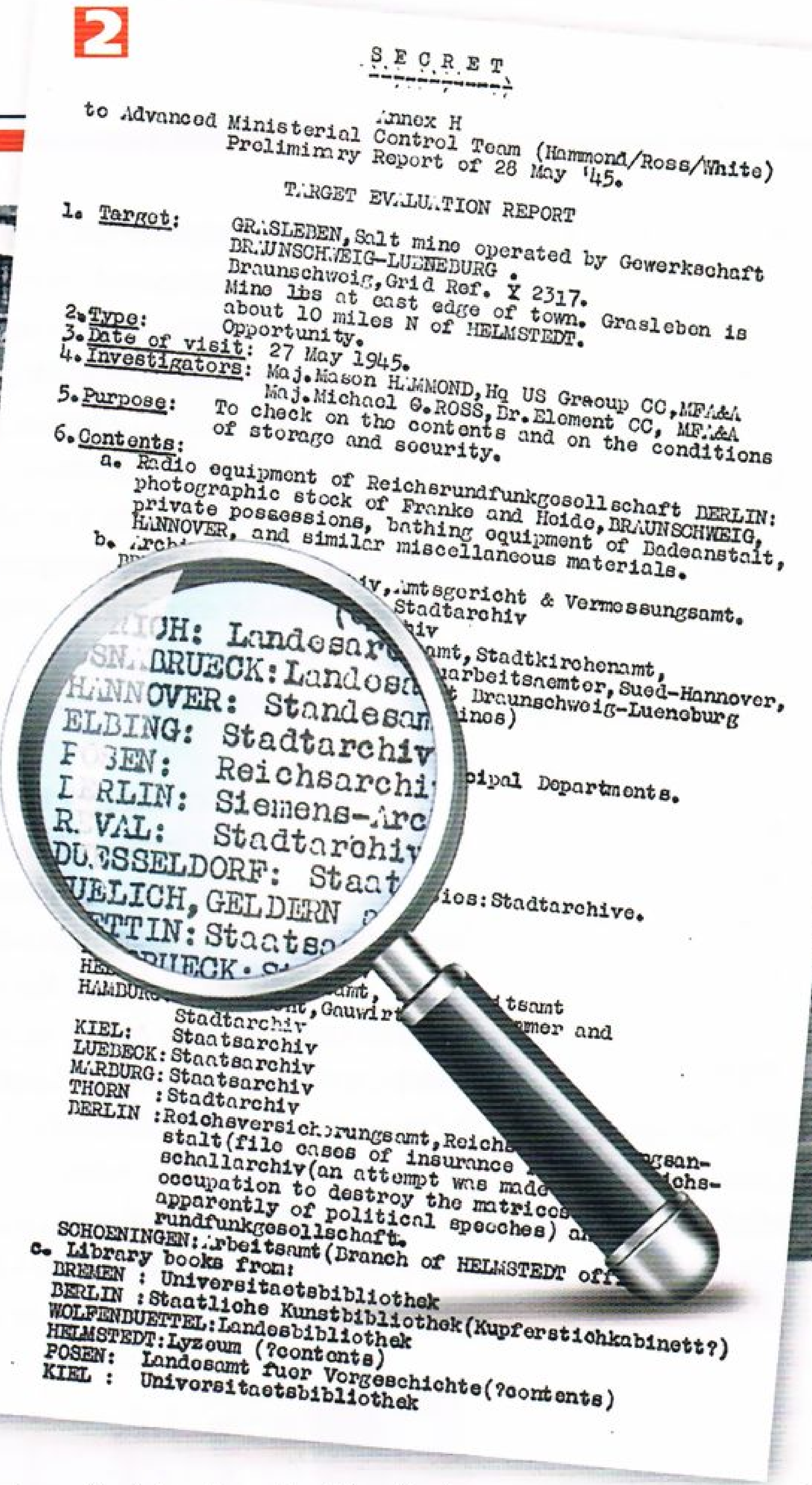

S E C R E T

Annex H
to Advanced Ministerial Control Team (Hammond/Ross/White)
Preliminary Report of 28 May '45.

TARGET EVALUATION REPORT

1. Target: GRASLEBEN, Salt mine operated by Gewerkschaft BRAUNSCHWEIG-LUENEBURG . Braunschweig, Grid Ref. Y 2317. Mine lies at east edge of town. Grasleben is about 10 miles N of HELMSTEDT.
2. Type: Opportunity.
3. Date of visit: 27 May 1945.
4. Investigators: Maj. Mason HAMMOND, Hq US Group CC, MFA&A
Maj. Michael G. ROSS, Br. Element CC, MFA&A
5. Purpose: To check on the contents and on the conditions of storage and security.
6. Contents:
a. Radio equipment of Reichsrundfunkgesellschaft BERLIN: photographic stock of Franke and Heide, BRAUNSCHWEIG, private possessions, bathing equipment of Badeanstalt, HANNOVER, and similar miscellaneous materials.
b. Archi…

…v, Amtsgericht & Vermessungsamt.
Stadtarchiv
…iv
…amt, Stadtkirchenamt,
…arbeitsaemter, Sued-Hannover,
… Braunschweig-Lueneburg
…ines)

…ipal Departments.

…ios: Stadtarchive.

…itsamt
…mer and

…CH: Landesar…
OSNABRUECK: Landesa…
HANNOVER: Standesam…
ELBING: Stadtarchiv
POSEN: Reichsarchi…
BERLIN: Siemens-Arc…
REVAL: Stadtarchiv
DUESSELDORF: Staat…
JUELICH, GELDERN …
STETTIN: Staatsa…
…BRUECK: S…

HE…
HAMBURG …amt,
…amt, Gauwirt…
Stadtarchiv
KIEL: Staatsarchiv
LUEBECK: Staatsarchiv
MARBURG: Staatsarchiv
THORN : Stadtarchiv
BERLIN : Reichsversicherungsamt, Reichs… …gsan-
stalt (file cases of insurance … …
schallarchiv (an attempt was made … …chs-
occupation to destroy the matrices …
apparently of political speeches) a…
rundfunkgesellschaft.
SCHOENINGEN: Arbeitsamt (Branch of HELMSTEDT off…
c. Library books from:
BREMEN : Universitaetsbibliothek
BERLIN : Staatliche Kunstbibliothek (Kupferstichkabinett?)
WOLFENBUETTEL: Landesbibliothek
HELMSTEDT: Lyzeum (?contents)
POSEN: Landesamt fuer Vorgeschichte (?contents)
KIEL : Universitaetsbibliothek

1 Wielka parada na jubileusz 700-lecia Elbląga w 1937 roku.

2 W amerykańskim aneksie do sprawozdania z kontroli w kopalni *Grasleben* 27 maja 1945 roku wymienione jest *Stadtarchiv* w *Elbingu*.

3 Krajobraz po bitwie o *Elbing* na zdjęciu wojennego fotoreportera TASS Leonida Korowina.

ły stare świątynie gotyckie: świętego Mikołaja, Najświętszej Marii Panny, Bożego Ciała, świętego Jerzego i świętego Ducha. Wyjątkowo bogatymi zbiorami dysponowała *Städtische Bibliothek*, której ozdobą był oznaczony sygnaturą Q 84 **rękopis „Księgi elbląskiej” – najstarszego, bo z XIII wieku zbioru polskiego prawa zwyczajowego, spisanego przez Krzyżaków na przełomie XIV i XV stulecia.** W jeden klocek, liczący 93 karty, oprawiono również spisane tą samą ręką krzyżackiego skryby Petera Holcwesschera prawa: lubeckie i Prusów oraz zamykający całość słownik niemiecko-pruski. Bardzo cenne zbiory archeologiczne, przyrodnicze i numizmatyczne posiadało elbląskie *Städtisches Museum*. Nie można zapomnieć też o wiekowych archiwaliach zgromadzonych w miejscowym *Stadtarchiv*.

O tych i innych skarbach Niemcy przypomnieli sobie dopiero w drugiej połowie 1944 roku, gdy czołowe oddziały Armii Czerwonej dotarły w pobliże granic Rzeszy, a w rejonie *Goldap* (Gołdapi) i *Gumbinnen* (obecnie Gusiewa w Federacji Rosyjskiej) ją nawet przekroczyły. Ale jeszcze wtedy władze *Elbinga* uważały swe miasto za najbezpieczniejsze miejsce w prowincji. O ewakuację zbiorów zatroszczyły się jednak niektóre instytucje archiwalne, choćby *Stadtarchiv*.

„Na pierwszy ogień poszły wyjątkowo bogate i cenne archiwalia elbląskie. Po przemyślanej i dokładnej selekcji wywieziono je w głąb Rzeszy, do starych kopalń srebra pod Goslarem” – pisał Krzysztof Dubiński w cyklu publikacji „Sekrety »Księgi elbląskiej«” w szczecińskim tygodniku „Morze i Ziemia” w 1987 roku. W innym miejscu tego cyklu czytamy: *„Wszystko wskazuje na to, że w warunkach bezpośredniego zagrożenia zaniechano już wcześniejszych zamiarów ewakuacji zbiorów w głąb Rzeszy. Co tylko się dało, starano się zabezpieczyć na miejscu bądź ukryć w okolicach miasta. Znany historykom sztuki »kominek moru« [przedstawiający sceny z czasów epidemii 1598 roku – przyp. L.A.] po prostu zamurowano. Na terenie stoczni Schichaua również zamurowano w ścianie 3 dawne sztandary, w tym sztandar wojsk miejskich Elbląga z 1765 roku z monogramem Stanisława Augusta Poniatowskiego i jego rodowym herbem Ciołek. W lasach pod Rakowem – 16 kilometrów od Elbląga – ukryto zabytki archeologiczne i przyrodnicze ze zbiorów Städtisches Museum”.*

Nie ma żadnego bezpośredniego lub pośredniego dowodu, że z miasta ewakuowano najcenniejsze zabytki rękopiśmienne oraz inkunabuły ze zbiorów Städtische Bibliothek, chociaż niektórzy badacze nie wykluczają takiej ewentualności.

Przerwana narada u nadburmistrza

Tego nikt chyba się nie spodziewał. Był wtorek, 23 stycznia 1945 r. Nastał wczesny zimowy wieczór, ale na ulicach – mimo mrozu – przebywało jeszcze tysiące ludzi. Obok stałych mieszkańców byli też ewakuowani z pobliskich powiatów, dla których *Elbing* był tylko krótkim przystankiem na drodze wielkiej ucieczki. Zbliżała się osiemnasta. W ratuszu pod przewodnictwem nadburmistrza doktora Fritza Lesera trwała akurat narada na temat zaopatrzenia miasta w żywność na najbliższe dwa miesiące,

>>>

>>> gdy z zewnątrz dobiegł charakterystyczny dźwięk wydawany przez gąsienice czołgu ślizgające się po bruku. Po chwili rozległ się stłumiony odgłos wybuchu i huknął strzał z działa czołgowego. **Nie minęło kilka sekund, gdy w *Elbingu* rozpętało się piekło...**

Brawurowy rajd radzieckich czołgów pod dowództwem kapitana Gienadija Diaczenki przez ulice nie spodziewającego się ataku Rosjan Elbląga w tamten styczniowy wtorek i dantejskie sceny na dworcu kolejowym nazajutrz, gdy tysiące spanikowanych ludzi próbowały ostatnimi pociągami jadącymi w kierunku *Marienburga* wydostać się z miasta, były dopiero preludium nadchodzącego dramatu. Dwutygodniowe, wyjątkowo zażarte walki o *Elbing* zakończył 9 lutego 105-minutowy ostrzał artyleryjski elbląskiej starówki. Stal i ogień zniszczyły dorobek siedmiuset lat. W ruinach legły stare kamienice ozdobione barokowymi elewacjami. Straszyły wypalone kikuty średniowiecznych świątyń, a wspaniałe ołtarze, ufundowane ongiś przez miejscowe cechy, połamane i częściowo spalone zalegały wśród gruzów. Na ulicach leżały trupy żołnierzy i cywilów oraz zabite konie. Tu i ówdzie stały wraki tramwajów i samochodów.

Tak wyglądał Elbląg 10 lutego 1945 roku, a więc w dniu kapitulacji hitlerowskiej załogi miasta. W następnych tygodniach, gdy nieco zelżał terror czerwonoarmistów, pozostała w mieście niemiecka ludność cywilna próbowała wyciągać z ruin zabytkowe przedmioty. Polowali na nie również Rosjanie, którzy ogołocili Elbląg z niemal wszystkiego, co cenne. Później pojawili się szabrownicy z centralnej Polski, plądrujący nie tylko wśród ruin.

Dopiero w październiku 1945 roku Komenda Rejonu Morskiego przystąpiła do kontroli kanału łączącego miasto z Zalewem Wiślanym. Wcześniej statki i stateczki pływały kanałem bez żadnej odprawy. I były wśród nich nie tylko jednostki radzieckie, wywożące do Królewca przede wszystkim wyposażenie elbląskich fabryk. Tą drogą wodną prowadził też kanał polskiego przemytu.

Z rosyjskich dokumentów wiadomo, że zniszczony *Elbing* odwiedziła operująca na tyłach wojsk 2. Frontu Białoruskiego brygada trofiejna Komitetu do spraw Sztuki przy Radzie Komisarzy Ludowych ZSRR, dowodzona przez podpułkownika Leontija Denisowa. Nie wiadomo czy, a jeśli tak, to co zabrali ze sobą.

Gdy w Elblągu na dobre zaczęli gospodarować Polacy, nikt – ani władze, ani zwykli ludzie – nie przej-

1 Elbląska Wieża Targowa na kolorowej widokówce z przełomu lat 30 i 40.

2 Odbudowany Stary Rynek w Elblągu nie jest wierną rekonstrukcją budynków zniszczonych w lutym 1945 roku.

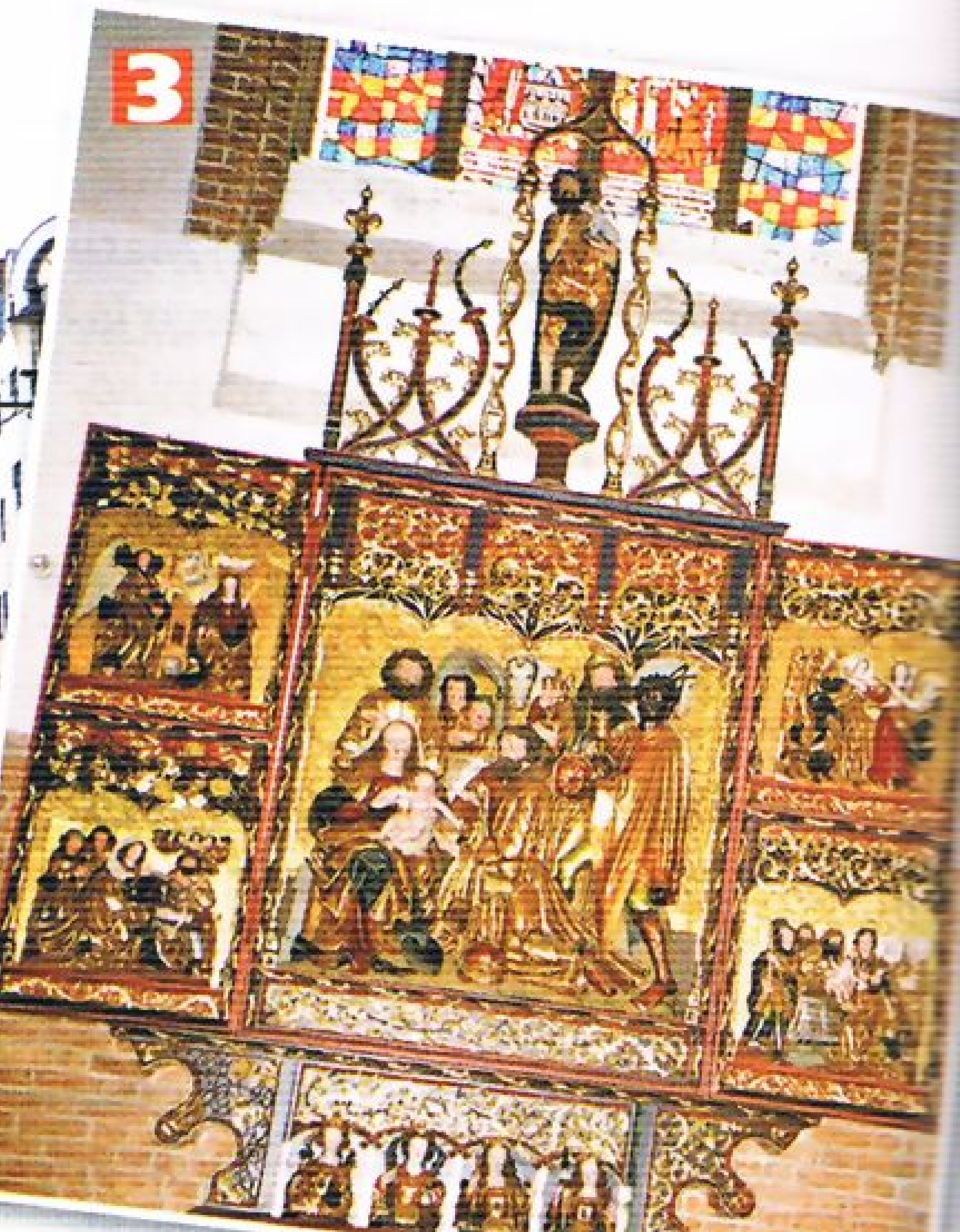

3 Jeden z ocalonych z pożogi 1945 roku gotyckich ołtarzy, który dziś zdobi elbląską katedrę.

4 Odbudowana część elbląskiej starówki na współczesnym zdjęciu.

mował się jakimiś dobrami kultury, zwłaszcza starymi rękopisami i drukami, które w oczach tych, którzy tu się osiedlili, nie przedstawiały żadnej wartości. Chyba że jako podpałka do pieca. Wcale nie do rzadkości należały przypadki, że w antyniemieckim szale niszczono wszystko, co przypominało pruskie tu rządy. Czy taki los spotkał skarb nad skarbami, czyli napisaną w średniowiecznej niemczyźnie „Księgę elbląską"? Już na pierwszy rzut oka ów klocek wyglądał na bardzo stary i bardzo cenny, ale wielu ludzi nie zwracało na to uwagi. „Księgi elbląskiej" nie odnaleziono do dzisiaj.

Na mocy podpisanego 20 listopada 1946 roku polsko-brytyjskiego układu o reewakuacji polskich archiwaliów i dzieł sztuki zdeponowanych w Bad Sulz-Detfurcie, Goslarze i Grasleben, do Polski wkrótce wróciły archiwalia elbląskie. Niemcy przechowywali je jednak nie w jakiejś kopalni srebra koło Goslaru – jak pisał Krzysztof Dubiński w „Sekretach »Księgi elbląskiej«" – ale w kopalni soli w Grasleben, którą zajęły wojska amerykańskie. Zanim Grasleben przekazano Brytyjczykom, jeden z amerykańskich oficerów Sekcji Zabytków, Dzieł Sztuki i Archiwaliów (MFAA) w zagadkowych okolicznościach wywiózł z kopalni niektóre zabytki ze skarbców katedr poznańskiej i gnieźnieńskiej. Wprawdzie wkrótce się one odnalazły, ale na kontrolę tej podziemnej składnicy dóbr kultury pofatygował się sam szef MFAA major Mason Hammond, w cywilu profesor filologii klasycznej na Uniwersytecie Harvardzkim. W odtajnionym aneksie do raportu z tej kontroli, przeprowadzonej 27 maja 1945 roku, wśród wielu instytucji kulturalnych, których zbiory Niemcy umieścili w Grasleben, wymieniono *„Elbing: Stadtarchiv"*.

Skarby ze średniowiecznych latryn

Gdy 9 lutego 1945 roku artyleria radziecka przypuściła huraganowy atak na elbląskie Stare Miasto, kościół świętego Mikołaja (obecna katedra diecezji elbląskiej) podzielił jego los, lecz rychło ten zabytek architektury gotyckiej odbudowano. Wnętrze świątyni przykryto żelbetowym stropem, pod którym utworzono unikatową galerię sztuki średniowiecznej. Zgromadzono tu bowiem wszystko, co ocalało z innych kościołów elbląskich. Trafiły tu przede wszystkich rzeźby czy piętnasto- i szesnastowieczne ołtarze z nieistniejącego już kościoła Trzech Króli i kościoła Najświętszej Marii Panny, który – po odbudowie – władze PRL przekształciły w Galerię EL, znaną w świecie i zasłużoną dla kultury polskiej.

W tamtym tragicznym dla miasta lutym spłonęły też – wśród wielu innych – trzy zabytkowe kamieniczki przy *Heilige Geiststrasse* (ulicy Świętego Ducha), gdzie od 1926 roku znajdowało się Muzeum Miejskie. Ocalała tylko niewielka część zbiorów *Städtisches Museum*, którą na kilka tygodni przed rajdem czołgów Diaczenki wywieziono z miasta. Gdy po latach rozbierano ruiny kamieniczek należących do muzeum, w gruzach znaleziono nienaruszoną szafę pancerną, a w niej cenną kolekcję numizmatyczną.

Wkrótce po wojnie do piwnic zburzonych domów Starego Miasta zapuszczali się nie tylko szabrownicy z centralnej i południowej Polski, ale także miejscowi poszukiwacze skarbów, których na ziemiach odzyskanych (a to określenie idealnie pasuje do Elbląga) nie brakowało. Nikt z nich nawet nie pomyślał, że prawdziwe skarby znajdują się nie w zagraconych piwnicach, lecz na podwórkach, gdzie pod warstwą gruzu i ziemi kryły się średniowieczne latryny.

To w nich archeolodzy przeprowadzający badania przed odbudową poszczególnych kwartałów elbląskiego Starego Miasta znaleźli dziesiątki tysięcy drogich naczyń i butelek, w tym takie skarby jak wart majątek talerz wykonany w arabskim warsztacie w Hiszpanii, czy równie cenną giternę, dalekiego przodka dzisiejszej gitary. Z dawnych latryn wyciągnięto drogie weneckie kielichy ze szkła i delikatną porcelanę chińską, kościane grzebienie i szczoteczki do zębów, pugilares z tłoczonej skóry na tabliczkę woskową, czyli podręczny notatnik, okulary, czy specjalne nożyczki do obcinania knotów świec. *„Przez wiele dziesięcioleci historycy myśleli, że Elbląg był prowincjonalną mieściną. My odkopaliśmy bogate kupieckie miasto. Nieprawdopodobnie bogate"* – powiedziała w wywiadzie prasowym w 2004 roku archeolog Grażyna Nawrolska. <

Leszek Adamczewski

Poznański dziennikarz i pisarz. Wieloletni współpracownik „Odkrywcy". Autor ponad 20 książek, cieszących się wielkim zainteresowaniem czytelników, poświęconych tajemniczym zdarzeniom z czasów II wojny światowej. Najnowsza pozycja tego autora to „Zejście do piekieł" wydana nakładem Repliki.

fot. Leszek Adamczewski, arch. autora, Muzeum Archeologiczno-Historyczne w Elblągu

REKLAMA

MINESTORE.PL
Nowe wykrywacze
Minelab GO-FIND
biuro@minestore.pl
www.minestore.pl
ARMAND
metal detectors
Nowe polskie wykrywacze
- wbudowane akumulatorki!
www.armand.pl Tel: 512 138 545

Z DZIEJÓW DOLNOŚLĄSKIEGO WIĘZIENNICTWA

CZ. 3

WIĘZIENIE W JELENIEJ GÓRZE I... SKARBY Z CZOCHY

SZYMON WRZESIŃSKI

Mury tego budynku były świadkiem niejednej egzekucji i ucieczek więźniów. Urzędowali tu kat, hycel, hitlerowcy oraz służby PRL. Dziś pełni rolę aresztu śledczego

Obecny areszt śledczy i położony obok gmach Sądu Okręgowego w Jeleniej Górze łączy wspólna historia. Wielu z osądzonych i skazanych na karę pozbawienia wolności na długie lata trafiało do przepełnionych cel. Za kratami można było spotkać nie tylko zbrodniarzy, lecz również więźniów politycznych i ofiary pokazowych procesów. Nawet po zakończeniu ostatniej wojny wielokrotnie stare mury były świadkami licznych egzekucji! Jedna z najstarszych informacji o jeleniogórskim zakładzie penitencjarnym pochodzi z XIX-wiecznej „Kroniki miasta Jelenia Góra". Według jej autora, Johanna Karla Herbsta, w roku 1545 niejaki Hieronim Nünberg został oskarżony o zdradę małżeńską. Cudzołożnik został aresztowany w środę przed Zielonymi Świątkami, zaś w poniedziałek ścięty mieczem, zapewne nieopodal miejskiej szubienicy. W tej samej kronice, pod rokiem 1592 odnotowano wejście w życie statutów prawnych, które co prawda istniały wcześniej, jednak na prośbę przedstawicieli Kościoła, zostały teraz uzupełnione i publicznie ogłoszone. Z wartych przytoczenia 59 artykułów jest kilka odnoszących się do kary tymczasowego pozbawienia wolności:

*„**Art. 1.** Ponieważ bluźnierstwo w obecnych czasach się rozpowszechniło i gniew boży wywołuje, zostaje ono zabronione pod karą więzienia lub innymi karami. (...) **Art. 3.** Kto nie uczestniczy w kazaniach (nabożeństwach) i po dzwonach niedzielnego poranka przesiaduje w szynkach lub spaceruje przed miastem, na podwórzu kościelnym, ukarany będzie uwięzieniem lub grzywną. Niechaj więc słudzy [miejscy] mają na to baczenie i niech ich prowadzą do aresztu, i niech za każdego otrzymają 6 białych groszy. Jeśli jednak sami będą opieszali, będą ukarani. (...) **Art. 6.** Związki niesakramentalne. Szlachetna rada skazywać będzie tych, którzy nie mogą doczekać ślubu, na uwięzienie i wysoką grzywnę pieniężną. (...) **Art. 40.** Rzemieślnicy i robotnicy dniówkowi nie mogą się zamieniać, winni pracować od rana do wieczora, a bez pozwolenia rady pracować w innych dobrach. Kto nie chce pracować za ustalo-*

Budynki Sądu Okręgowego w Jeleniej Górze.

ną płacę i więcej bierze [do ręki] w mieście, będzie ukarany 8 dniami pozbawienia wolności (...). ***Art. 43.*** *Wina i obcego piwa nie wolno sprzedawać bez wiedzy rady. Przed każdą bramą sprzedaż piwa prowadzona może być tylko w jednym miejscu, nie wolno sadzać tam gości. Wszelki wyszynk uboczny, również dla kobiet w połogu jest zabroniony pod karą aresztu i 10 kop groszy...”*

Zwykle osadzonych w celach pilnował nadzorca aresztu, czasem jednak robiono wyjątki. Na początku 1701 roku władze miejskie na miejsce kata Friedricha Thienela przyjęły nowego oprawcę, Hansa Henricha Kühna. Ten postawił jednak warunki, wobec czego 11 marca zawarto specjalną umowę, na podstawie której tutejszy egzekutor miał otrzymywać określoną sumę za 2-3 dni spędzone w miejskim areszcie. Jej wysokość była uzależniona jednak od ilości osadzonych w celach. Ponadto umowa przewidywała, iż Hans Kühn otrzyma łąkę, mieszkanie w katowni, 10 groszy za każdy tydzień pracy, 4 korce zboża, 4 kopy chrustu, ekwiwalent pieniężny wartości 4 sążni drewna i inne. W zamian, poza wspomnianymi obowiązkami oraz wykonywaniem funkcji hycla i kata, był zobowiązany rokrocznie przekazywać burmistrzowi i każdemu z rajców po parze rękawiczek z psiej skóry.

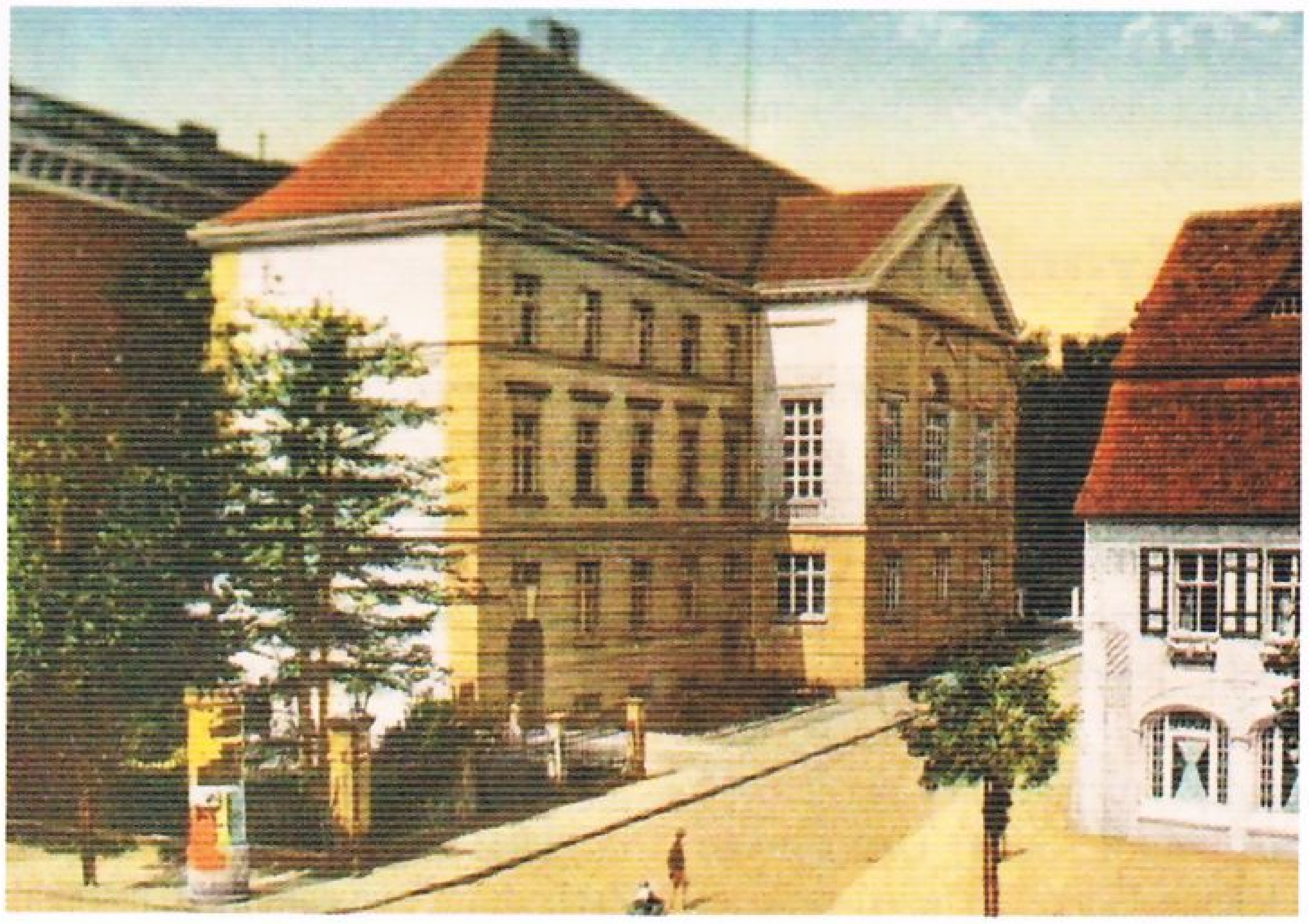

Nowe skrzydło budynku sądu w Jeleniej Górze na pocztówce.

fot. Sz. Wrzesiński, pocztówka ze zbioru Pawła Kałafiuka

Niemieckie więzienie

Skromne dane nie pozwalają w pełni prześledzić historii budowy i pierwszych lat funkcjonowania więzienia w Jeleniej Górze (wówczas: Hirschberg). Wiadomo jedynie, iż w dniu 18 września 1850 roku zaczęto w nowych celach osadzać pierwszych więźniów. Na kolejny ślad trafiamy w książce adresowej miasta z roku 1875, gdzie zakład penitencjarny figuruje jako więzienie sądu powiatowego. Podobno te ostatnie miano wznieść za pieniądze pochodzące z kontrybucji wojennej zapłaconej Niemcom przez pokonanych Francuzów.

Jeszcze przed wybuchem II wojny światowej zakład przekształcono w więzienie Sądu Krajowego w Jeleniej Górze (Landgerichtsgefängnis Hirschberg). Przeznaczone było dla dorosłych mężczyzn oraz nieletnich z krótkimi karami aresztu i więzienia. Z czasem jednak przygotowano tu 63 miejsca dla mężczyzn i 12 miejsc dla kobiet, skazanych na krótkoterminowe kary pozbawienia wolności. Dopiero pod koniec II wojny światowej obiekt penitencjarny w Jeleniej Górze przemianowano na dodatkowe miejsce odosobnienia podejrzanych o przynależność do ruchu oporu, w ramach akcji „Noc i mgła” (*Nacht und Nebel,* dalej: NN). Ze skromnych zapisków >>>

>>> w częściowo zachowanej księdze zmarłych poniemieckiego urzędu stanu cywilnego wynika, że w jeleniogórskim zakładzie zmarło 7 więźniów NN. Po częściowym opróżnieniu zakładu osadzano tu sporadycznie zbiegów, albowiem na miejscu przebywał jeszcze naczelnik i kilku strażników.

Po ewakuacji wrocławskiego więzienia śledczego z ul. Świebodzkiej, pod koniec stycznia 1945 roku jedna z pięciu kolumn marszowych została skierowana do Jeleniej Góry, gdzie dodatkowo planowano przenieść Sąd Specjalny z Wrocławia. Z kolei w połowie lutego ponad 80-osobowa grupa osadzonych uprzednio w Świdnicy – w ramach ewakuacji – ulokowana została w więzieniu w Jeleniej Górze. Przeludniony zakład (w marcu na 80 miejsc było tutaj 230 więźniów), miał być ewakuowany do Zgorzelca. Ostatecznie do ewakuacji nie doszło; stąd też większość osadzonych doczekała wyzwolenia przez wojska radzieckie, co miało miejsce 8 maja.

Najsłynniejszy proces

Po zakończeniu wojny niezniszczony zakład i gmach sądu przejęły władze polskie. Od 19 lipca zasięg nowoutworzonego Sądu Okręgowego obejmował powiaty: bolesławiecki, jeleniogórski, lubańskim, lwówecki i zgorzelecki. Miesiąc później rozpoczęła działalność Prokuratura Sądu Okręgowego w Jeleniej Górze; jej przedstawiciel uczestniczył w pierwszej rozprawie, która miała miejsce 30 października.

Na przełomie lat 1945 i 1946 z dolnośląskiego zamku Czocha wywieziono nielegalnie szereg drogocennych przedmiotów. Ponieważ w sprawę było zamieszanych kilku polskich urzędników, postanowiono przygotować parę pokazowych procesów, mających być wyraźnym ostrzeżeniem dla wszelkich szabrowników i osadników. Jednym z oskarżonych został Karol O., kierownik Referatu Kultury i Sztuki w Starostwie Powiatowym w Lubaniu: „*Koroną przestępstw* [tamtejszego wicestarosty – przyp. red.] *Kiendy, było wejście w porozumienie z Karolem O., który okradłszy historyczny zamek Czocha, uciekł w niewiadomym kierunku i jest poszukiwany listami gończymi. Zamek Czocha, położony w powiecie lubańskim, należał do Niemca Gütschowa, który pozostawiając olbrzymie skarby, uciekł do Niemiec. Władze państwowe poleciły zabezpieczyć pozostawione mienie i delegowały na miejsce swego przedstawiciela Karola O. Ten zaś, po objęciu swego stanowiska wszedł w kontakt z burmistrzem Leśnej, kilkoma milicjantami i Kiendą. Po sterroryzowaniu służby znaleźli wielki skarb w postaci ikon, wysadzanych brylantami, ofiarowanych swego czasu przez Ławrę Peczerską carowi Mikołajowi oraz wiele kosztowności, manuskryptów, rękopisów, skrzyń ze srebrem i srebrną zastawę na 48 osób, przedstawiającą bezcenną wartość. Karol O. i jego kompanii, po obłowieniu się znalezionymi kosztownościami, uciekli…*" – czytamy w „Dzienniku Zachodnim", wydanym 16 listopada 1946 roku.

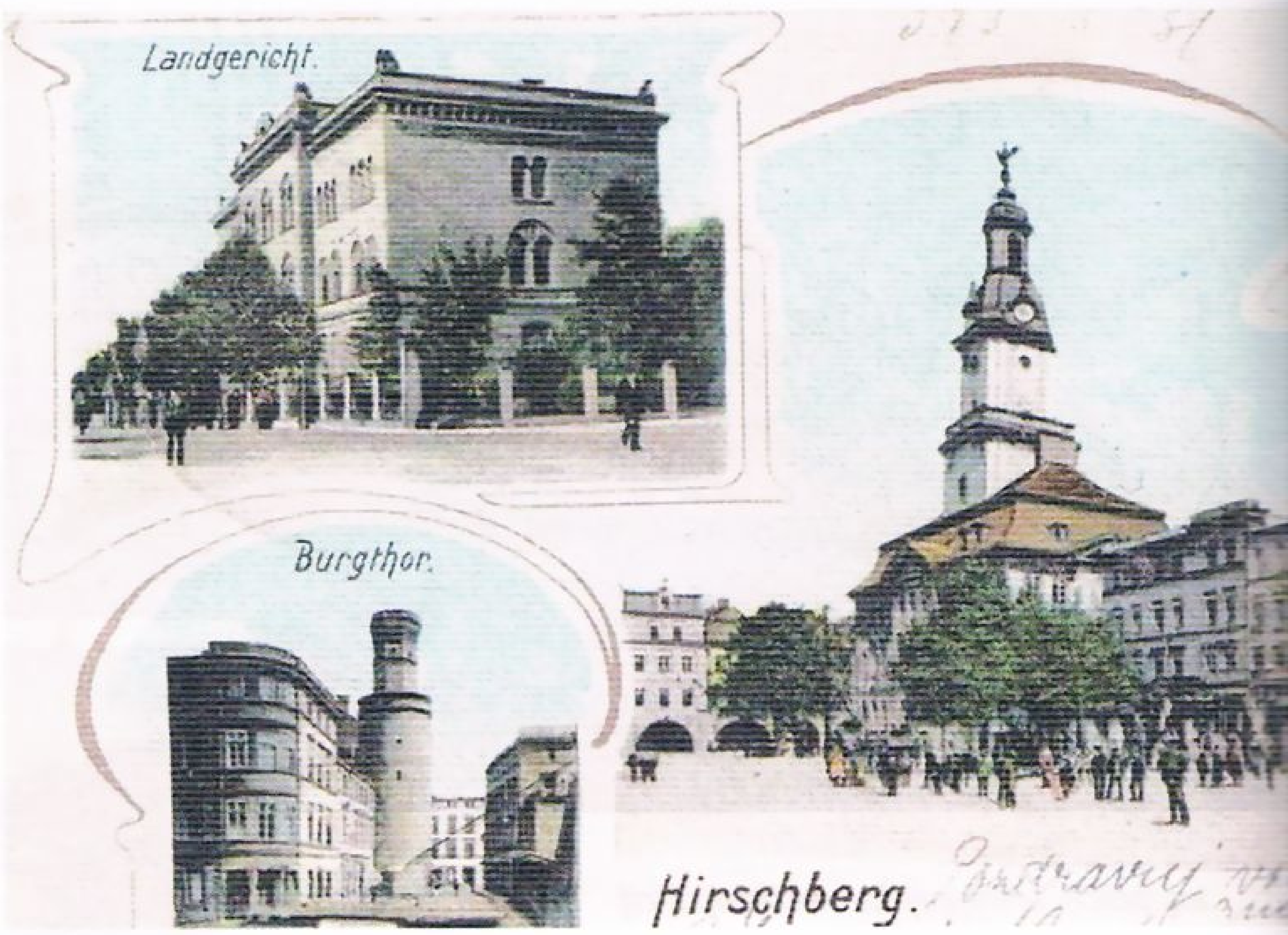

W lewym górnym rogu widać neogotycki budynek sądu w Jeleniej Górze ok. 1900 r.

pocztówka ze zbioru Pawła Katałafiuka

Kolejny ślad odnaleźć można w „Słowie Polskim" z 6 marca 1948 roku, gdzie pojawił się tekst o długim, acz wymownym tytule: „Zagadka Zamku Czocha. Na Wawel czy do prywatnego mieszkania wywożono złote ikony i cenne obrazy?" W tekście czytamy: „*Przed Sądem Okręgowym stanął w charakterze oskarżonego o wywiezienie wartościowych zabytków sztuki z zamku Czocha b. kierownik referatu kultury i sztuki lubańskiego starostwa Karol O. W noc sylwestrową 1946 roku na szosie wiodącej do granicy czeskiej, milicja zatrzymała wóz naładowany skrzyniami i paczkami przewożonymi przez oskarżonego. Karol O. widząc, że milicjant chce skierować wóz do Wałbrzycha, usiłował przekupić go, wręczając 2 tysiące zł. Jak się okazało Karol O. chciał wywieźć przedmioty o wielkiej wartości muzealnej i artystycznej, pochodzące z magnackiego zamku Czocha obok Lubania, którego jako referent starostwa był opiekunem. Zarządzając zamkiem, wszedł on w porozumienie z niemiecką służbą i ta wyjawiła mu, że w kasach pancernych jest złoto. Wtedy to Karol O. wraz z* [pomocnikami] *rozpruł sejfy, w których odkrył większą ilość srebra użytkowego i zabytkowego, kufry z nieznaną zawartością i około 300 butelek win, wódek z różnych rodzajów krajów. Wśród przedmiotów o zabytkowej wartości znajdować się tam miały obrazy bizantyjskie i religijne ikony – własność magnatów rosyjskich. Karol O. tłumaczył się, iż przedmioty wartościowe chciał przewieźć na Wawel, by złożyć je do dyspozycji Ministerstwa Kultury i Sztuki, jednak prokuratura nie dała wiary twierdzeniom i postawiła go przed Sądem. W wyniku rozprawy Sąd* *odroczył obrady w celu wezwania dalszych świadków. Broni Karola O. adwokat Franciszek Ćwikowski z Jeleniej Góry".* Nie wiadomo w jakich okolicznościach, kiedy i dlaczego, b. referent z Lubania, skazany przez sędziego w Jeleniej Górze, trafił do więzienia w Krakowie. Po wyjściu w tamtejszego zakładu do 1957 roku pracował w Akademii Wychowania Fizycznego, kiedy to wraz z rodziną przeniósł się do Gdyni.

Neogotycki budynek sądu w Jeleniej Górze, stan w latach 1902-1905.

IASTA I POWIATU
JELENIOGÓRSKIEGO

Portal wejściowy jeleniogórskiego sądu w 1963 r. ; Fragment elewacji jeleniogórskiego sądu w 1963 r.

fot. M. Stepałkowski

Ofiary minionego systemu

Pierwszym naczelnikiem jeleniogórskiego więzienia został chorąży Eugeniusz Ramus. Po nim funkcję tę objął por. Jan Taras (od 1 listopada 1950 do 30 maja 1952 roku), dalej kpt. Czesław Niewiadomski (do 14 listopada 1953 r.) oraz por. Czesław Barański (do 31 grudnia 1955 r.). W okresie pełnienia przez nich stanowiska naczelników w więzieniu w Jeleniej Górze zmarło czterdzieści osiem osób, a stracono dziewiętnastu! Ostatnie chwile więźniów skazanych na karę śmierci najlepiej odda jeden z ówczesnych protokołów, w którym czytamy: *„Dnia 15 kwietnia 1949 roku o godzinie 6-ej rano w Jeleniej Górze na podwórku zamkniętego więzienia karno-śledczego w Jeleniej Górze, przy ul. Grottgera 12 – w obecności: Wiceprokuratora Jerzego Stramera, protokólanta T. Goclika, naczelnika więzienia Eugeniusza Ramusa, lekarza więziennego Zygmunta Wiśniowskiego, księdza Klemensa Z. – wykonany został wyrok Sądu Okręgowego w Jeleniej Górze z dnia 31 października 1947 roku, mocą którego K. Jan oskarżony art. 1 Dekretu z dnia 28 czerwca 1946 roku (…) i 2 Dekretu z dnia 31 sierpnia 1944 roku (…), skazany został na karę śmierci. Prezydent Rzeczypospolitej Polskiej nie skorzystał z prawa łaski o czym ogłoszono skazanemu. W celi więziennej Prokurator zapytał skazanego jakie ma życzenie ostatnie. Oskarżony prosił o pociechę religijną, czemu zadość uczyniono. Skazanego Jana K. wyprowadzono z celi więziennej po sprawdzeniu personaliów i ustaleniu jego tożsamości przez Prokuratora, odprowadzono go na miejsce stracenia. Prokurator odczytał skazanemu treść wyroku. Następnie Prokurator polecił wykonać na skazanym egzekucję przez powieszenie. Po stwierdzeniu przez asystującego doktora Wiśniowskiego następującego faktu nastąpienia śmierci skazanego na powieszenie, Prokurator wydał zwłoki naczelnikowi więzienia. Na tym protokół zakończono".*

Co ciekawe, w pierwszych pięciu latach funkcjonowania podkarkonoskiego więzienia nastąpiła ucieczka dwóch mężczyzn (2 lub 22 września 1950 r.). Kolejna pamiętna ucieczka miała miejsce 11 marca 1955 r. Owego dnia, podczas transportu z więzienia w Jeleniej Górze do Wrocławia, zbiegł Stanisław P., który wkrótce potem został schwytany.

Obecnie w miejscu dawnego więzienia znajduje się areszt śledczy. <

Szymon Wrzesiński
historyk, autor książek: „Podziemne sekrety III Rzeszy w Sudetach Zachodnich" (w druku); „Zamek Książ - legenda III Rzeszy"; „Tajne kompleksy lotnicze III Rzeszy na Dolnym Śląsku i Ziemi Lubuskiej"; „Hitler-Jugend na Dolnym Śląsku"; „Na tropach skarbów i depozytów Trzeciej Rzeszy"; „Skarby III Rzeszy ukryte na Dolnym Śląsku"; „Pogórze Izerskie w cieniu swastyki". Kontakt: sz_wrzesinski@wp.pl

WYBRANA LITERATURA

BACH E. **Das alte Hirschberg zwischen Handel und Poesie. Eine 700-jährige Stadt im Herzen Europas im Spiegel ihrer Geschichte**
[bmw], 1992

Jelenia Góra. Zarys rozwoju miasta
POD RED. Z. KWAŚNEGO
Wrocław 1989

SZWAGRZYK K. **Więzienia i obozy na Dolnym Śląsku (1945-1956)**
Wrocław 2013

MUZUŁMAŃSKIE FORMACJE WOJSKOWE MOCARSTW EUROPEJSKICH NA FRONTACH WIELKIEJ WOJNY

W SŁUŻBIE „NIEWIERNYCH”

PIOTR GALIK

Mało kto pamięta, że początek islamizacji wielu państw europejskich sięga czasów I wojny światowej

Tajemniczy urok Wschodu od wieków fascynował Europejczyków pomimo fatalnych wręcz relacji politycznych Starego Kontynentu ze światem Islamu – cywilizacją, która we wczesnym Średniowieczu zdominowała południową część regionu śródziemnomorskiego oraz rozległe obszary zachodniej Azji, a nawet na krótko wdarła się poprzez Pireneje aż do serca dzisiejszej Francji. Karol Młot, władca Franków, w bitwie pod Poitiers (732 r.) zatrzymał na ponad tysiąclecie ekspansję Mahometan w Europie Zachodniej. Kolejne stulecia były świadkiem wielu wojen, w których siły chrześcijańskie ze zmiennym szczęściem stawiały czoła kolejnym falom muzułmańskich najazdów. Islamskie zagrożenie odparto dopiero w roku 1683, gdy król Jan III Sobieski rozgromił armię turecką pod Wiedniem. W XIX stuleciu potęga gospodarcza, militarna i polityczna Europy osiągnęła apogeum, a największe mocarstwa zyskały ogromne posiadłości kolonialne, obejmujące także kraje zamieszkiwanie przez wyznawców Islamu.

W czasach nam współczesnych obserwujemy żywiołowy proces islamizacji wielu państw europejskich, a muzułmańskie dzielnice stały się integralną częścią wielkich metropolii Zachodu. Warto pamiętać, że początki tego zjawiska sięgają korzeniami okresu Wielkiej Wojny (1914-1918), kiedy na frontach europejskich pojawiły się setki tysięcy muzułmańskich żołnierzy, walczących i ginących za sprawę swoich zaborców…

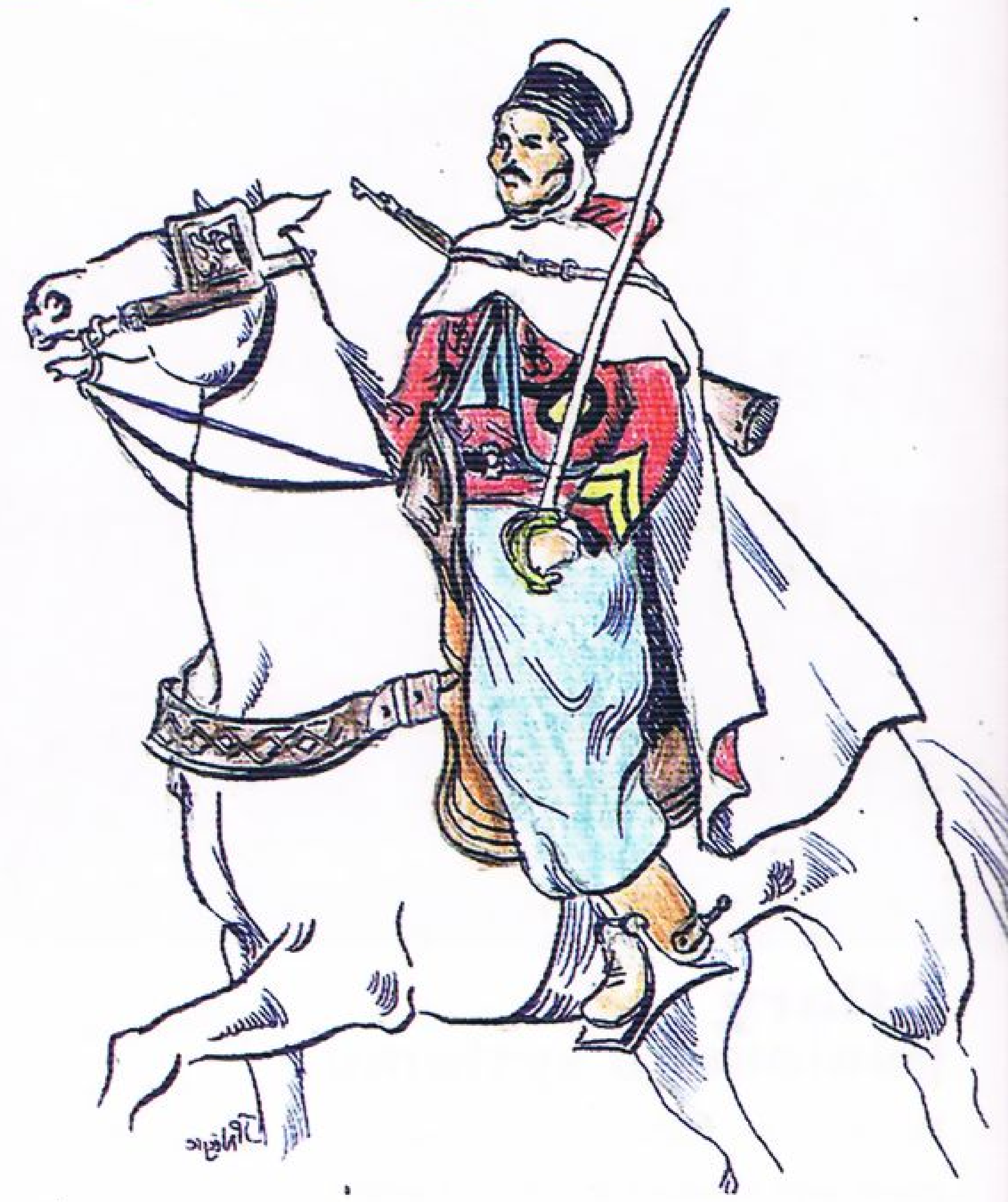

Spahis – północnoafrykański kawalerzysta w służbie Francji w uniformie paradnym.

W służbie imperium

Największe zamorskie posiadłości kolonialne zdobyło Zjednoczone Królestwo Wielkiej Brytanii i Irlandii, którego władcy od roku 1877 z dumą używali tytułu Cesarzy Indii. To właśnie z ludnych, wieloetnicznych i wielowyznaniowych krain subkontynentu indyjskiego wywodziło się najwięcej muzułmańskich żołnierzy brytyjskich. Regimenty hinduskie w brytyjskich siłach zbrojnych zyskały sławę w wielu wojnach kolonialnych, dzielnie wspierając podbój innych krajów i bezwzględnie tłumiąc bunty własnych rodaków w Indiach. W służbie brytyjskiej cenieni byli zwłaszcza wyznawcy religii mahometańskiej, wywodzący się z Indii Północnych (obejmujących wówczas także współczesny Pakistan i Bangladesz). Tradycje służby najemnej były w tym regionie głęboko ugruntowane w wyniku militarystycznego panowania islamskiej dynastii Mogołów w Sułtanacie Delhijskim. Kilkuwiekowe rządy wojowniczych władców, z dumą odwołujących się do tradycji protoplasty dynastii, Timura Kulawego (Tamerlana), wytworzyły kastę zawodowych wojowników, gardzących innymi zajęciami. Podbój Indii przez Brytyjczyków sprawił, że pozbawieni dotychczasowego pracodawcy wojownicy, bez wahania zaciągali się na służbę nowego hegemona. Z czasem służba oficerska w indyjskich pułkach, a zwłaszcza w regimentach kawaleryjskich, stała się marzeniem wielu młodych

fot. archiwum autora (2)

arystokratów z Wysp Brytyjskich. Na początku XX wieku Indie Brytyjskie zamieszkiwało ponad 300 milionów poddanych, a co roku do służby wojskowej zgłaszało się około półtora miliona ochotników, spośród których wybierano jedynie najlepszych kandydatów. Takiego potencjału nie można było lekceważyć. W latach poprzedzających wybuch Wielkiej Wojny armia Cesarstwa Indii uległa gruntownej reorganizacji i modernizacji, lecz pomimo dobrego wyszkolenia i wysokiego morale kolonialnych regimentów, Brytyjczycy zachowali ścisłą kontrolę nad jednostkami wojskowymi, rezerwując dla siebie większość średnich i wyższych stanowisk dowódczych oraz dołączając „metropolitalny" batalion do każdej indyjskiej brygady. W obliczu nieuchronnego konfliktu zbrojnego z muzułmańską Turcją, której posiadłości znajdowały się stosunkowo blisko Indii, obawiano się nielojalności spowodowanej względami religijnymi – koniecznością stawania do walki przeciwko innym wyznawcom Islamu. Ku niejakiemu zaskoczeniu Londynu okazało się jednak, że to raczej brytyjscy protestanci niż indyjscy muzułmanie byli bardziej skłonni do odmowy służby z bronią w ręku z pobudek wyznaniowych…

W latach 1914-1918 na Froncie Zachodnim walczyło ponad 140 000 brytyjskich żołnierzy z Indii, a na Bliskim Wschodzie – przeciwko muzułmańskiej Turcji – ponad 700 000. W wielu pułkach muzułmanie (a było ich w siłach zbrojnych blisko 400 000) służyli ramię w ramię z wyznawcami innych religii, lecz niektóre regimenty miały niemal wyłącznie islamski charakter, odpowiednio do proporcji wyznaniowych w regionach, z których wywodzili się rekruci. Warto dodać, że pierwszym indyjskim zdobywcą najwyższego odznaczenia za waleczność, Victoria Cross, został muzułmanin Khudadad Khan z 129 Regimentu Baluchis.

Półksiężyc i tricolore

Posiadłości kolonialne Republiki Francuskiej, obejmujące Algierię, Tunezję i część Maroka, zamieszkiwane były przez ludność muzułmańską oraz liczną (zwłaszcza w Algierii) grupę europejskich kolonistów. Chlubą francuskich sił zbrojnych jeszcze w okresie Drugiego Cesarstwa stały się waleczne i malowniczo umundurowane pułki Żuawów, Turcosów i Spahisów. Wojenna sława tych pierwszych, pierwotnie rekrutowanych spośród górskich plemion algierskich Kabylów, wywołała modę na formowanie własnych „żuawów" także w innych armiach. Barwni, egzotyczni „żuawi" z Luizjany i Nowego Jorku bili się podczas amerykańskiej wojny secesyjnej, wzorowane na nich jednostki powołała Brazylia i Państwo Kościelne, a i wśród polskich powstańców 1863 roku pojawił się oddział Żuawów Śmierci… Służba w „prawdziwych", francuskich regimentach Zouaves stała się wkrótce tak popularna, że europejscy ochotnicy wyparli islamskich Kabyli z ich szeregów.

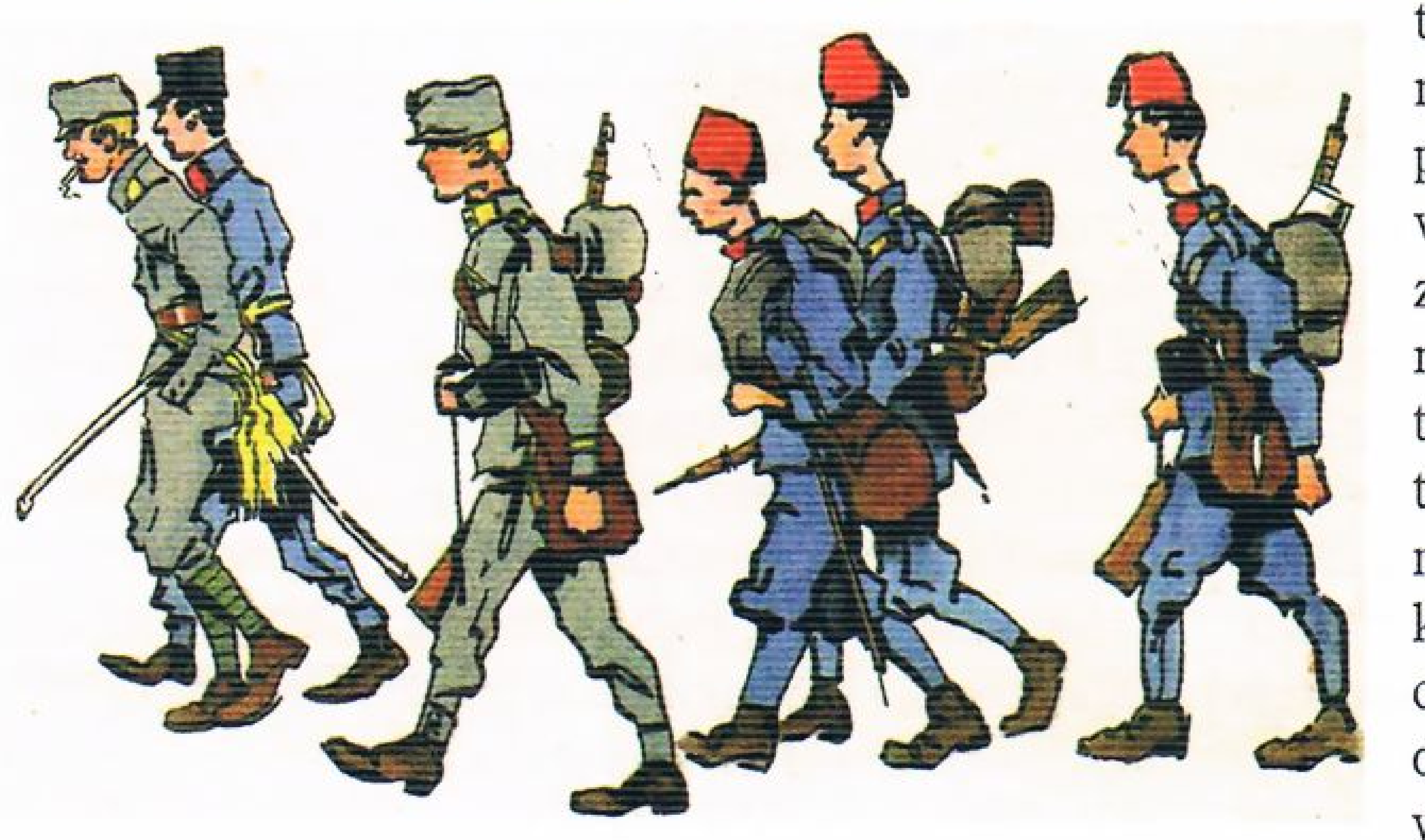

Przyczyniło się do tego powołanie nowej francuskiej formacji kolonialnej, pułków Strzelców Algierskich, Tunezyjskich i Marokańskich (Tirailleurs Algeriennes, Tunisiens, Marocains), do których powoływano jedynie rdzennych mieszkańców kolonii. Wkrótce dla muzułmańskich piechurów kolonialnych w służbie francuskiej przyjęła się potoczna nazwa Turcos („Turki"). W kawalerii odpowiednikiem Turcosów stali się Spahisi, czyli lekka kawaleria w egzotycznych mundurach, wzorowanych na tradycyjnych strojach berberyjskich jeźdźców. Trzeba dodać, że kadra oficerska w tych formacjach wywodziła się z Metropolii, a dla większości francuskich poruczników czy kapitanów służba w pułku Spahisów była trudno osiągalnym wyróżnieniem. Dla najbardziej nawet zasłużonych Algierczyków, Tunezyjczyków czy Marokańczyków szczytem możliwości awansu pozostawał stopień podoficerski…

Po wybuchu I wojny światowej francuskie władze wojskowe zarządziły przeniesienie wielu oddziałów kolonialnych na front niemiecki. W okopach pod Ypres czy Verdun walczyli i ginęli muzułmanie, stanowiący większość składu kilkunastu pułków strzelców algierskich, dwóch marokańskich i jednego tunezyjskiego oraz siedmiu regimentów konnych spahisów, wraz z broniami towarzyszącymi i służbami pomocniczymi liczących ogółem ponad 150 000 żołnierzy. Poległo i zmarło z ran lub chorób blisko 70 000 z nich. Największe straty francuskie pułki kolonialne poniosły w bitwie pod Verdun – życie oddało w niej ponad 28 000 wyznawców islamu. Podobnie jak w przypadku brytyjskich wojsk kolonialnych, także francuscy muzułmanie walczyli ofiarnie nie tylko z „niewiernymi" Niemcami, lecz bez oporu stawali do walki przeciwko współwyznawcom w służbie tureckiej. Waleczność żołnierzy Republiki Francuskiej, służących pod znakiem półksiężyca (emblemat rozpoznawczy wszystkich oddziałów tzw. Armii Afrykańskiej) dostrzegano w ówczesnych kręgach władzy. Świadczy o tym fakt, że w międzywojennym Paryżu wzniesiono – jako wyraz wdzięczności za waleczność muzułmanów – pierwszą w stolicy Francji świątynię wyznawców Proroka: Grand Mosquee (Wielki Meczet). Budowę sfinansowało całkowicie państwo francuskie, a obiekt wznosili północnoafrykańscy robotnicy, pracujący pod nadzorem algierskich architek-

>>>

tów. Był to wyjątkowy gest ze strony doktrynalnie laickiej Republiki, w której na co dzień raczej zamykano, niż budowało kościoły, klasztory i katolickie szkoły…

Za białogo padyszacha

Mocarstwem, władającym wielomilionową ludnością muzułmańską była na początku XX wieku także Rosja. Zdobycze carskiego imperium na Kaukazie i w Azji Środkowej obejmowały terytoria wielu współczesnych państw islamskiego kręgu cywilizacyjnego, m.in. Azerbejdżanu, Kazachstanu, Turkmenistanu, Kirgistanu i Tadżykistanu. Wyznawcami religii Proroka byli także mieszkańcy Krymu, środkowego Powołża, Uralu, Baszkirii, Tatarstanu, a także nieliczni Tatarzy litewscy…

W jednoznacznie prawosławnej i słowiańskiej armii carskiej, której etos i tradycje oparte były także na zwycięskich wojnach z Turcją, muzułmanie nie stanowili wyróżnianej ani faworyzowanej grupy wyznaniowej. Czyniono jednak pewne gesty w ich stronę, jak choćby ustanowienie odrębnej formy insygniów Krzyża Świętego Jerzego, pozbawionych postaci prawosławnego świętego, którego wizerunek zastąpił państwowy herb imperium (dwugłowy orzeł). Oprócz regularnego poboru do sił zbrojnych, który dotyczył poddanych bez różnic wyznaniowych (według szacunków, po mobilizacji w 1914 roku carowi służyło nie mniej niż milion muzułmanów), powstały także islamskie formacje ochotnicze. Jedną z najbitniejszych i najsłynniejszych z nich stała się niemal całkowicie muzułmańska „Dzika Dywizja". Oficjalna nazwa: Kaukaska Tubylcza Dywizja Konna nie przyjęła się w pozaurzędowym obiegu. Istniejąca od lata 1914 roku formacja skupiła 6 „etnicznych" pułków jazdy: Inguski, Czeczeński, Kabardyński, Dagestański, Tatarski i Czerkieski. Obsada oficerska wywodziła się z rosyjskiej kadry zawodowej, a w składzie Pułku Inguskiego walczył Polak, rotmistrz Władysław Obuch – Woszczatyński. Umundurowani w czerkieskim (kaukaskim) stylu konni ochotnicy słynęli zarówno z odwagi w boju, jak i z powszechnego lekceważenia wojskowego drylu i regulaminów, co przyczyniało się do upowszechnienia nieoficjalnego określenia dywizji. „Dzicy", zdecydowanie preferujący walkę bronią białą, a zwłaszcza szarże konne, podczas których wyli potępieńczo lub wzywali Allacha, zyskali rozgłos w czasie walk w Galicji w 1914 roku, w latach następnych wielokrotnie potwierdzając swoją bojową chwałę. W roku 1917 podczas puczu Korniłowa niemal zdławili rosyjską rewolucję… Po detronizacji cara Mikołaja II, nazywanego przez dżygitów Białym Padyszachem, więzi lojalności dżygitów pękły. Dywizja rozproszyła się, a wielu weteranów Wielkiej Wojny wojowało później w różnych armiach, nierzadko przeciwko sobie. Z „Dzikiej Dywizji" do Polski trafił wachmistrz Hussejn Danagujew, Czerkies z Dagestanu. W II Rzeczypospolitej służył w 10 pułku ułanów, lecz najchętniej nosił mundur dżygita – czerkieskę, papachę i kaukaską szaszkę…

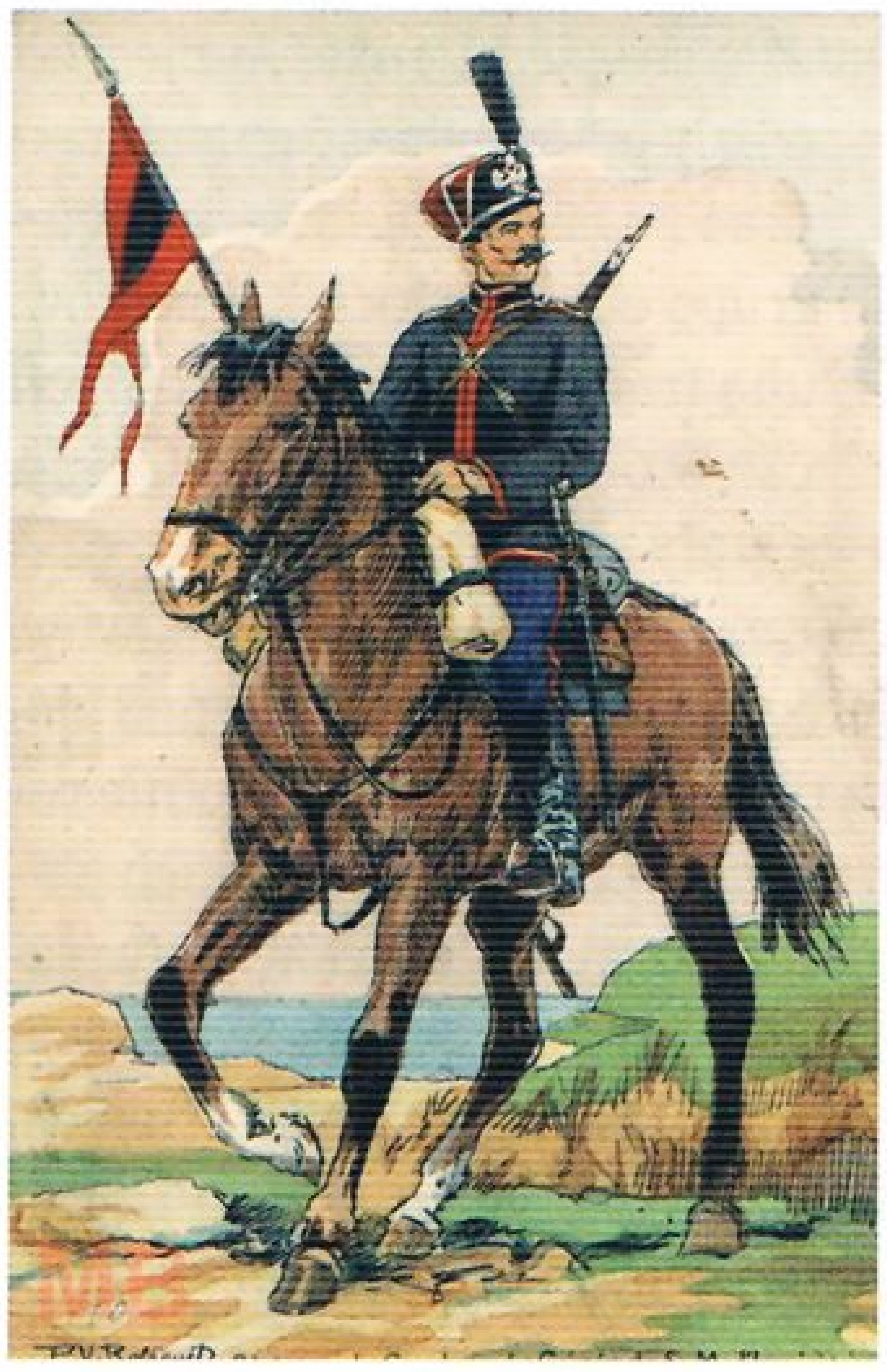

Kawalerzysta ochotniczego pułku konnego z Krymu, Rosja 1914.

Władysław Obuch – Woszczatyński, oficer Inguskiego Pułku „Dzikiej Dywizji", w Wojsku Polskim dowodził 10 pułkiem ułanów. Autor serdecznie dziękuje Panu Andrzejowi Niedźwieckiemu za udostępnienie fotografii z rodzinnego albumu.

Mimo upływu niemal wieku od heroicznych walk Wielkiej Wojny, tradycje carskich dżygitów żywe są wciąż w krajach kaukaskich, a nawet w Rosji, której rdzenni mieszkańcy raczej nie cechują się szczególną sympatią wobec swoich islamskich współobywateli. Wojownicy Białego Padyszacha byli – z rosyjskiego punkty widzenia – tymi dobrymi muzułmanami...

Formacje muzułmańskie istniały także w armiach państw katolickich. Mahometańscy Spahisi w służbie Włoch pełnili zadania policyjne w Libii.

Władca Austro-Węgier, Franciszek Józef I Habsburg, tytularny apostolski król Jerozolimy, autoryzował powołanie na terenie Bośni i Hercegowiny (zajętej w roku 1878 prowincji tureckiej) lokalnych oddziałów piechoty górskiej. Zewnętrznym wyrazem muzułmańskiego charakteru 4 regimentów bośniackich było specyficzne nakrycie głowy – czerwony fez. Cesarscy mahometanie otrzymali prawo do posiadania własnych kapelanów (imamów polowych), a jeśli tylko było to możliwe, codzienne wyżywienie żołnierzy musiało odpowiadać zasadom *halal* (wyznaniowych ograniczeń diety). Bośniacy dali się poznać na wszystkich frontach ostatniej wojny Austro-Węgier jako znakomici, waleczni i wytrzymali żołnierze, konkurując liczbą nadanych odznaczeń za waleczność jedynie z tyrolskimi pułkami strzelców górskich. <

Piotr Galik
Historyk, pisarz, erudyta. Długoletni współpracownik i przyjaciel miesięcznika „Odkrywca", konsultant z dziedziny wojskowości, chociaż jego ogromna wiedza obejmuje wiele innych dziedzin z zakresu historii. Kolekcjoner-falerysta.

ILUSTRACJE LITERATURA

Military Illustrated 995-2005 DANIEL MARSTON **The Indian Army and the end of the Raj**
Cambridge 2014

Musée de l'armée : Les spahis, cavaliers de l'armée d'Afrique
Paris 1997

ANTHONY CLAYTON **Histoire de l'Armée française en Afrique 1830-1962**
Paris 1994

A. A. KERSNOWSKIJ **Istorija russkoj armii**
Moskwa 1994

fot. archiwum domowe Andrzeja Niedźwieckiego

PRENUMERUJ za DARMO lub PÓŁDARMO

Jeśli jeszcze nie prenumerujesz „Odkrywcy”, zrób to teraz – masz ją za darmo!

Gwarantujemy Ci próbną, bezpłatną prenumeratę od grudnia 2015 r. do lutego 2016 r. Ty potwierdzasz swoje zainteresowanie wpłatą kwoty 132,30 zł – za kolejne 9 numerów (od marca do listopada 2016 r.). Jeśli Cię nie przekonamy i zechcesz zrezygnować z prenumeraty – otrzymasz zwrot swojej wpłaty minus koszty manipulacyjne w wysokości 10 zł. Ale musisz to potwierdzić przed 20 lutego 2016 roku.

BEZPŁATNA PRENUMERATA PRÓBNA	Płatna prenumerata – 9 wydań (5%VAT)
od grudnia 2015 r. do lutego 2016 r.	od marca 2016 r. do listopada 2016 r.
3×0,00 zł = 0,00 zł	9×14,70 zł = 132,30 zł

Jeśli już prenumerujesz „Odkrywcę”, nie zapomnij przedłużyć prenumeraty!

W przypadku prenumeraty krajowej:

- 12 wydań w cenie 147 zł (2 egz. gratis – płacisz za 10 a otrzymujesz 12 egz.)
- 6 wydań w cenie 73,50 zł (1 egz. gratis – płacisz za 5 a otrzymujesz 6 egz.)

i zagranicznej (droższa od krajowej o różnicę ceny wysyłki):

- półroczna, list zwykły – 123,90 zł (w tym przesyłka 50,40 zł)
- półroczna, list priorytetowy – 141,90 zł (w tym przesyłka 68,40 zł)
- roczna, list zwykły – 247,80 zł (w tym przesyłka 100,80 zł)
- roczna, list priorytetowy – 283,80 zł (w tym przesyłka 136,80 zł)

PAMIĘTAJ!

Tylko PRENUMERATORZY: *)

- mogą otrzymać w ciągu rocznej prenumeraty 12 bezpłatnych numerów archiwalnych „Odkrywcy” zamawiając co kwartał, pół roku, lub rocznie dowolne numery z dostępnych jeszcze wydań, które ukazały się do końca 2014 roku. Zamówienie można złożyć mailem na adres: prenumerata@odkrywca.pl
- mają prawo do 5% upustu przy zakupach artykułów z kolekcji „Odkrywcy”.

*)
– nie dotyczy prenumerat zamawianych u pośredników,
– nie dotyczy bezpłatnego okresu prenumerat próbnych,
– zagraniczni prenumeratorzy powinni dopłacić różnicę wynikającą z kosztów wysyłki w Polsce a poza granice kraju (kwotę podamy po złożeniu zamówienia).

Dane adresowe naszego wydawnictwa

Numer konta bankowego naszego wydawnictwa

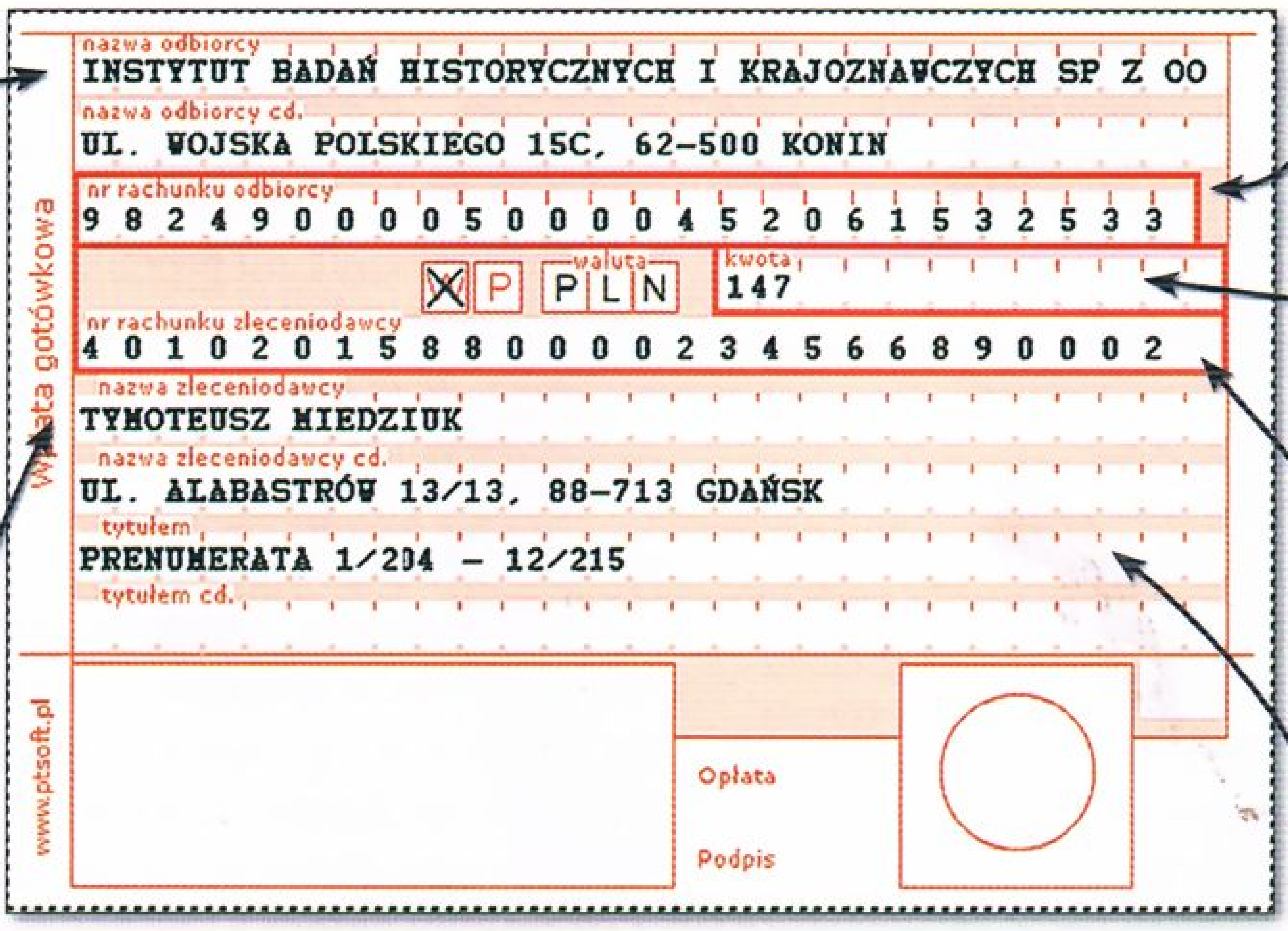

Wpłata gotówkowa

nazwa odbiorcy
INSTYTUT BADAŃ HISTORYCZNYCH I KRAJOZNAWCZYCH SP Z OO
nazwa odbiorcy cd.
UL. WOJSKA POLSKIEGO 15C, 62-500 KONIN
nr rachunku odbiorcy
9 8 2 4 9 0 0 0 0 5 0 0 0 0 4 5 2 0 6 1 5 3 2 5 3 3
☒ P
waluta PLN
kwota 147
nr rachunku zleceniodawcy
4 0 1 0 2 0 1 5 8 8 0 0 0 0 2 3 4 5 6 6 8 9 0 0 0 2
nazwa zleceniodawcy
TYMOTEUSZ MIEDZIUK
nazwa zleceniodawcy cd.
UL. ALABASTRÓW 13/13, 88-713 GDAŃSK
tytułem
PRENUMERATA 1/204 – 12/215
tytułem cd.

Opłata
Podpis

www.ptsoft.pl

Kwota zgodna z warunkami prenumeraty podanymi wyżej

Numer konta wpłacającego lub kwota słownie

Pełny adres pocztowy wraz z imieniem, nazwiskiem (i/lub ewentualnie nazwą firmy bądź instytucji)

Określenie prenumeraty, na okres od … do …; osoby prywatne chcące otrzymać fakturę VAT prosimy o dopisanie „Proszę o FVAT” (firmy i instytucje prosimy o podanie NIP)

PRENUMERATĘ ZAMAWIAMY:

NAJPROŚCIEJ

dokonując wpłaty (wzór obok)

NAJWYGODNIEJ

wysyłając SMS o treści PREN na numer 501 675 126. Oddzwonimy i przyjmiemy zamówienie (koszt smsa wg Twojej taryfy).

A NAWET

zamawiając za pomocą telefonu, e-maila, faksu lub listu

ON-LINE

pod adresem http://instytut.odkrywca.pl

DZIAŁ PRENUMERATY WYDAWNICTWA IBHiK

ul. Kaszubska 4, 50-214 Wrocław, tel. 71 329 71 71, faks 71 328 83 71
e-mail: prenumerata@odkrywca.pl

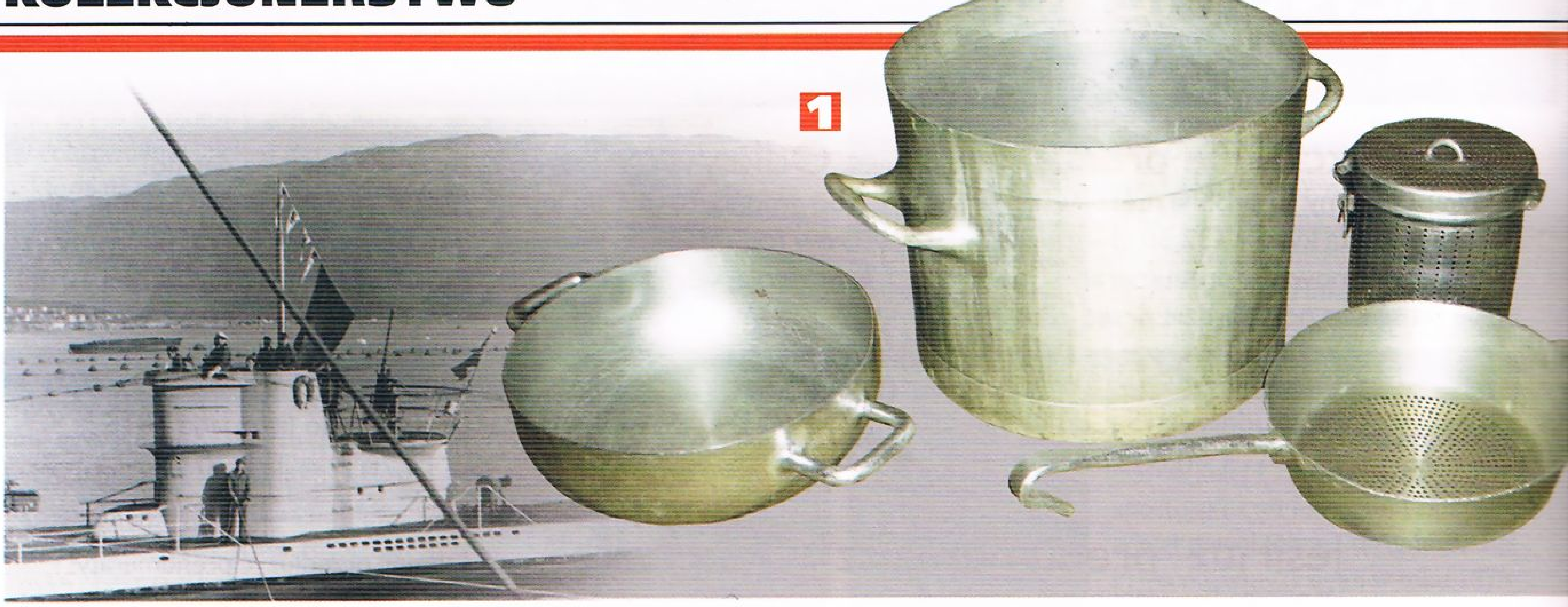

WOJNA OD STRONY KUCHNI
CZ. 9

GOTOWANIE NA U-BOOCIE

TOMASZ BIENEK

Aprowizacja okrętów podwodnych była bardzo trudna. Z racji swojej konstrukcji nie mogły zabierać one dostatecznych ilości pożywienia.

W kolejnym odcinku naszego cyklu, poświęconemu kwestiom aprowizacyjnym podczas ostatniej wojny, docieramy na pokład niemieckiego okrętu podwodnego.

Niemiecki U-Boot to jeden z symboli ostatniej wojny. Dla jednych fascynujący mechanizm do prowadzenia działań wojennych na morzu, dla innych złowrogi siewca śmierci i zniszczenia. Podobno jedynie niemieckich okrętów podwodnych obawiał się premier Wielkiej Brytanii Winston Churchill. Faktem jest, iż okręty te wyposażano w najnowsze zdobycze techniki, poczynając od napędu, na uzbrojeniu kończąc. Zapominano tylko o jednym – jedzeniu. Na pokładach śmiertelnie groźnych okrętów nie były nawet gdzie jej trzymać, więc wnętrze U-Boota, zwłaszcza w początkowej fazie rejsu, przypominało raczej spiżarnię niż okręt wojenny. Zewsząd zwieszały się kiełbasy, wędzony boczek, szynka i inne wędliny, worki chleba, kosze owoców. W każdym zakamarku poniewierały się skrzynie konserw i słoiki ze wszelkimi produktami spożywczymi. Jedzenie trzymano nawet w jednej z toalet. Drugi z okrętowych szaletów był dostępny dopiero, gdy zjedzono już trzymaną w ubikacji żywność.

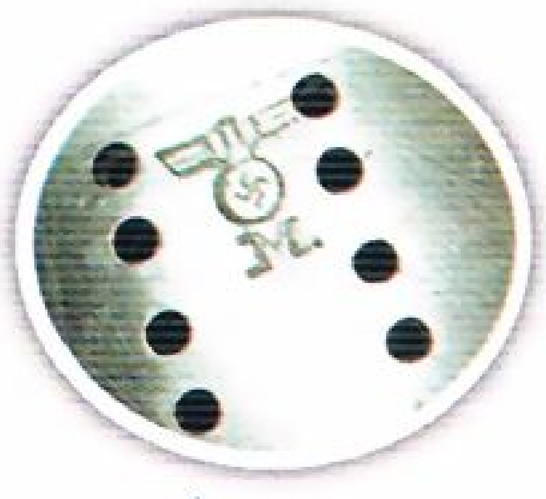

1 Wyposażenie kuchni na okręcie podwodnym. Każdy z elementów – garnek, rondel, cedzak i pojemnik do zaparzania dużej ilości herbaty – sygnowany jest widocznym na zdjęciu obok marynarskim znakiem odbioru.

– To logiczne, najpierw musimy myśleć o jedzeniu, dopiero potem o sr...u **– komentuje to w słynnym filmie „Das Boot" Wolfganga Petersena jeden z członków załogi.**

Toaletowo-aprowizacyjny absurd pojawia się zresztą w niemal każdej relacji niemieckich podwodniaków.

– Nie było mycia się czy gole-

fot. Tomasz Bienek

nia, były dwie ubikacje, ale jedna służyła za skład żywności – wspomina Rudi Toepfer, który w latach 1940-1943 pełnił służbę jako oficer maszynowni na pokładzie U-Boota typu VIIC, najpopularniejszego typu niemieckiego okrętu podwodnego (jego wspomnienia w formie wywiadu udzielonego w 2005 roku dostępne są na wielu polsko- i anglojęzycznych stronach www). Weteran zwraca uwagę, że choć nie wie jak kucharz okrętowy szykował dla całej załogi posiłki w ciasnej norze, jaką była kuchnia okrętowa, to jednak były one dobrej jakości. – *Myślę, że mieliśmy najlepsze wyżywienie wśród sił zbrojnych. Przez pierwsze dwa tygodnie patrolu, jedzenie było wspaniałe, wszystko świeże, mięso, jaja. Śniadania - to jajecznica z szynką. Następne trzy, cztery tygodnie były jeszcze warzywa, ziemniaki, kucharz piekł chleb. Ale po tym okresie - zostawały konserwy, zresztą całkiem niezłe* – dodaje Rudi Toepfer.

Bez lodówki

Rzeczywistość była jednak znacznie mniej idylliczna. Jak wspomina jeden z asów U-Bootwaffe, Otto Kretschmer, wszędzie na pokładzie okrętu unosił się smród smaru, pleśni, ludzkich odchodów i gnijących ziemniaków z zapasów żywności.

Rudi Toepfer, weteran Kriegsmarine, w swojej relacji zwraca uwagę na to, że załodze doskwierał brak lodówki. Choć wydaje się to niewiarygodne, na pokładach U-Bootów nie było żadnych chłodni, nawet najmniejszych chłodziarek. Lodówki do przechowywania żywności jak i system ogrzewania oraz wentylacji przedziałów, a także wiele podobnych nowości podnoszących komfort załogi miał na pokładzie posiadać U-Boot typu VIIC/42. Okręt ten jednak nigdy nie wszedł do służby, a ostateczna decyzja o wstrzymaniu produkcji została podjęta w 1944 roku. Lodówki na żywność, a także upragnione przez załogi prysznice, pojawiły się dopiero na pokładach U-Bootów typu XXI. Pomimo to, jak twierdzi Lawrence Paterson, autor książki „Życie codzienne na niemieckim okręcie podwodnym", zaopatrzeniowcy z Kriegsmarine starali się zapewniać marynarzom z okrętów podwodnych dość urozmaicone posiłki o jak największej wartości odżywczej oraz jak najlepszych walorach smakowych. Z jednej strony chodziło zapewne o morale załóg, które miały wygrać wojnę na morzu, z drugiej stały względy czysto praktyczne – obawiano się szkorbutu. Ten odwieczny koszmar marynarzy, pozbawionych podczas długich rejsów świeżych posiłków, a co za tym idzie witamin, na pokładach okrętów podwodnych starano się odegnać, zabierając duże ilości świeżych owoców. W ponad 40-dniowy rejs na pokład okrętu zabierano butelkowany sok z jabłek a także cytryny – jako kolejne źródło witaminy C. Zgodnie z regulaminem U-Boot miał zabierać w rejs 416 kg świeżych cytryn oraz kolejne 300 kg świeżych owoców.

Jedzenie w tonach

Łącznie w przeciętny rejs niemiecki okręt podwodny zabierał ponad 12 ton prowiantu. Jak podaje wspomniany już Lawrence Paterson, w skład zapasów dla całej załogi wchodziło m.in. 224 kg mięsa w różnej postaci, 108 kg kiełbas, ponad dwie tony konserw mięsnych, niemal tyle samo ziemniaków, prawie tona mleka w prosz-

>>>

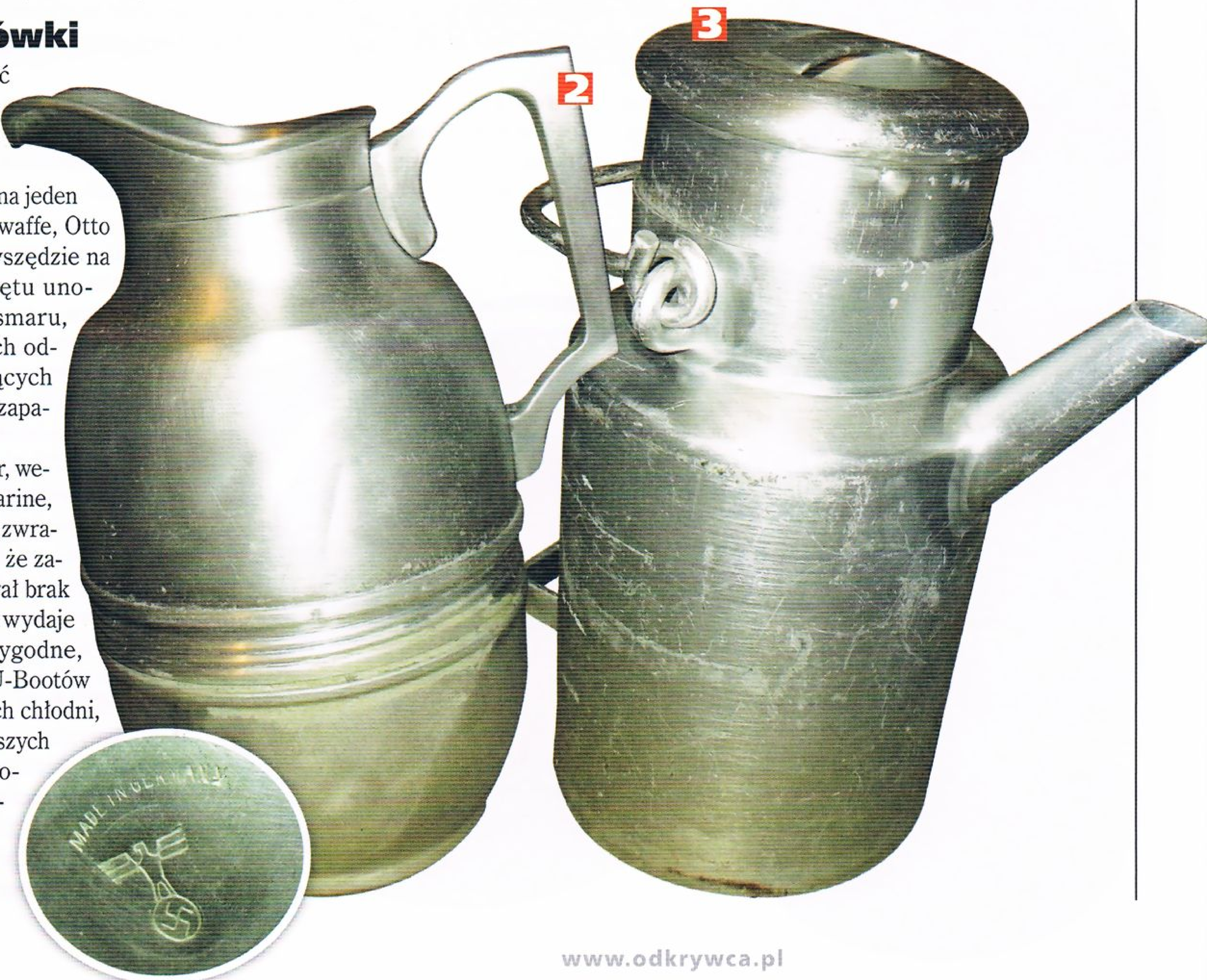

2 Podczas rejsu po zimnych wodach filiżanka gorącej kawy lub herbaty była marzeniem stojących na wachcie marynarzy. Jego spełnienie umożliwiały takie dzbanki/termosy. Widoczny na zdjęciach egzemplarz nosi znaki przyjęcia do na stan Kriegsmarine.

3 Ogromnej pojemności czajnik z kuchni okrętowej, podobnie jak reszta okrętowych garnków sygnowany orłem z literą M i podobnie jak one wykonany z grubego aluminium.

W cuchnącym smarem i paliwem, wiecznie mokrym wnętrzu U-Boota, każdy produkt spożywczy, który nie był zamknięty w hermetycznej puszce, butelce czy słoiku błyskawicznie gnił i pleśniał. Konieczne stało się zabieranie w rejs konserwowanej żywności, w tym i środków o znaczeniu kluczowym, mianowicie zapobiegających szkorbutowi. Na zdjęciu litrowej pojemności butelka szklana, sygnowana na dnie litera M (od Marine). W takich naczyniach trzymano np. sok jabłkowy.

fot. Tomasz Bienek

>>> ku, tona chleba – w połowie świeżego, w połowie puszkowanego chleba konserwowego, półtorej tony warzyw i 270 kg świeżych jaj.

Uzupełnienie tego stanowiło m.in. 50 kg serów świeżych i 65 kg serów w puszkach, 60 kg kawy i 50 kg masła. W marynarskim menu, dzięki tym produktom, znalazły się takie potrawy jak smażona kiełbasa, ziemniaki z sosem, kapustą i owocami, gulasz fasolowy z mięsem, lub potrawa z mięsa, ziemniaków i cebuli. Niestety, większość najcenniejszej, czyli świeżej żywności, psuła się błyskawicznie na skutek panującej nieustannie wilgoci.

Do dodatków specjalnego przeznaczenia można zaliczyć **witaminizowane cukierki, które wzbogacać miały dietę i zapobiegać wyjaławianiu organizmu. Według autorów niektórych publikacji jako środka znieczulającego na morzu stosowano pastylki do ssania z zawartością opium.**

Kuchnia wyposażona była w zlewozmywak i piekarnik oraz kilka palników, a jej obsługa miała do dyspozycji gorącą wodę. Mankamentem były rozmiary kuchni, jednak brak przestrzeni był normą w każdym miejscu na okręcie.

Kolejnym, obok trzymania jedzenia w ustępie, aprowizacyjnym absurdem na U-Bootach, była okrętowa zastawa. **Kubki i talerze, z których jedli marynarze, były zwykłymi fajansowymi naczyniami...** Można sobie wyobrazić, co działo się z nimi podczas większych sztormów lub nagłego alarmu, gdy wszystko lądowało na podłodze, po której marynarze biegli na stanowiska bojowe.

Mleczne krowy

Aby umożliwić U-Bootom długie przebywanie w morzu, do służby wprowadzono podwodne U-Booty zaopatrzeniowe, których zadaniem było dostarczanie wszelkich materiałów potrzebnym do działania U-Bootom bojowym. „Mleczne krowy", bo tak marynarze zaczęli szybko nazywać te jednostki, na pełnym morzu uzupełniały zaopatrzenie niezbędne dla kontynuowania misji. Były to torpedy, by zachować zdolność bojową okrętów, paliwo i smary by mogły one dalej pływać, oraz właśnie żywność i napoje, by ich załogi mogły kontynuować rejs.

– *Mieliśmy wystarczającą ilość zaopatrzenia, aby pozostawać w morzu cztery do pięciu tygodni* – wspominał Gerhard Schwarz, jeden z dwóch ocalałych członków okrętu podwodnego U-455.

Marynarz ten we francuskim filmie dokumentalnym o losach jego jednostki opisuje dramatyczny moment, gdy podczas przeładunku zaopatrzenia z „mlecznej krowy" na pokład jego okrętu obie jednostki zostały zaatakowane przez aliancki samolot.

Zaopatrzeniowe U-Booty typu XIV były modyfikacją jednostek typu IX D. Miały spore rozmiary, więc zabierały aż 423 tony ładunku dla U-Bootów w morzu. Z przewożonego ładunku 44 metry sześcienne stanowiła żywność, okręt transportował też 10 kubików słodkiej wody. Zapas żywności przechowywano w chłodniach, by na pokłady odbiorców dostarczyć ją w dobrym stanie. **Na pokładach „mlecznych krów” znajdowały się nawet piekarnie, by podczas rejsu na otwartym morzu wypiekać świeże pieczywo dla załóg oczekujących na aprowizację.** Co ciekawe, na pokładach podwodnych zaopatrzeniowców znajdowały się nawet warsztaty, pozwalające na dokonywanie skomplikowanych napraw „na miejscu”. W powrotny rejs U-Booty typu XIV zabierały rannych lub chorych marynarzy. Hitlerowska marynarka posiadała 10 takich jednostek i wszystkie zostały utracone w walce.

Zapasy słodkiej wody

Oprócz jedzenia tradycyjnym problemem wojennej logistyki na morzu jest zapewnienie marynarzom słodkiej wody. Okręty podwodne Dönitza zabierały jej zapas w zbiornikach, jednak ich pojemność była ograniczona i wodę pitną używano praktycznie tylko w celach konsumpcyjnych, czyli do picia i do przygotowywania posiłków. Przykładowo U-Boot typu IX miał cztery główne zbiorniki słodkiej wody, mogące pomieścić łącznie zapas o objętości 5113 litrów. Wszystkie zbiorniki wyposażone były we wskaźniki, aby nadzorować codzienne zużycie cennej cieczy. Rezerwowy zbiornik pitnej wody znajdował się w kiosku okrętu i miał pojemność zaledwie 15 litrów, był to jednak zapas awaryjny. Co dwa dni, przy sprzyjających warunkach, marynarze dostawali kubek wody do umycia zębów.

Egzotyczne wyprawy

Jak wiadomo, życiem każdego marynarza rządzi przewrotny los. Z jednej strony codziennością załogi U-Boota był zapleśniały chleb i gnijące kartofle, z drugiej jednak strony, dzięki oceanicznym rejsom, wielu z tych marynarzy docierało w miejsca tak egzotyczne, iż mieli okazję powetować sobie długie tygodnie spędzone w zimnych i mrocznych odmętach Atlantyku. We wspomnianym już filmie „Okręt” z 1981 roku załoga tytułowego U-96 wchodzi na pokład niemieckiego statku handlowego, przebywającego w hiszpańskim porcie. W mesie stoły uginają się tam od egzotycznych owoców i najróżniejszych przysmaków, a pamiętajmy, iż niemieccy podwodniacy docierali w bardziej egzotyczne miejsca, operując od Karaibów po macierzyste wyspy japońskie.

Już w lipcu 1941 Kriegsmarine zyskała nową, dalekowschodnia bazę zaopatrzeniową. Był nią port Penang na Malajach. Początkowo był to główny punkt oparcia dla U-Bootów operujących na Oceanie Indyjskim. Korzystała z niego m.in. grupa „Monsun” skierowana na ten akwen, w skład której wchodziło początkowo 11 okrętów podwodnych. Oprócz niego Japończycy udostępnili Niemcom >>>

JAPOŃSKIE WYPRAWY U-BOOTWAFFE

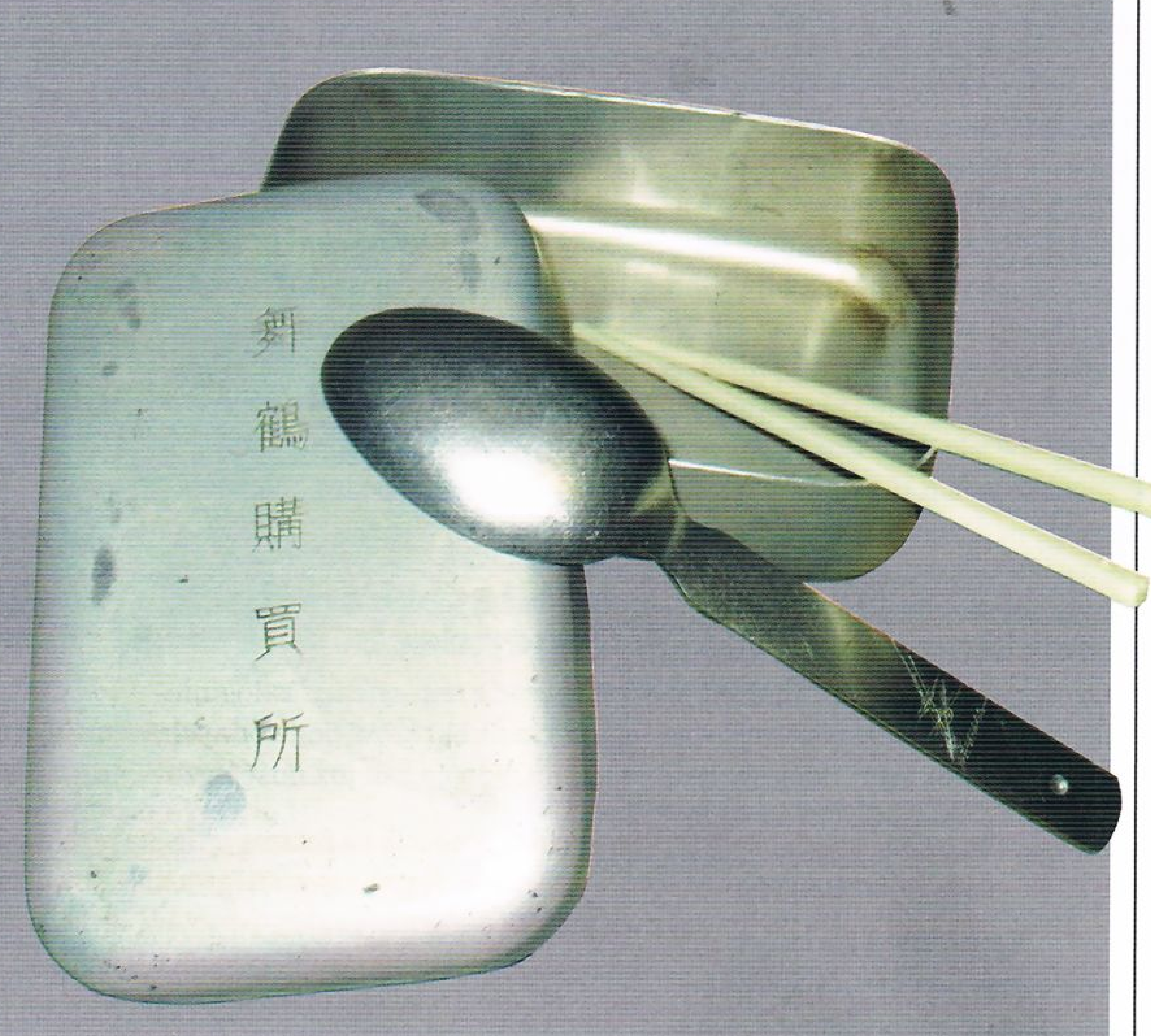

Marynarze z niemieckich okrętów, zwłaszcza U-Bootów, docierali do najbardziej egzotycznych zakątków mórz i oceanów, zawijali też do azjatyckich portów pod kontrolą Japonii. Podczas napraw okrętów czy uzupełnianiu zaopatrzenia mieli więc okazję do poznania potraw, których nie mieli szansy spróbować ich koledzy z wojsk lądowych czy lotnictwa. Na zdjęciu widać rodzaj japońskiej menażki z inskrypcjami świadczącymi o przynależności tego przedmiotu do technika ze stoczni remontowej w ogromnej bazie cesarskiej marynarki w Maizuru. Ten wojenny port, założony na początku XX wieku nad Morzem Japońskim, odegrał wielką rolę podczas wojny rosyjsko-japońskiej 1904-1905, a podczas II wojny światowej był już jedną z największych baz japońskiej floty. Gigantyczny kompleks nabrzeży, doków i stoczni wraz z lądową infrastrukturą jak magazyny paliw, amunicji, torped, min morskich i żywności dla przypływających do Maizuru okrętów był silnie ufortyfikowany i dla japońskiej floty był tak ważny jak dla przedwojennej polskiej Marynarki Wojennej baza w Helu. Maizuru był też poligonem i garnizonem japońskiej piechoty morskiej oraz bazą lotnictwa morskiego. Niemieccy podwodniacy działali też w oparciu o inne azjatyckie bazy. W menażce japońskie pałeczki z tworzywa i łyżka z niezbędnika Kriegsmarine (sygnatura F.W.W. 41).

>>> bazy w Batawii (Dżakarcie), Singapurze, Surabai oraz Kobe w Japonii. W bazach tych niemieccy – ale także i włoscy – podwodniacy uzupełniali paliwo, torpedy oraz oczywiście – żywność. Pomimo dość prymitywnego zaplecza w Penang aż do 1944 był to główny port Niemców na Oceanie Indyjskim, potem jego rolę przejęła Batawia. U-Booty, które zastał tam 8 maja 1945, jak np. U-219, otrzymały japońskie oznaczenia i kontynuowały służbę jako jednostki floty cesarskiej. Wybuch II wojny światowej zastał na Dalekim Wschodzie także wiele jednostek niemieckiej floty handlowej. W niewielkiej liczbie zostały wykorzystane do transportu z Azji do Niemiec towarów. Najlepszym przykładem jest rejs statku „Elsa Essberger", który w 1942 roku wyruszył w drogę do Europy. Oprócz rudy tungstenu, kauczuku (który zajmował najwięcej miejsca w ładowniach), cyny i opon statek płynął do Niemiec z typowo „kuchennym" ładunkiem. Z prawie 6800 ton frachtu 124 tony stanowiła kawa, 106 ton herbata, 65 ton jajka w proszku. Jednostka zabrała też 7 i pół tony gałki muszkatołowej. Misja zakończyła się sukcesem, jednak wkrótce, ze względu na panowanie Aliantów na wodzie i w powietrzu, egzotyczne rejsy mogły odbywać już tylko okręty podwodne.

U-Boot w niesamowitych legendach

Z kwestią aprowizacji załóg niemieckich okrętów podwodnych, czyli sprawą i tak już dość egzotyczną, wiążą się jeszcze bardziej niesamowite legendy. Tak więc wedle tych rewelacji **marynarze z U-bootów mieli nocami podpływać pontonami do amerykańskich nadmorskich miejscowości, by robić zakupy w opływających we wszelkie dobra lokalnych sklepach (oczywiście po uprzednim przebraniu się w cywilne ubrania).** W nieco barwniejszych wersjach tej historii negatywni bohaterowie jedzą posiłek w amerykańskim barze lub nocą piją alkohol w knajpie, by po zamknięciu lokalu wracać na pokład złowrogiego okrętu czyhającego na przybrzeżnych wodach. Choć dziś trudno komentować te opowieści, zapewne w czasie wojny były one w USA rodzajem legendy miejskiej i z pewnością wielu amatorów tanich sensacji zarzekało się, że widziało podwodniaków admirała Karla Dönitza w pubie za rogiem. **Najbardziej sensacyjna relacja, pochodząca z 1946 roku, pochodzi z Polski! Rzekomo wtedy dwaj ryba-**

Stosowany na pokładach okrętów Kriegsmarine zasobnik na żelazną rację dla rozbitków. Zawierał wysokokaloryczne produkty, m.in. czekoladę. Sygnowany: Kriegsmarine 300 gr Notverpflegung. Pojemniki takie mogły znajdować się w posiadaniu załóg U-Bootów. Identyczne pojemniki z taką samą zawartością otrzymywały załogi niemieckich samolotów i łodzi latających, operujące nad Atlantykiem. Lotnicze pojemniki odróżniały od marynarskich jedynie sygnatury.

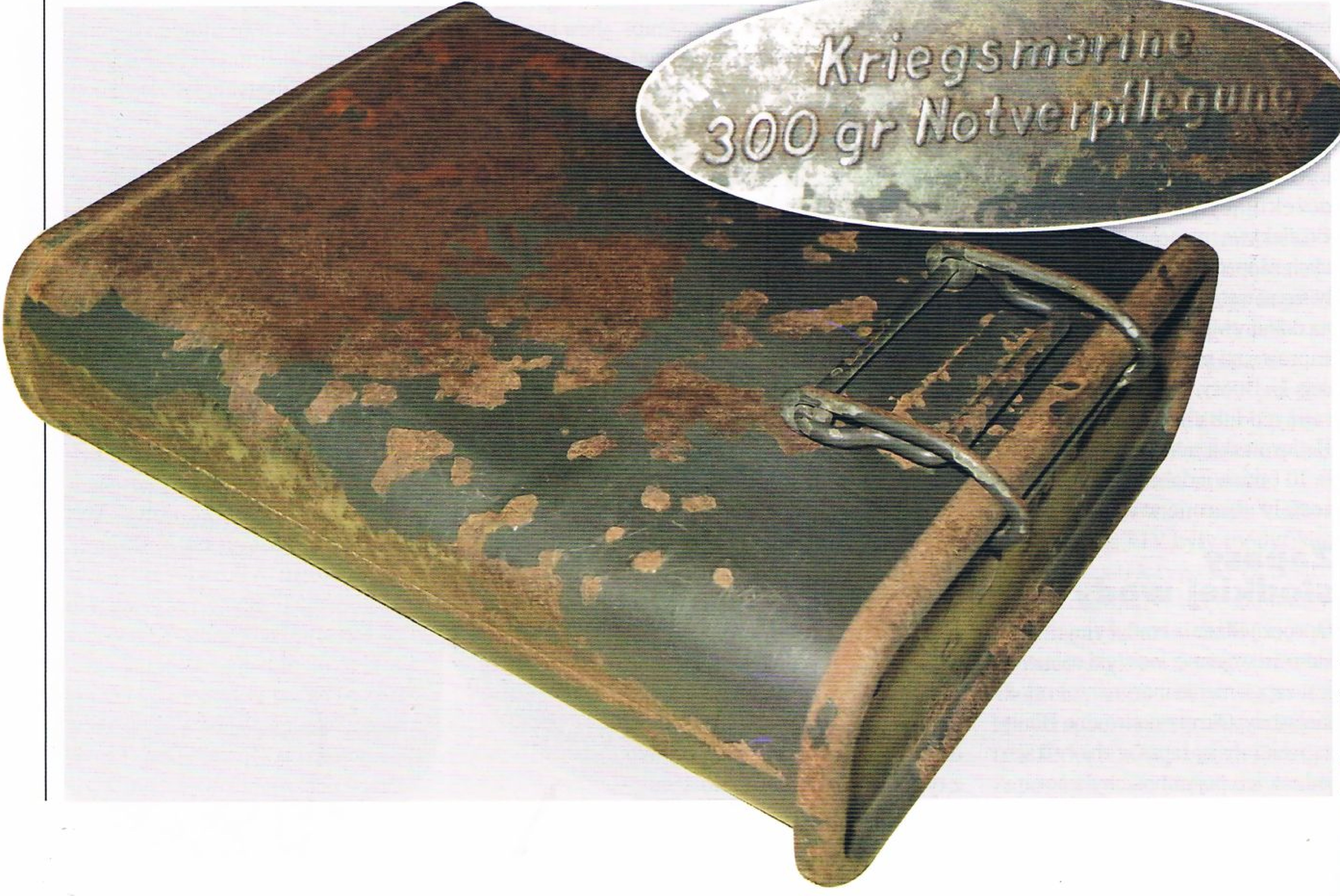

fot. Tomasz Bienek

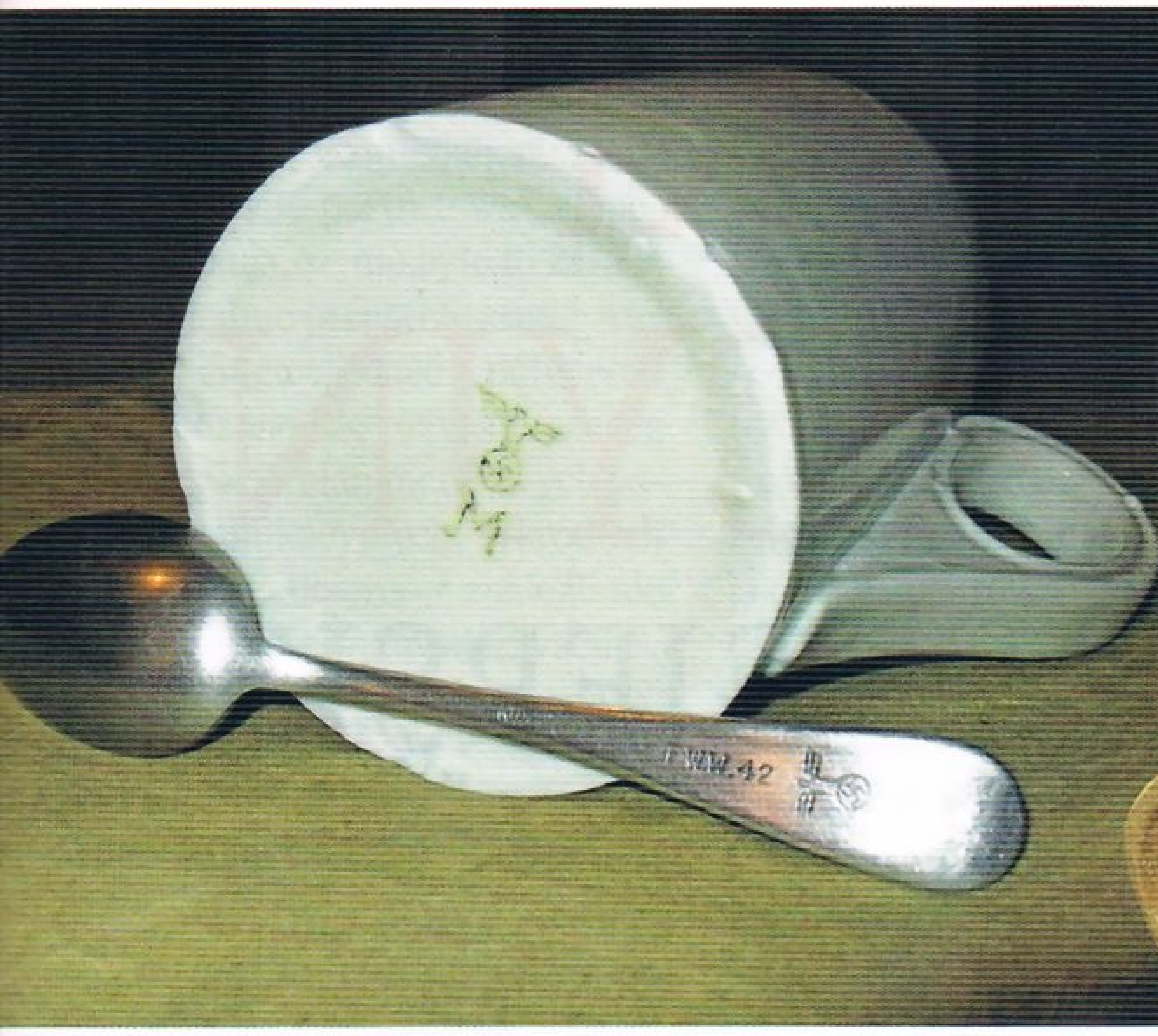

Elementy zastawy z U-Boota. Fajansowy kubek z orłem marynarki i literą M oraz stalowa łyżeczka do herbaty sygnowana F.W.W. 42 oraz orłem Kriegsmarine. Choć trudno w to uwierzyć, na pokładach U-Bootów używano fajansowych naczyń, podatnych na stłuczenie.

cy z Półwyspu Helskiego mieli nocą zobaczyć, jak z wynurzonego U-Boota marynarze dostają się na brzeg. Historia z biegiem czasu stała się PRL-owską legendą miejską, opisywaną kilkakrotnie w lokalnej prasie, a jej zbiorowym bohaterem była załoga U-Boota odcięta przez Sowietów na Bałtyku, i niemogąca przedrzeć się na Zachód. Warto przypomnieć równie sensacyjne i w części udokumentowane relacje związane z Kriegsmarine i zdobywaniem żywności.

Istnieje relacja brazylijskich marynarzy, którzy w 1946 roku odbywali rejs jako załoga statku handlowego. W rejonie ujścia Amazonki statek został zatrzymany przez okręt podwodny, zaś na jego pokład weszli uzbrojeni marynarze, którzy mówili po niemiecku. Intruzi zabrali Brazylijczykom leki i żywność, po czym zeszli z pokładu. Załoga frachtowca zawiadomiła brazylijską straż przybrzeżną, patrole nie odnalazły jednak żadnego niezidentyfikowanego okrętu.

Kolejna sensacja pochodzi z Argentyny. W 1946 roku do portu miał wpłynąć niemiecki okręt podwodny. Marynarze uzupełnili żywność, wodę pitną i po zatankowaniu paliwa odpłynęli. Okręt wszedł i wyszedł z portu pod... piracką banderą. I choć wydaje się, że znów wchodzimy w obszar fikcji, istnieją dowody na podobne incydenty.

Pod butnie wywieszoną piracką flagą, wszedł do argentyńskiej bazy Mar del Plata U-977. Miało to miejsce 17 sierpnia 1945, a więc kwartał po kapitulacji III Rzeszy! Załogę o miesiąc uprzedził U-530, który do tego samego portu wpłynął 10 lipca 1945 roku. Nie uzyskano odpowiedzi na pytania, co – i dlaczego – załogi robiły tak długo w morzu. W dodatku na U-530 brakowało dziennika pokładowego, a marynarze nie posiadali znaków tożsamości. Co do aprowizacji, to już wkrótce mieli oni poznać walory kuchni amerykańskiej – władze Argentyny przekazały marynarzy z obu okrętów do USA, a tam trafili do obozu, gdzie do 1946 roku przebywali na jenieckim wikcie, który zdaniem wielu niemieckich weteranów u Amerykanów był lepszy niż wyżywienie żołnierzy w Wehrmachcie. <

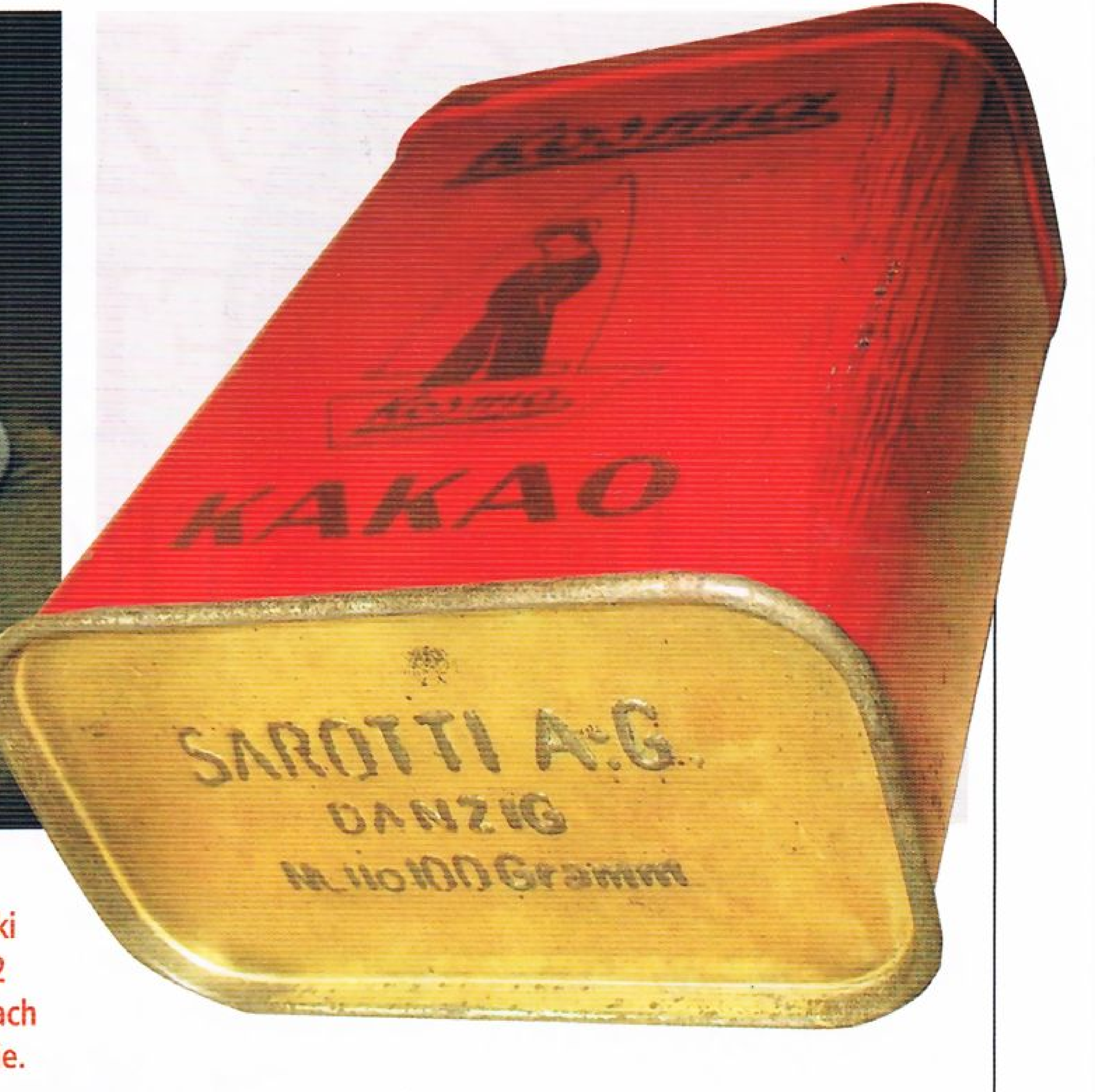

Puszka kakao Kosma z Sarotti A.-G. Danzig z powodzeniem mogła znaleźć się na pokładzie U-Boota. W Gdańsku bazowała m.in. 27. Szkolna Flotylla U-Bootów.

Tomasz Bienek
Entuzjasta historii obu wojen światowych, kolekcjoner żołnierskiego ekwipunku z lat 1914-1945, miłośnik fantastyki i fan rockowej muzyki, polskich gór i polskiego morza. Z wykształcenia humanista, z doświadczenia zawodowego – reporter w prasie codziennej. Autor rubryki „Wojna od kuchni" w miesięczniku „Odkrywca". Wyznawca maksymy stworzonej i wyśpiewanej przez Marka Grechutę: „ważne są dni, których jeszcze nie znamy".

LITERATURA I ŹRÓDŁA

LAWRENCE PATERSON **U-Boot. Życie codzienne na niemieckim okręcie podwodnym w czasie II wojny światowej**
Carta Blanca, 2011

PIOTR BOCZOŃ **Łamacze blokad**
Polska Zbrojna maj 2015

Film fabularny „Okręt"
REŻ. WOLFGANG PETERSEN
RFN 1981

Film dokumentalny „U-455. Tajemnica zaginionego U-Boota"
REŻ. STEPHANE BEGOIN
Francja, 2013

ODZNAKI KWALIFIKACYJNE ARMII AUSTRO-WĘGIERSKIEJ

CZ. 1

PIOTR GALIK

Rewersy, awersy, sposób wykonania i noszenia emblematów dla kawalerzystów, artylerzystów, cieśli i łącznościowców.

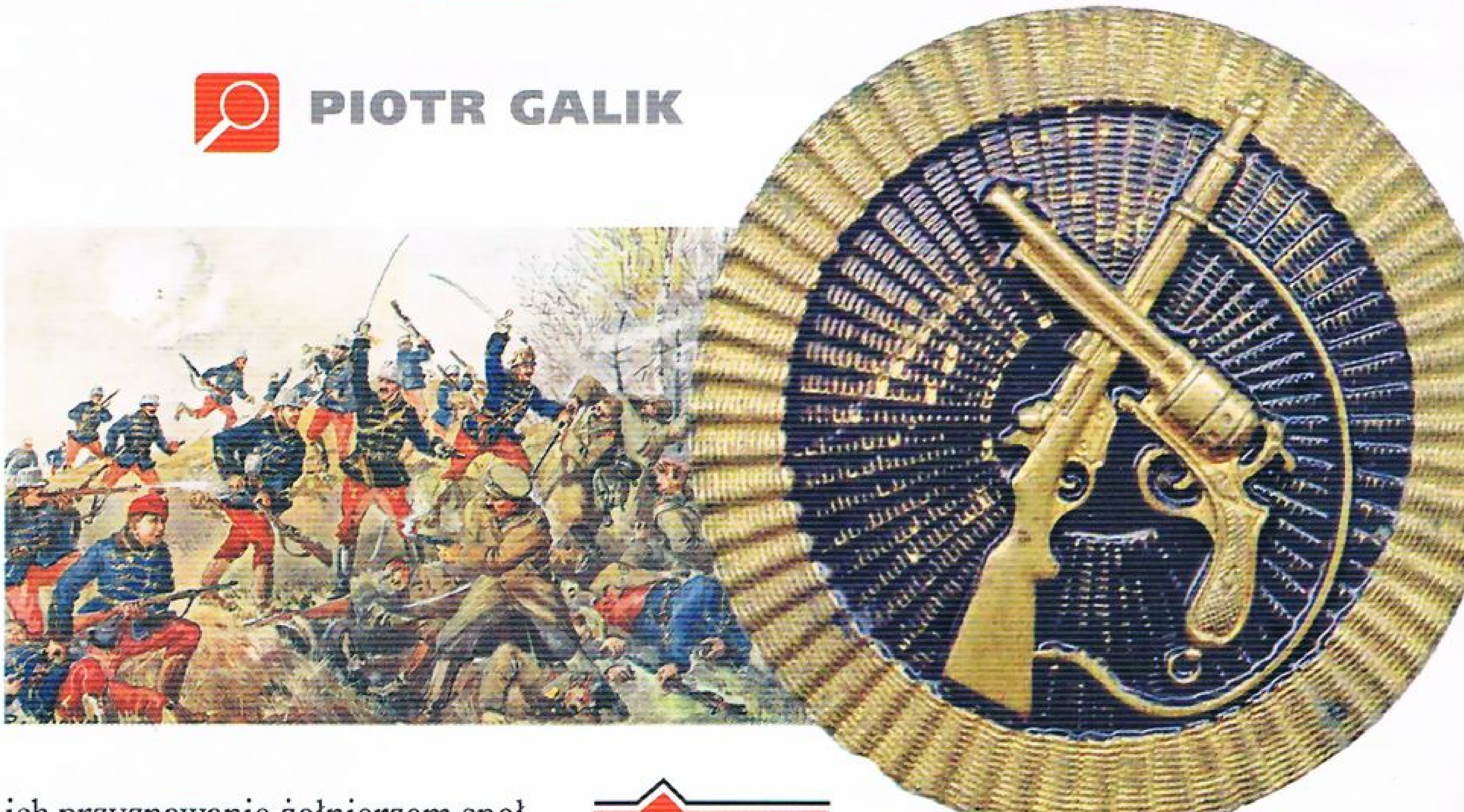

Na początku Wielkiej Wojny, kiedy jeszcze w użyciu były barwne mundury czasu pokoju, odznaki strzeleckie noszono nawet w boju bezpośrednim, jak huzar w lewej dolnej części malowidła poświęconego bitwie o wzgórze Jabłoniec pod Limanową. W przypadku posiadania uprawnień do dwóch odznak, noszono je obok siebie.

fot. archiwum autora

Uzupełnieniem systemu ozdobnych sznurów, pełniących rolę odznak potwierdzających kwalifikacje celnych strzelców i specjalistów wojskowych w oddziałach habsburskich sił zbrojnych, stały się okrągłe metalowe emblematy. Przewidziane były do noszenia na prawej piersi kurtki mundurowej, powyżej kieszeni lub w analogicznym miejscu na płaszczu czy też jego kawaleryjskim zamienniku – pelzrocku, pelzułance albo pelzattili. Pierwotnie miały one zastępować sznury kwalifikacyjne. Jednak z czasem – w niektórych specjalnościach wojskowych – stały się uzupełnieniem „akselbantów" noszonych wraz z nimi. O ile jednak w przypadku sznurów kwalifikacyjnych wybuch Wielkiej Wojny zakończył ich przyznawanie żołnierzom spełniającym przepisane regulaminem kryteria, to niektóre odznaki metalowe przetrwały w systemie nagród, a nawet powstały ich kolejne rodzaje. Przyczyniła się do tego zapewne ich powściągliwa forma – nie kolidowały z wymogami maskowania na polu walki tak bardzo, jak jaskrawe, barwne sznury, a ponadto zarówno koszt ich wyrobu, jak i odporność na wszechobecne w warunkach walki pozycyjnej błoto i wilgoć, odpowiadały bardziej wymogom wojny totalnej.

Z jakiego materiału i jak noszone

Metalowe odznaki kwalifikacyjne wykonywano zazwyczaj z tombaku, zwanego inaczej „mosiądzem czerwonym", czyli stopu cynku i miedzi (zwykle w proporcjach około 20:80 na korzyść miedzi). Z racji ogólnego podobieństwa większości odznak, ich pierwotny kształt (okrągły medalion), był odlewany w uniwersalnej formie. Natomiast szczegóły awersu, odmienne dla każdego z rodzajów odznaki, wybijano przy użyciu odrębnych matryc. Do rewersu mocowany był – techniką lutowania – język sporządzony z mosiężnej blachy, służący do mocowania odznaki na mundurze. W tym celu konieczne było wykonanie odpowiedniego przecięcia tkaniny, w które wprowadzano przylutowany do rewersu język, siłą sprężystości dociskający emblemat do uniformu.

Jeśli nagrodzony metalową odznaką żołnierz posiadał także prawo do sznura kwalifikacyjnego, zazwyczaj mocował jego prawą końcówkę do medalionu, chociaż fotografie portretowe „z epoki" wskazują, że nie było to zasadą bezwzględnie przestrzeganą.

W ciągu ponad półwiecza wprowadzono do użytku szereg rodzajów i odmian metalowych odznak kwalifikacyjnych. Wśród ich pierwszych odbiorców znaleźli się austro-węgierscy kawalerzyści.

„Nagroda pocieszenia" dla konnicy

Gdy w roku 1868 rozpoczęto nadawanie sznurów strzeleckich dla żołnierzy jednostek piechoty, austro-węgierscy huzarzy, dragoni i ułani pozostali bez możliwości uzyskania takiego wyróżnienia. Zapewne w tym okresie w kręgach sztabowych wciąż jeszcze uważano, że w jednostkach konnych umiejętności strzeleckie mają znaczenie mniejsze, gdyż zasadniczym sposobem walki kawalerii jest atak na broń białą... Wkrótce jednak doszło do rewizji tego poglądu i w czerwcu 1871 roku ustanowiona została *Schützenauszeichnung für die Kavallerie* – kawaleryjska odznaka strzelecka. Jej głównym motywem stał się wizerunek skrzyżowanych regulaminowych typów broni palnej jazdy: karabinka systemu Werndl i rewolweru typu Gasser. Tło stanowiła kolista, lekko wypukła tarcza o średnicy około 45 mm, pokryta reliefem wzorowanym na rozecie (kotylionie) z uszytej z drobno plisowanej wstążki. Kotyliony takiego wzoru były (i są nadal!) popularnym rodzajem nagrody dla... koni biorących udział w zawodach hippicznych. Najbardziej prawdopodobnym powodem odejścia od formy sznura na rzecz „końskiej rozetki" wydają się względy estetyczne. Wykonane z barwnego sznura szamerunki, zdobiące węgierskie kurtki huzarów, w połączeniu z dodatkowym barwnym akselbantem mogłyby wywołać wrażenie dysonansu i zakłócić klasyczne piękno uniformu.

Metalowa, złocista odznaka, dyskretna, lecz dobrze widoczna na tle granatowego czy błękitnego munduru, uznana została za dostateczny wyróżnik najlepszych strzelców wśród kawalerzystów. Warto dodać, że kryteria kwalifikacyjne, które trzeba było spełnić, by uzyskać prawo noszenia odznaki strzeleckiej dla żołnierzy konnicy były takie same jak dla piechurów.

Dlaczego kawalerzyści ścierali lakier?

Pierwotny projekt odznaki uległ z czasem modyfikacji. W roku 1896 wizerunek przestarzałego karabinka Werndla zastąpiony został przez wyobrażenie nowoczesnego, wprowadzanego właśnie do użytku karabinka systemu Mannlicher. Rewolwer – pomimo pojawienia się nowoczesnych pistoletów – pozostał w pierwotnej postaci aż do roku 1914, kiedy zaprzestano nadawania tej odznaki. Aby wprowadzić rozróżnienie pomiędzy emblematem ogólnokawaleryjskim i wzorem przeznaczonym dla huzarów węgierskiego Honvedu (Obrony Krajowej), regulaminowo zalecono pokrywanie wewnętrznego kręgu odznaki farbą: barwy czarnej (od 1871 r.) i czerwonej (od 1876 r.). **Zdarzało się jednak bardzo często, że kawalerzyści dokładnie ścierali lakier podczas „szczególnie starannego" czyszczenia odznaki, by nadać jej efektowny, lśniący wygląd.** Znanych jest szereg odmian kawaleryjskiej odznaki strzeleckiej, różniących się nieznacznie reliefem, rozmiarem oraz materiałem – stosowano stopy o różnej proporcji składników, co wpływało na barwę metalu. Ponieważ odznaki za kwalifikacje strzeleckie cieszyły się znacznym prestiżem, zamożniejsi rezerwiści zamawiali w zakładach grawerskich ich miniaturki, przeznaczone do noszenia w klapie cywilnej marynarki.

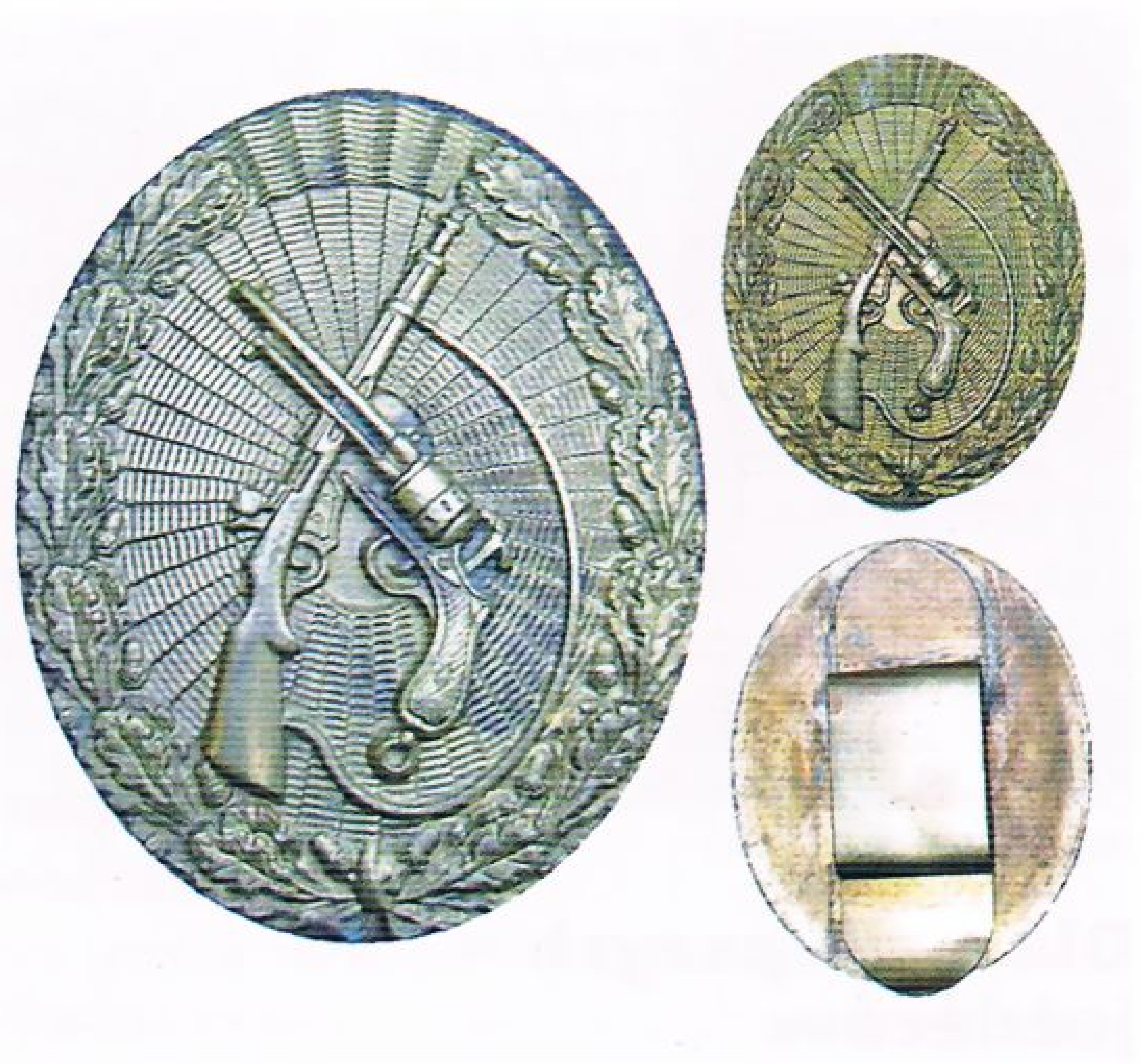

Odznaka bardzo dobrego strzelca kawalerii uzyskała nietypowy, elipsoidalny kształt, lecz główny motyw pozostał taki, jak w wariancie podstawowym. Uległa także podobnej zmianie, uwzględniającej przezbrojenie konnicy w nowsze karabinki. Rewolwer w emblemacie pozostał bez zmian, mimo pojawienia się nowoczesnych modeli pistoletów. Dopiero w międzywojennym projekcie strzeleckiej odznaki kwalifikacyjnej kawalerii Królestwa Węgier starego Gassera zastąpił Steyr.

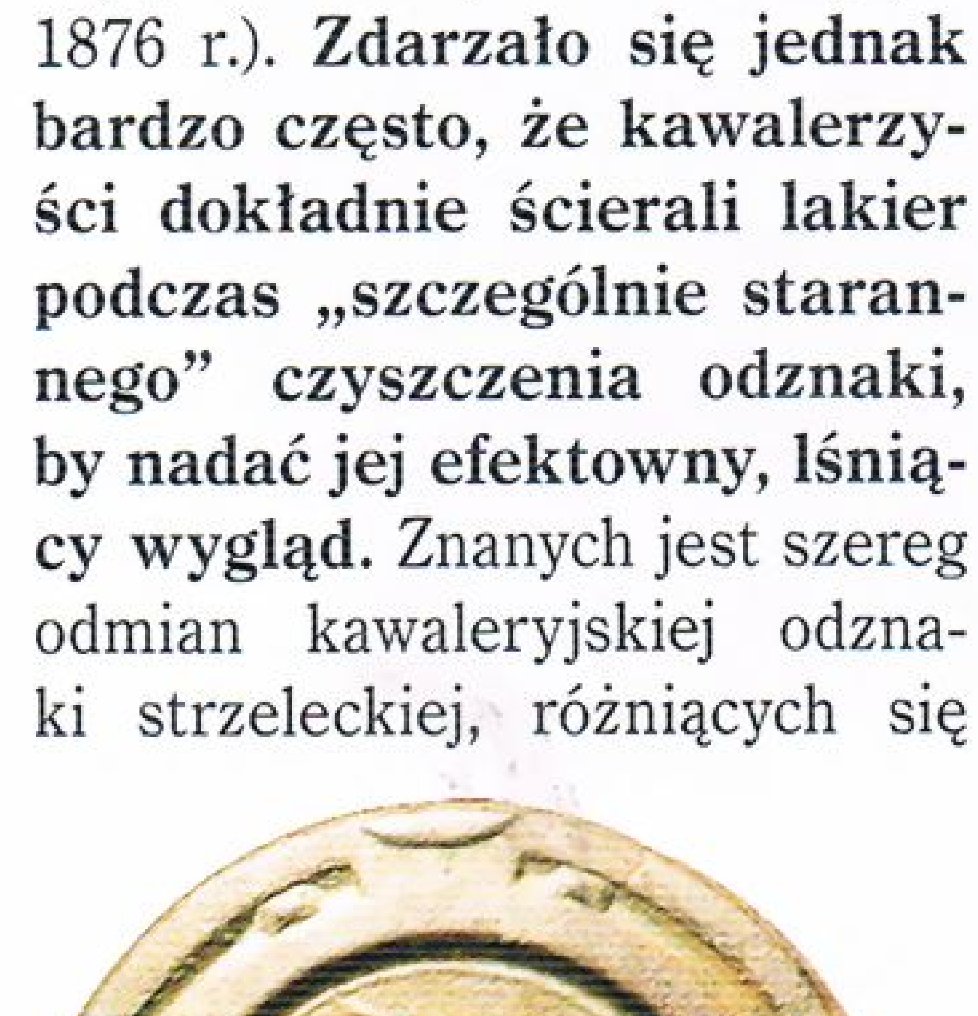

Jeździecka odznaka kwalifikacyjna powstała pierwotnie z myślą o huzarach Honvedu, toteż węgierski kawalerzysta w tradycyjnym uniformie stanowił jej główny motyw. Odznaki wykonywano z mosiądzu, lecz znane są także egzemplarze ze srebrzystoszarego stopu o dużej zawartości cynku.

Dla dobrych strzelców

Rozwój techniki strzeleckiej oraz zwiększenie celności broni spowodował, że podobnie jak w przypadku strzeleckich sznurów, także odznaka kawaleryjska uzyskała wyższy stopień. Wersja dla bardzo dobrych strzelców – *Scharfschützenauszeichnung für die Kavallerie* – wprowadzona została w roku 1907 dla konnicy Armii Wspólnej, a nieco później (1910) dla jazdy Landwehry i Honvedu. Odznaka wyższego stopnia różniła się od podstawowej kształtem (miała formę eliptyczną, 38 x 48 mm) >>>

>>> oraz reliefem – wzdłuż krawędzi odznaki umieszczono wieniec z liści dębowych, tradycyjnego symbolu wojennej chwały. Także w przypadku tego emblematu powstały różne jego wersje, od ściśle regulaminowej do egzemplarzy prywatnie zamawianych, pozłacanych i polerowanych. Wybuch Wielkiej Wojny przerwał nadawanie, ale nie noszenie odznak strzeleckich, na co wskazują źródła ikonograficzne „z epoki".

Dla najlepszych jeźdźców

Inną nagrodą za uzyskanie wysokich kwalifikacji dla żołnierzy konnicy Monarchii Naddunajskiej stała się *Reiterauszeichnung für die Kavallerie* – odznaka jeździecka. W roku 1883 ustanowione zostało wyróżnienie dla najlepszych jeźdźców w oddziałach huzarów Honvedu. Odznaka o średnicy ok. 45 mm przedstawiała postać huzara z dobytą szablą, siedzącego na wspiętym koniu. Wizerunek otaczała stylizowana podkowa. Dopiero po blisko ćwierćwieczu, w roku 1906, analogicznej odznaki doczekały się pozostałe oddziały jazdy. Odmiana ogólnokawaleryjska o średnicy 45 mm wyobrażała postać walczącego ze smokiem świętego Jerzego, patrona rycerstwa i konnicy. Zamiast „podkowopodobnego" ornamentu sylwetkę świętego otaczał wieniec w połowie laurowy, w połowie dębowy, symbolizujący sławę i chwałę. **Wyróżnienie dla najlepszych jeźdźców przysługiwało kawalerzystom, którzy w stopniu ponadprzeciętnym opanowali arkana hippiki,** potrafili ujeżdżać i układać „remonty" (konie nabywane przez armię od cywilnych właścicieli), ale także celowali w służbie kurierskiej i zwiadzie konnym. Zazwyczaj tacy właśnie żołnierze awansowali do stopni podoficerskich, jeśli ich kwalifikacje jeździeckie szły w parze z cechami przywódczymi i znajomością regulaminów. Niejednokrotnie zdarzało się, że kawalerzyści uzyskiwali obydwie dostępne w ich broni odznaki kwalifikacyjne – zarówno strzelecką, jak i jeździecką. Noszono je wówczas obok siebie.

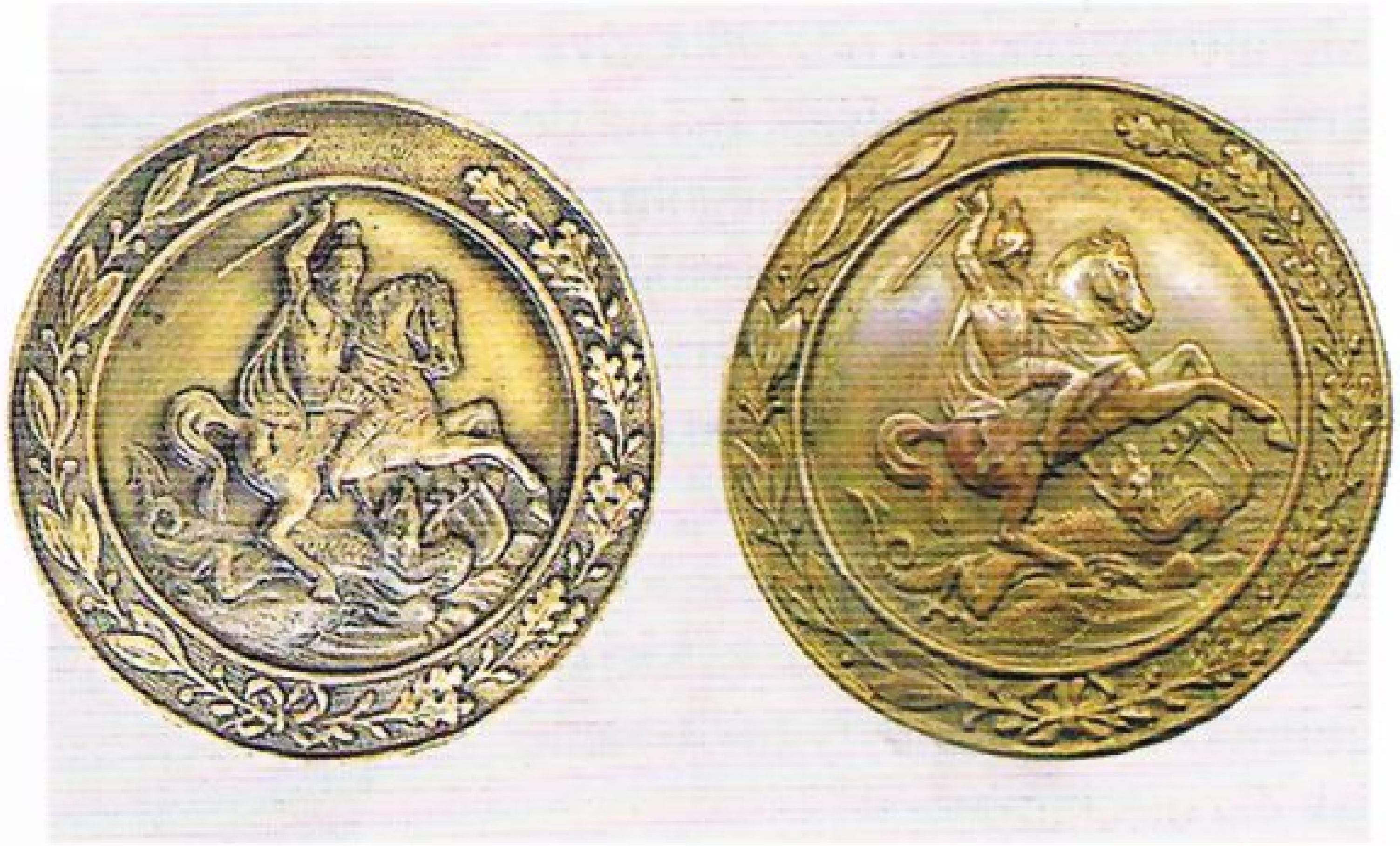

Projekt i egzemplarz odznaki za kwalifikacje jeździeckie w wersji ogólnokawaleryjskiej – madziarskiego huzara zastąpiła postać walczącego ze smokiem świętego Jerzego. Patron rycerzy – wbrew ogólnie przyjętej ikonografii – uzbrojony jest w miecz zamiast broni drzewcowej: włóczni czy kopii.

DER LETZTE
HURRA!

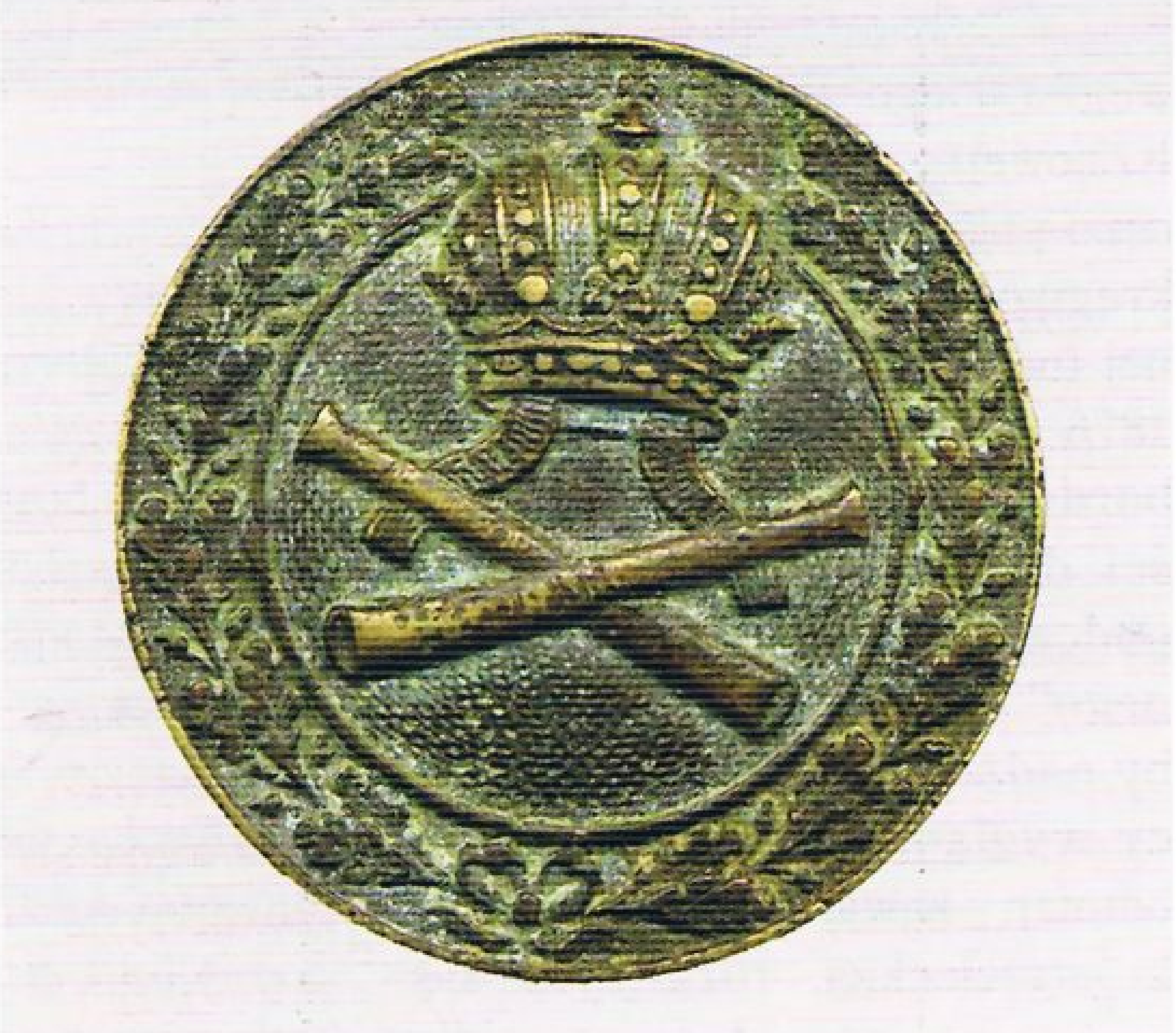

Odznaka kwalifikacyjna celowniczego artylerii ozdobiona była symbolem „boga wojny" – lufami armatnimi. W wersji podstawowej wieńczyła je austriacka korona cesarska. Odmiana dla artylerii Honvedu zamiast niej miała wizerunek węgierskiej korony królewskiej. Niektórzy z widocznych na zdjęciu z 1913 roku podoficerów artylerii mają na mundurach oprócz odznak kwalifikacyjnych także *Geschützführerauszeichnung für die Artillerie,* sznury kwalifikacyjne dowódców działonu.

Odznaki dla artylerzystów

Już w roku 1888 własną odznakę kwalifikacyjną otrzymali artylerzyści. *Richtauszeichnung für die Artillerie* była przyznawana wyszkolonym celowniczym. Odznaka o średnicy ok. 45 mm opatrzona była symbolem dwóch skrzyżowanych luf armatnich, zwieńczonych cesarską koroną habsburską. Centralny emblemat otoczony był wieńcem dębowych liści. W roku 1913 wprowadzono do użytku węgierską odmianę odznaki, przeznaczoną dla celowniczych w oddziałach artylerii Honvedu. Różniła się ona od wersji podstawowej zastosowaniem odmiennej, węgierskiej korony królewskiej ponad lufami dział. Podobnie jak w przypadku poprzednio opisywanych odznak, także i symbol kwalifikacji celowniczego występował w szeregu odmian, różniących się materiałem i detalami reliefu.

Wykwalifikowani specjaliści wojsk inżynieryjnych, którzy wykazali się znajomością zasad budowy fortyfikacji polowych oraz robót ziemnych i potrafili kierować pracą pododdziału, od roku 1893 mogli otrzymywać *Arbeitsauszeichnung für die Pioniertruppe* – odznakę za umiejętność wykonywania zadań pionierskich. Przy zachowaniu ogólnie przyjętej formy, centralny motyw odznaki stanowiły symbole wojsk inżynieryjnych, narzędzia niezbędne przy pracach ziemnych: kilof i dwie skrzyżowane łopaty. W roku 1906 nastąpiła zmiana nazwy wyróżnienia, od tej pory znanego jako *Sappeurauszeichnung.* Kilka lat później (1910) rozszerzono także pra-

fot. archiwum autora

wo jej posiadania na żołnierzy pododdziałów inżynieryjnych w piechocie i kawalerii. Wymagane do otrzymania odznaki kwalifikacje obejmowały także umiejętności pirotechniczne. Odznaka saperska teoretycznie powinna być w centralnej części pokryta czarnym lub czerwonym (saperzy Honvedu) lakierem, lecz podobnie jak w przypadku innych broni często przedkładano fason nad przepisy i emblemat polerowano aż do złocistego połysku.

Odznaki dla cieśli i łącznościowców

Równolegle (1906) zatwierdzona została *Zimmermannauszeichnung*, czyli odznaka za umiejętności ciesielskie. Sztuka obróbki drewna, podstawowego i powszechnie dostępnego budulca przy tworzeniu zarówno polowych fortyfikacji, jak i mostów, kładek czy promów, uznana została za cenną kwalifikację, godną nagradzania odrębną odznaką. Przysługiwała ona żołnierzom rożnych rodzajów broni, którzy zdali egzamin z wymaganych umiejętności rzemieślniczych w zakresie wykorzystania narzędzi ciesielskich oraz budowy konstrukcji drewnianych. Narzędzia ciesielskie stały się też zasadniczym emblematem nowej odznaki o średnicy ok. 45 mm. Na gładkim, pozbawionym promienistego reliefu tle umieszczono wizerunek skrzyżowanych: piły, siekiery i topora.

Rozwój nowoczesnych środków łączności sprawił, że z początkiem XX wieku doceniono potrzebę szkolenia i wyróżnienia wykwalifikowanych specjalistów, potrafiących obsługiwać telegraf i telefon, wykorzystywany jako narzędzie do błyskawicznego przekazywania informacji na polu walki. Zarówno obsługa sprzętu, jak i budowa oraz konserwacja linii telegraficznych czy telefonicznych wymagały znajomości podstaw elektrotechniki, a była to wówczas stosunkowo nowa dziedzina wiedzy. Ponadto od łącznościowców wymagano znajomości alfabetu sygnałowego Morse'a. *Telegraphistenauszeichnung* (odznaka kwalifikacyjna telegrafistów, w praktyce także telefonistów) przyznawana była żołnierzom, którzy złożyli stosowne egzaminy i posiedli praktyczne umiejętności w zakresie służby łącznościowej. Poza specjalistami służącymi w *Telegraphenregiment* (pułku telegraficznym, właściwiej łącznościowym), odznakę mogli uzyskać także żołnierze pododdziałów łączności piechoty i kawalerii. Głównym emblematem odznaki łącznościowców był poziomo ułożony pęk iskier pod koroną cesarską (w Armii Wspólnej oraz austriackiej Obronie Krajowej) lub królewską węgierską (w Honvedzie).

Pozostałe odznaki kwalifikacyjne zaprezentowane zostaną w kolejnej części opracowania. <

Piotr Galik
historyk, pisarz, erudyta. Długoletni współpracownik i przyjaciel „Odkrywcy", konsultant z dziedziny wojskowości, chociaż jego ogromna wiedza obejmuje wiele innych dziedzin z zakresu historii. Kolekcjoner-falerysta

LITERATURA

DMITRIJ ADAMENKO, OLEG JAROSZ **Imperatorskij i korolewskij wojennyj mundir 1914**
Kijów 2006

M. JUDEX **Uniformen und Abzeichen der oesterr. – ungar. Wehrmacht**
Opawa 1904

PETER JUNG, DARKO PAVLOVIĆ **The Austro-Hungarian Forces in World War I, vol. 1-2**
Oxford 2003

Pod Cisařskym Praporem. Historie Habsburske Armady 1526 – 1918
Praga 2003

PRZEMYSŁAW JASKÓŁOWSKI **Austriacko-węgierska artyleria forteczna w przededniu wybuchu I wojny światowej**
Kraków 2004

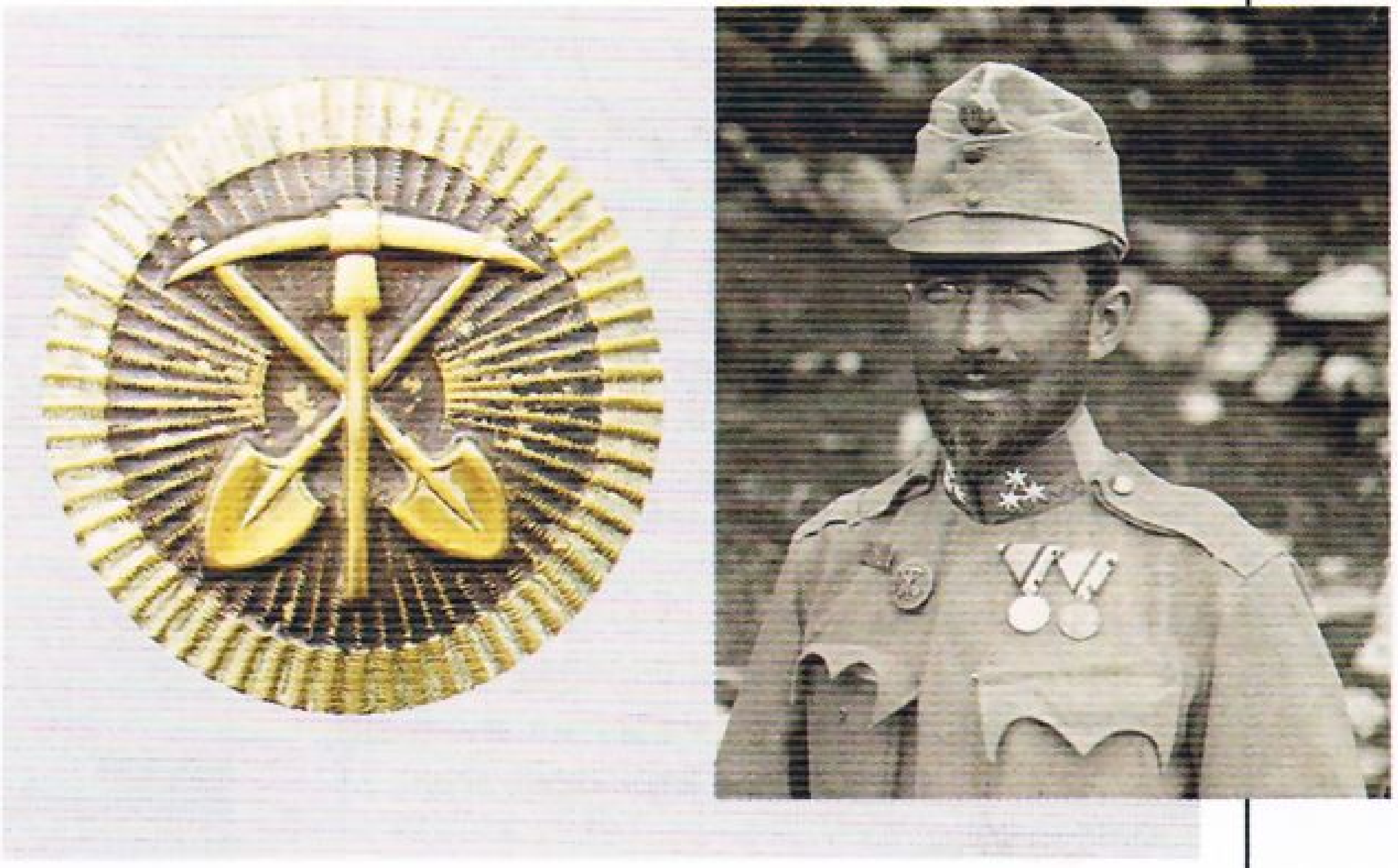

Przysługująca wykwalifikowanym żołnierzom oddziałów inżynieryjnych *Sappeurauszeichnung* z widocznymi resztkami przepisowego czernienia jej centralnej części oraz rewers z blaszanym językiem mocującym. Znane są nietypowe egzemplarze odznaki z gładką, niekarbowaną krawędzią. Widoczny na wojennej fotografii sierżant, odznaczony dwukrotnie za waleczność, zachował na mundurze przedwojenną odznakę kwalifikacyjną dla saperów lub pionierów.

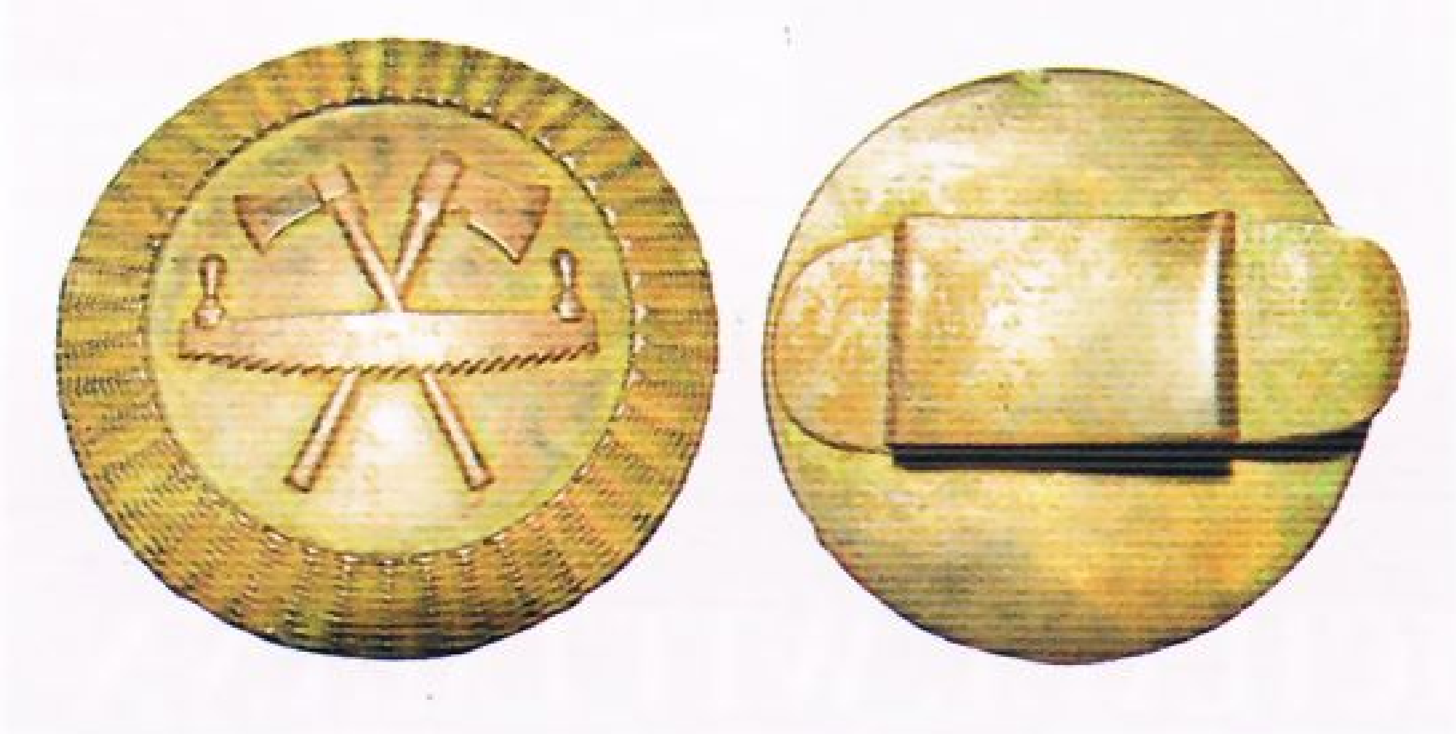

Zimmermannauszeichnung – projekt, awers i rewers odznaki kwalifikacyjnej dla cieśli wojskowych.

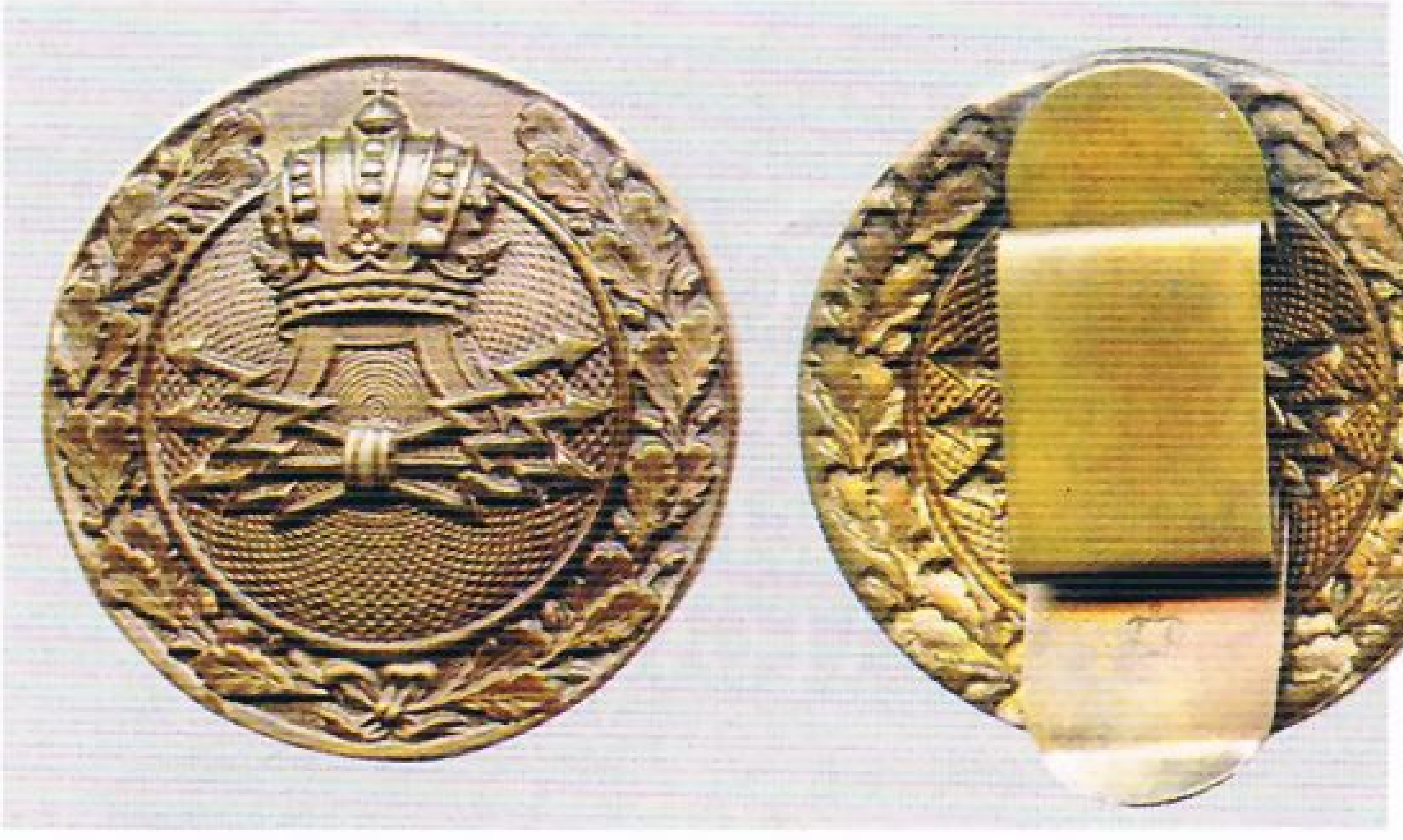

Odznaka kwalifikacyjna dla łącznościowców w wersji podstawowej, awers wskazuje nietypową metodę produkcji. Egzemplarz ten został wytłoczony z cienkiej blachy w technice wklęsłowypukłej (widoczny jest „negatyw" reliefu awersu). Kapral pododdziału łączności z widocznymi oznakami służbowymi na kołnierzu i *Telegraphistenauszeichnung* na prawej piersi.

ODKRYWCA®
SKARBY • WOJNA • HISTORIA

W KOLEJNYM NUMERZE M.IN.:

ZANTYR – ODKRYCIE NAJSTARSZEJ SIEDZIBY ZAKONU KRZYŻACKIEGO

„To, co odnaleźliśmy, pozwala nam stwierdzić, że pierwsza z tajemnic – jego lokalizacja – została rozwiązana".

ROGÓW OPOLSKI, CZYLI GÓRNOŚLĄSCY TEMPLARIUSZE I JOANICI

„Górny Śląsk? Kraina kopalni i hut? Rycerze zakonni? To jakoś do siebie nie pasuje. Tylko na pozór...".

TWIERDZA MODLIN ZNÓW ZADZIWIA CZ. 2 CMENTARZYSKO STATKÓW

„Około 6 statków widać na sonogramach. Jednostki mają różne rozmiary, różne kształty, a najlepiej widoczny ma długość 17 metrów"

DOSTĘPNY JUŻ 1 GRUDNIA!

NIEDOSZŁA EKSTRADYCJA

Międzynarodowe perypetie „Dziewczyny z gołębiem" – obrazu skradzionego w 1945 z... MRU.

TAJEMNICE PUSZCZY ZGORZELECKIEJ.

"Pomiędzy fortyfikacjami polowymi lokalizujemy mogiły poległych żołnierzy, odnajdujemy szczątki broni, wyposażenie i niewypały".

ŚLEDZTWO W SPRAWIE SZCZELINY JELENIOGÓRSKIEJ CZ. 3

Jedna z największych tajemnic skarbowych ostatnich dekad bliska jest rozwiązania. Czy będzie zaskakujące?

Redakcja zastrzega sobie prawo do zmian

REKLAMA

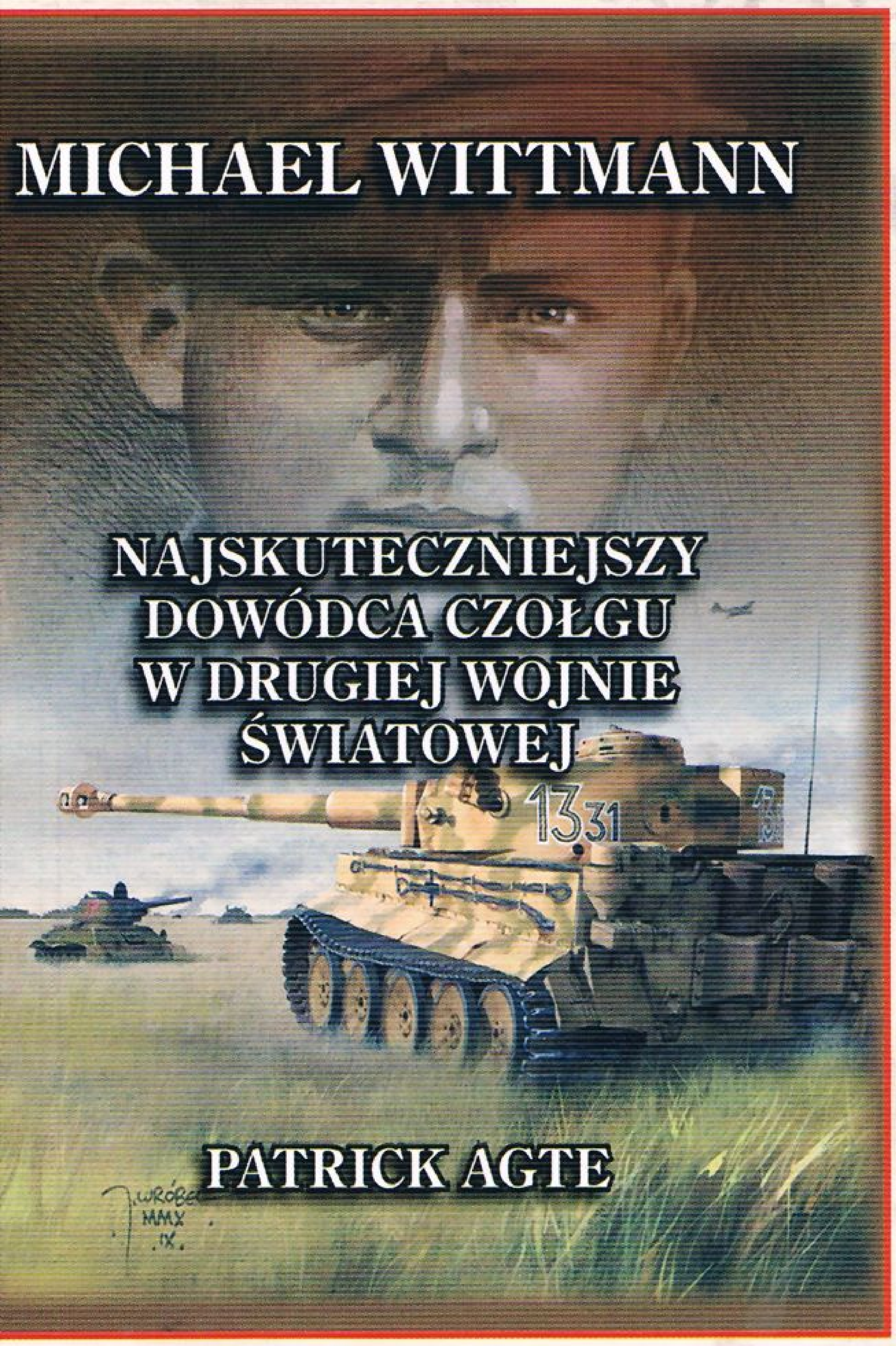
MICHAEL WITTMANN
NAJSKUTECZNIEJSZY DOWÓDCA CZOŁGU W DRUGIEJ WOJNIE ŚWIATOWEJ
PATRICK AGTE
1331
J. WRÓBEL MMX IX.

PATRICK AGTE,
MICHAEL WITTMANN,
najskuteczniejszy dowódca czołgu
w drugiej wojnie światowej, t. 1

MICHAEL WITTMANN (1914–1944) Najskuteczniejszy dowódca czołgu II wojny światowej. Na froncie wschodnim wziął udzia w największej bitwie pancernej w historii – bitwie pod Kurskiem a także w bitwie o Charków i w walkach o wydostanie się z kotła pod Czerkasami. Zniszczył 117 czołgów rosyjskich, w tym znaczną ilość słynnych T-34. Na Zachodzie walczył w Normandii, odnosząc dalsze sukcesy. Znalazł śmierć na polach Normandi we wnętrzu swojego czołgu.

MICHAEL WITTMANN – legendarna postać, o której napisano setk artykułów i książek, a na kanwie jego wyczynów stworzono gr komputerowe bijące rekordy popularności. Patrick Agte próbuj wyjaśnić jego fenomen. Ale przedstawia nam także innych bohateró słynnej kompanii Tygrysów elitarnej jednostki – Dywizji Lieberstandart SS Adolf Hitler – i ich niewiarygodne wyczyny. Tom pierwszy obejmuj okres kampanii wschodniej.

sprzedaż w sieci empik

empik to ciekawe!
książka z plusem
konflikty.pl portal historyczno - militarny
II WOJNA ŚWIATOWA
ODKRYWCA SKARBY • WOJNA • HISTORI
MILITARIA

odk księgarnia odkrywcy

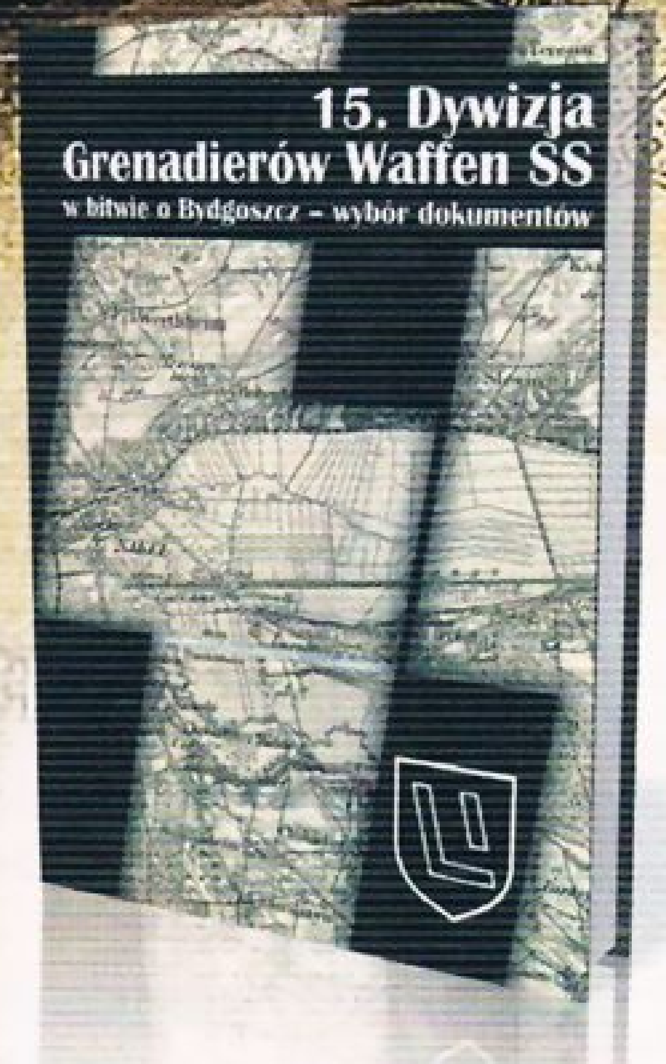

„15. Dywizja Grenadierów Waffen SS w bitwie o Bydgoszcz", oprac. Ł.M. Nadolski, opr. miękka, str. 148, wyd. Muzeum Wojsk Lądowych. Cena: 21 zł.

Prezentowana publikacja podejmuje temat udziału łotewskiej 15. Dywizji Grenadierów Waffen SS w bitwie o Bydgoszcz. Wspomniana jednostka walczyła w rejonie Nakła. Muzeum Wojsk Lądowych w Bydgoszczy zdecydowało się na publikację wyboru dokumentów dotyczących jej walk w bitwie o Bydgoszcz, opatrzonych komentarzem historycznym. Publikacja składa się z dwóch części. W pierwszej zostały zaprezentowane krótka historia dywizji oraz opis jej walk w styczniu 1945 roku. Część druga umożliwia zapoznanie się z dokumentami dywizji dotyczącymi udziału Łotyszy w bitwie o Bydgoszcz.

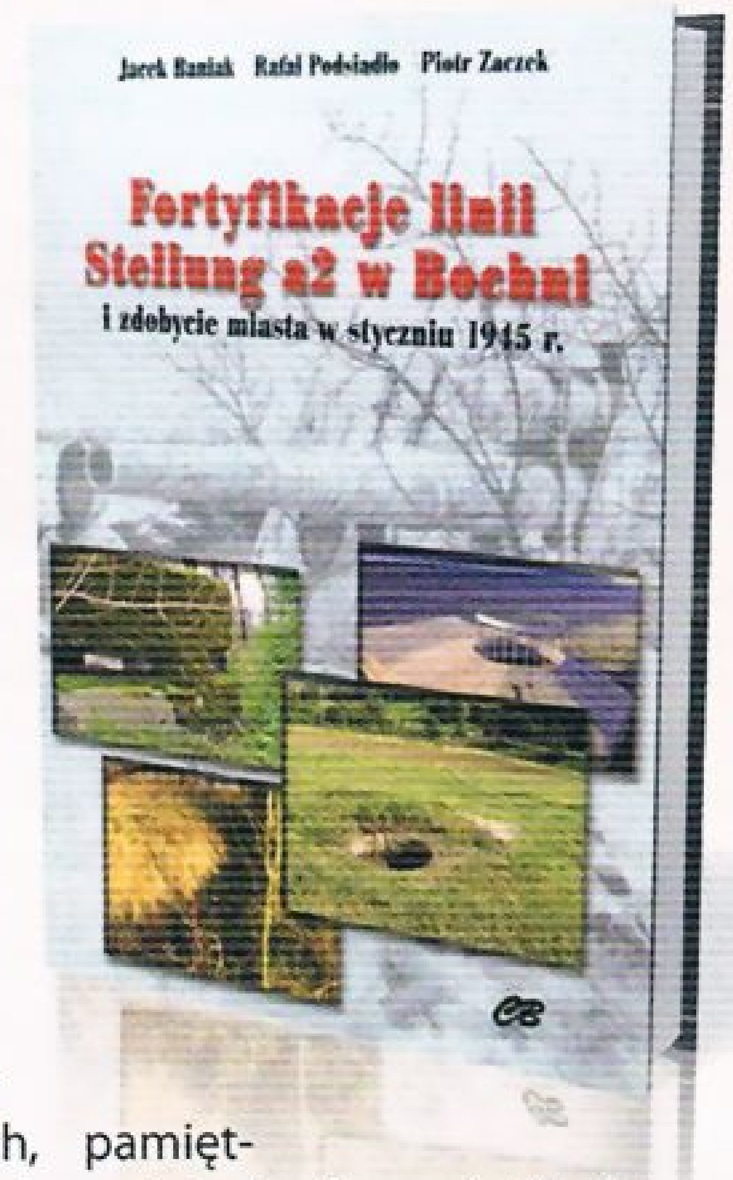
Jacek Baniak Rafał Podsiadło Piotr Zaczek
Fortyfikacje linii Stellung a2 w Bochni
i zdobycie miasta w styczniu 1945 r.

Jacek Baniak, Rafał Podsiadło, Piotr Zaczek „Fortyfikacje linii Stellung a2 w Bochni i zdobycie miasta w styczniu 1945", opr. miękka, str. 214, wyd. Agencja Wydawnicza CB. Cena: 29,40 zł.

Linia Stellung a2 była jedną z kilku linii umocnień wybudowanych przez Niemców na terenie okupowanej Polski. Autorzy podjęli próbę pokazania tego, co wydarzyło się w czasie budowy fortyfikacji i w trakcie przejścia frontu. Ukazali skutki działań wojennych i losy pozostawionego na placu boju uzbrojenia. Obraz tamtych dni odtworzono na podstawie wspomnień, dokumentów archiwalnych, pamiętników oraz czasopism wychodzących w latach okupacji. Osobny rozdział poświęcony jest miejscom pochówku żołnierzy niemieckich i Armii Czerwonej. Uzupełnieniem tekstu są 154 zdjęcia dokumentalne, 15 rysunków oraz 21 map i szkiców sytuacyjnych. Na dołączonej do książki płycie CD umieszczono ponad 190 kolorowych zdjęć obiektów fortyfikacyjnych oraz zdjęć dokumentalnych, a także rysunków i szkiców.

Paweł Jeżewski
NAZISTOWSKIE TAJEMNICE LUDWIKOWIC KŁODZKICH
1939-1945
Kompleks Gontowa – „Riese"
Fabryka amunicji – Dynamit Nobel AG

Paweł Jeżewski „Nazistowskie tajemnice Ludwikowic Kłodzkich 1939-1945", opr. miękka, str. 183, wyd. Mróz Media. Cena: 39,90 zł.

Podtytuł książki: „Kompleks Gontowa – RIESE. Fabryka amunicji – Dynamit Nobel AG". Autor prezentuje najmniej poznany dotąd fragment projektu Riese – kompleks budowlany Gontowa. Wzniesiono tam obiekty na potrzeby administracji, nadzoru, zaopatrzenia, obóz dla więźniów oraz stacje załadunkowe dla szynowych pochylni transportowych. Ponieważ w dotychczasowych opracowaniach na temat Gontowej jest wiele błędów, Paweł Jeżewski stara się je wszystkie sprostować. Podstawą są wieloletnie eksploracje tego terenu oraz niemiecka literatura przedmiotu. W drugiej części publikacji przedstawiona została fabryka amunicji w Miłkowie.

Hubert Breza
Kajetan Szczepański
Centralna Szkoła Podoficerska
Korpusu Ochrony Pogranicza

Hubert Breza, Kajetan Szczepański „Centralna Szkoła Podoficerska Korpusu Ochrony Pogranicza", opr. miękka, str. 206, wyd. Tow. Przyjaciół 9 PSK w Grajewie. Cena: 27,90 zł.

Publikacja przedstawia historię 11 lat istnienia Korpusu Ochrony Pogranicza w murach Twierdzy Osowiec, proces szkolenia podoficerów w KOP, jego korzenie i wypracowane wzorce. Utworzony w 1926 r. Batalion Szkolny do szkolenia podoficerów zawodowych i niezawodowych, został przemianowany w 1930 r. na Centralną Szkołę Podoficerską KOP. Szkoła ulokowana była na forcie II i III Twierdzy Osowiec, szkoliła podoficerów różnych specjalności w zależności od potrzeb KOP. W 1939 r. zdawała Wrześniowy egzamin jako 135 pp.

W aneksach znalazło się miejsce dla wspomnień żołnierzy CSP KOP, Wrześniowej obsady personalnej, listy zamordowanych i poległych podoficerów KOP oraz kilka biogramów.

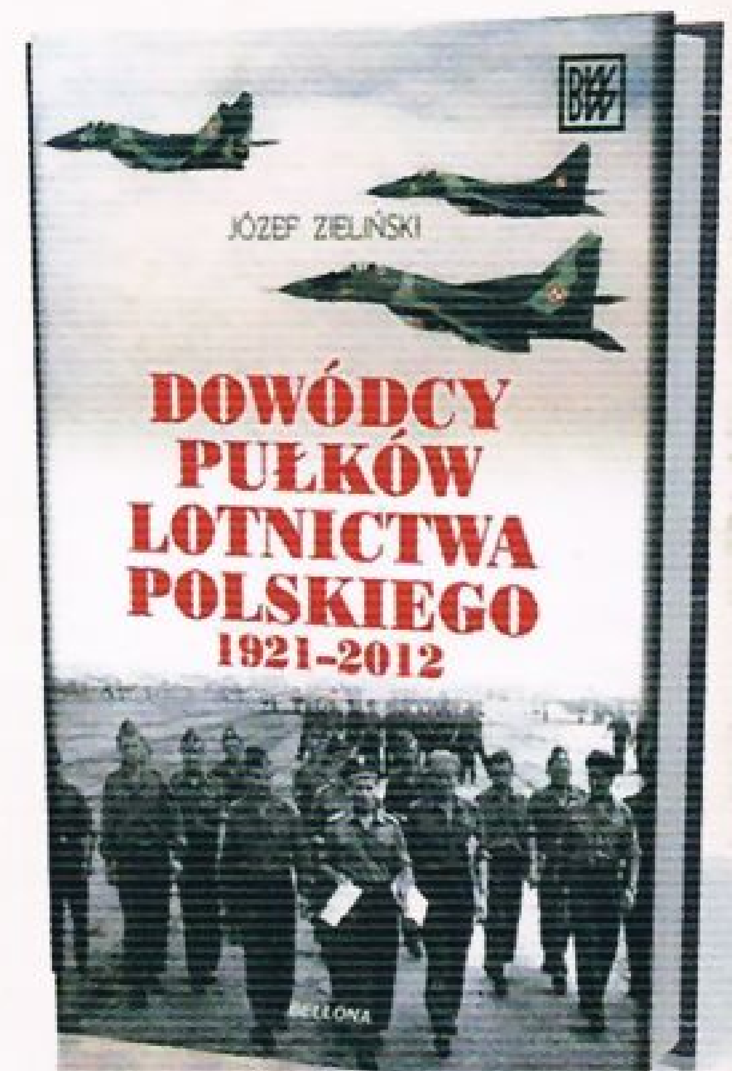

Józef Zieliński „Dowódcy pułków lotnictwa polskiego 1921-2012", opr. twarda, str. 420, wyd. Bellona. Cena: 43,90 zł.

W opracowaniu autor przedstawia sylwetki 430 oficerów, którzy piastowali stanowiska dowódców pułków lotniczych w okresie od zakończenia walki o granice odrodzonej Polski aż do momentu rozformowania wszystkich pułków polskiego lotnictwa wojskowego. Prezentowane biogramy zostały przygotowane głównie na podstawie specjalnej ankiety, którą autor wysłał do żyjących dowódców oraz rodzin tych, którzy odeszli. Zebrane informacje były autoryzowane. Autor korzystał też z materiałów znajdujących się w Centralnym Archiwum Wojskowym w Rembertowie, Archiwum Wojskowym w Toruniu i Archiwum Wojskowym w Oleśnicy. Uzupełnieniem są liczne zdjęcia portretowe i sytuacyjne.

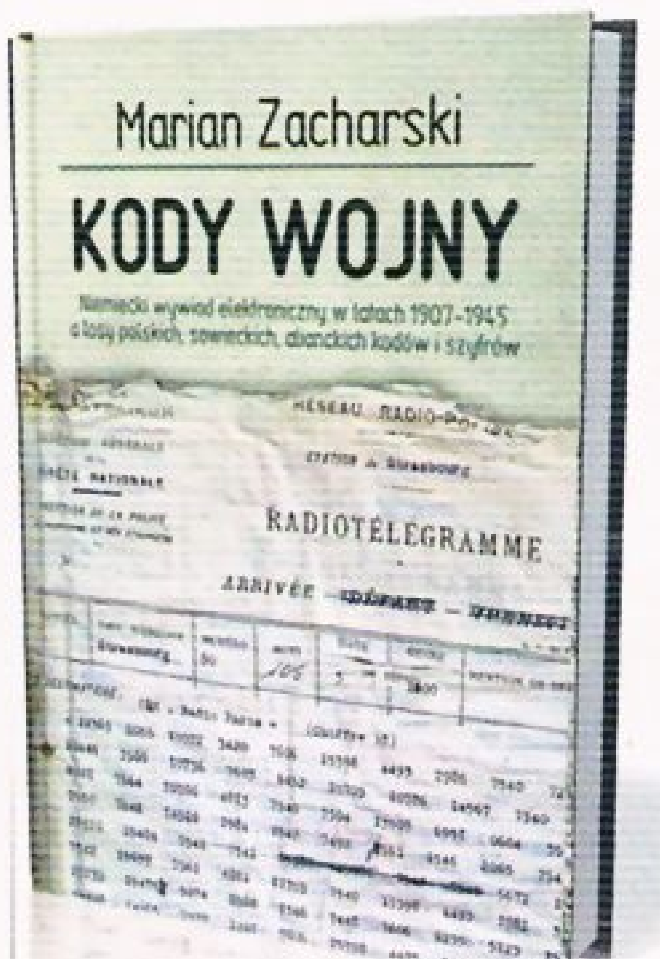

Marian Zacharski „Kody wojny", opr. twarda, str. 1080, wyd. nakładem autora. Cena: 69 zł.

Kolejna książka Mariana Zacharskiego na temat historii walk wywiadów. Tym razem autor dzięki dostępowi do unikalnych materiałów archiwalnych opisuje dzieje wywiadu elektronicznego Niemiec w latach 1907-1945. Autor otwiera przed czytelnikami szczelnie dotąd zamknięte wrota wiodące do poznania prawdziwych losów kodów i szyfrów, które miały gwarantować tajność korespondencji najważniejszych organów państwowych Polski, Japonii, sowieckiej Rosji, USA czy Anglii. Szczególnie cenna jest oryginalna dokumentacja dotycząca działań polskiego wywiadu w okresie II wojny światowej, między innymi wyłowiona z jeziora Schliersee. Niemcy, rozpracowując polskie kody i szyfry, czytali treść tajnych depesz. Wiele z nich, szczególnie te z ogarniętej powstaniem Warszawy, było dramatycznych i pełnych bezsilności w swej wymowie.

Znajdź nas na
www.odk.pl

Przyjdź
na ul. Narutowicza 46 w Łodzi

Odkryj z nami historię na now

odk księgarnia odkrywcy

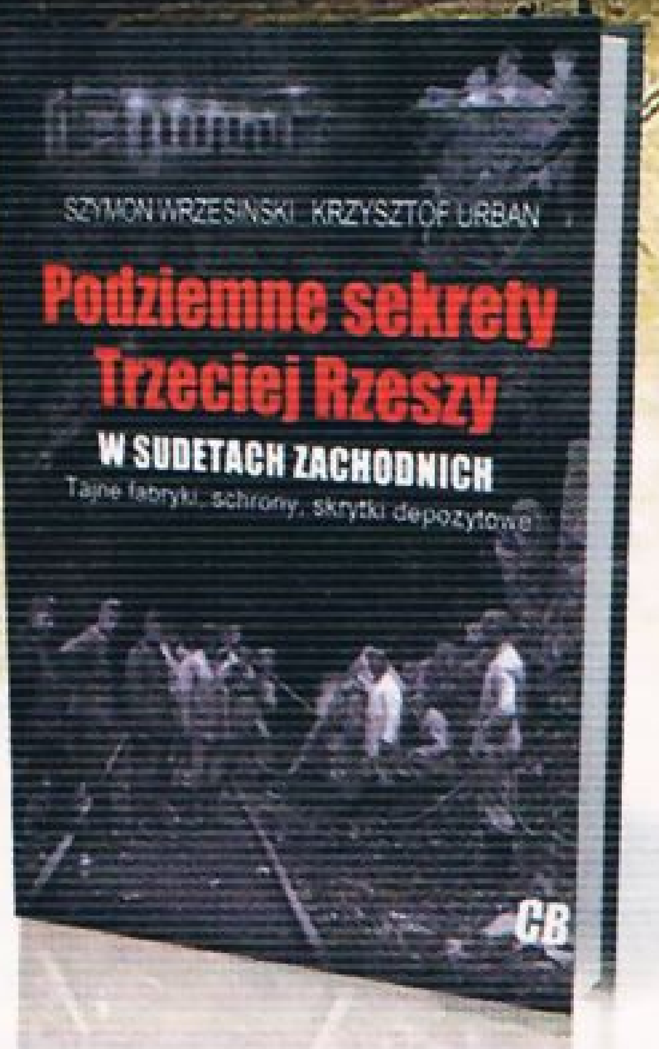
SZYMON WRZESIŃSKI . KRZYSZTOF URBAN
Podziemne sekrety Trzeciej Rzeszy
W SUDETACH ZACHODNICH
Tajne fabryki, schrony, skrytki depozytowe
CB

Szymon Wrzesiński, Krzysztof Urban „Podziemne sekrety Trzeciej Rzeszy w Sudetach Zachodnich", opr. miękka, str. 207, wyd. Agencja Wydawnicza CB. Cena: 29,40 zł.

W książce opisane zostały tajemnicze obiekty z okresu II wojny światowej wybudowane lub zaadaptowane z naturalnych jaskiń do różnych celów. Niektóre nie zostały ukończone, lecz mimo to stały się elementem lokalnych legend. Przedstawione budowle, wykonane dzięki sile roboczej więźniów filii obozu koncentracyjnego Gross-Rosen, czasem miały zostać: schronami przeciwlotniczymi, magazynami tajnych zakładów zbrojeniowych lub podziemnymi fabrykami. W niektórych obiektach Niemcy pod koniec wojny ukryli np. dzieła sztuki. Cennym uzupełnieniem tekstów jest 170 unikatowych, w znacznej części niepublikowanych zdjęć i dokumentów technicznych.

ARNO GIESE
UFF, NIE SPALIŁEM KOPENHAGI

Arno Giese „Uff, nie spaliłem Kopenhagi", opr. miękka, str. 112, wyd. Postindustrial Design House. Cena: 38,90 zł.

Bohater tej książki, Bogdan Likus, był swego czasu jednym z najzdolniejszych i wyróżniających się pilotów w Siłach Zbrojnych Wojsk Lotniczych PRL. Był jednym z najmłodszych uczestników szkolenia w 1978 roku w Lidzie na Białorusi, podczas którego polscy piloci byli przygotowywani do zrzucenia „specawiabomby" – „specAB" – tak Rosjanie nazywali bombę atomową. Tam też dowiedział się o swoim przyszłym zadaniu w wojnie między Układem Warszawskim a państwami paktu NATO – miał zrzucić bombę atomową na Kopenhagę i Lubekę. Wielokrotnie ćwiczył samolotami odrzutowymi loty na wysokości około 100 metrów. Mimo 69 lat nadal jest czynnym pilotem cywilnym. W niniejszej książce opowiada o swoich życiowych doświadczeniach.

Jacek M. Kowalski, Robert J. Kudelski, Robert Sulik „Lista Grundmanna", opr. twarda, str. 608, Wydawnictwo Melanż. Cena: 69,99 zł.

KOWALSKI KUDELSKI SULIK
Lista Grundmanna
Tajemnice skarbów Dolnego Śląska

Prezentowana książka szczegółowo relacjonuje akcję zabezpieczenia dzieł sztuki na Dolnym Śląsku pod koniec II wojny światowej. Dzięki unikatowym dokumentom odnalezionym w niemieckich archiwach, autorom udało się opisać jej przebieg i kulisy tworzenia ponad 100 składnic, w których przechowywano bezcenne skarby kultury. Bezpieczne schronienie zapewniły im dolnośląskie pałace, zamki i kościoły, a opiekę nad nimi sprawował profesor Günther Grundmann, regionalny konserwator zabytków, który do dziś uchodzi za postać kontrowersyjną i zagadkową. Autorzy książki, znawcy wojennych sekretów Dolnego Śląska, wzbogacili swoją pracę o ponad 300 niepowtarzalnych fotografii.

Peter Shelton „Wspinaczka ku zwycięstwu", opr. twarda, str. 286, wyd. Rebis. Cena: 38,90 zł.

PETER SHELTON
WSPINACZKA KU ZWYCIĘSTWU
Nieznana historia elitarnej 10. Dywizji Górskiej Armii Stanów Zjednoczonych
MOUNTAIN

Prezentowana książka przedstawia historię 10. Dywizji Górskiej Armii Stanów Zjednoczonych oraz ludzi, którzy ją tworzyli. Była to jednostka pod każdym względem wyjątkowa – stworzona przez ochotników, ludzi z pasją: sportowców, ratowników górskich, miłośników wspinaczki i jazdy na nartach, studentów. Jako ostatnia amerykańska jednostka trafiła na front w Europie, lecz zapisała tam piękną kartę, tocząc krwawe walki na linii Gotów. Atak na niedostępne według Niemców urwisko, który przełamał ich obronę w Apeninach, był pokazem bohaterstwa, niezwykłych umiejętności alpinistycznych i pomysłowości.

Adam Popiel
WYPADKI ŚMIERTELNE W LOTNICTWIE POLSKIM
1918-1939

Adam Popiel „Wypadki śmiertelne w lotnictwie polskim 1918-1939", opr. miękka, str. 412, wyd. Pandora. Cena: 55,70 zł.

Niniejsza publikacja dokumentuje niemal wszystkie śmiertelne wypadki w polskim lotnictwie w okresie dwudziestolecia międzywojennego. Przy opisie każdego wypadku wymieniono jego datę, miejsce, opisano okoliczności, prawdopodobne przyczyny i personalia pilotów (łącznie ze stopniem wojskowym) oraz pasażerów (jeśli tacy byli), którzy zginęli wskutek danego zdarzenia. Opis niemal każdego wypadku zawiera także zdjęcia en face jego ofiar oraz fotografię zniszczonego samolotu. W niektórych miejscach zamieszczono też pośmiertne zdjęcia ofiar, zdjęcia konduktów pogrzebowych lub notatki prasowe dotyczące danego wypadku.

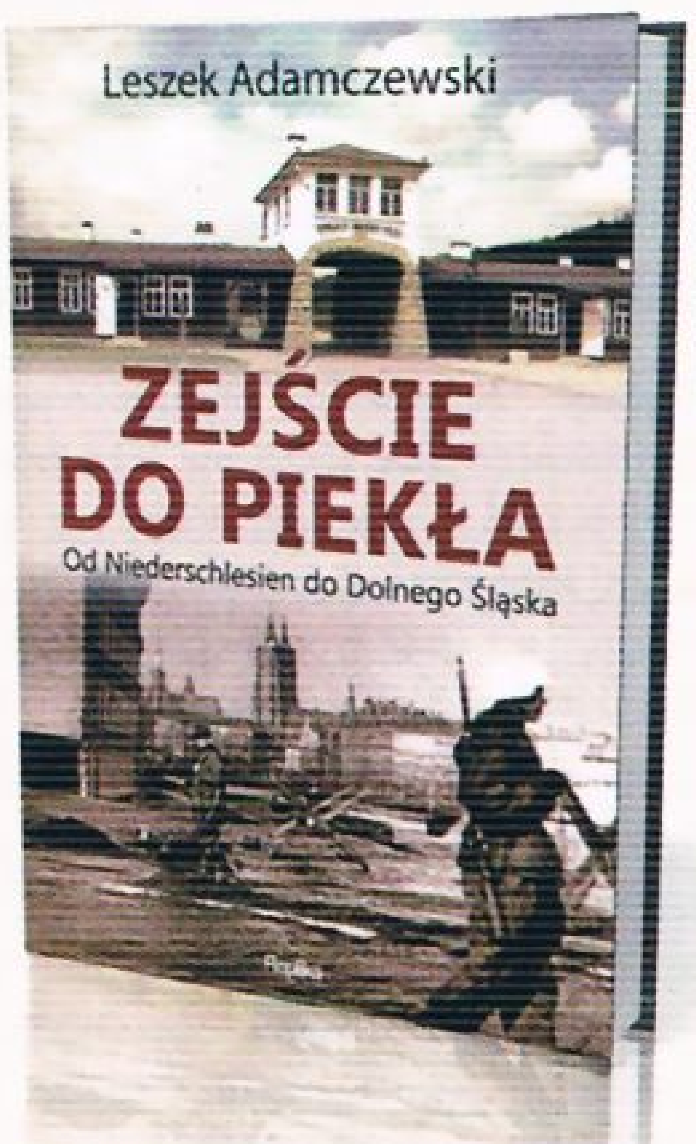

Leszek Adamczewski „Zejście do piekła", opr. miękka, str. 360, wyd. Replika. Cena: 36,30 zł.

Nowa książka Leszka Adamczewskiego to zbiór sensacyjnych oraz nierzadko dramatycznych historii z dziejów Dolnego Śląska w czasach II wojny światowej i pierwszych miesiącach powojennych. Autor prowadzi Czytelnika do Wschowy ogarniętej paniką wskutek zagrożenia atakiem Wojska Polskiego. Jest przewodnikiem po obozie koncentracyjnym Gross-Rosen i niektórych jego filiach, a także po licznych w tej krainie podziemiach oraz terenie budowy kwatery głównej Hitlera. W starych twierdzach Kłodzka i Srebrnej Góry szuka śladów ukrytych skarbów. Opisuje też Jelenią Górę i Legnicę w dniach, gdy te niemieckie od wieków miasta obejmowali nowi gospodarze. Zagląda do hitlerowskiego „żłobka" w Wąsoszu. Przedstawia też niektóre epizody z wojennych losów Wrocławia, ze szczególnym uwzględnieniem jego upadku podczas oblężenia Festung Breslau.

Książki można zamawiać na stronie Księgarni www.odk.pl,
telefonicznie 42 631 10 97, 42 630 71 41
(pon.-pt. godz. 10-18)
lub e-mailem na adres: zamowienia@odk.pl

kolekcja ODKRYWCY

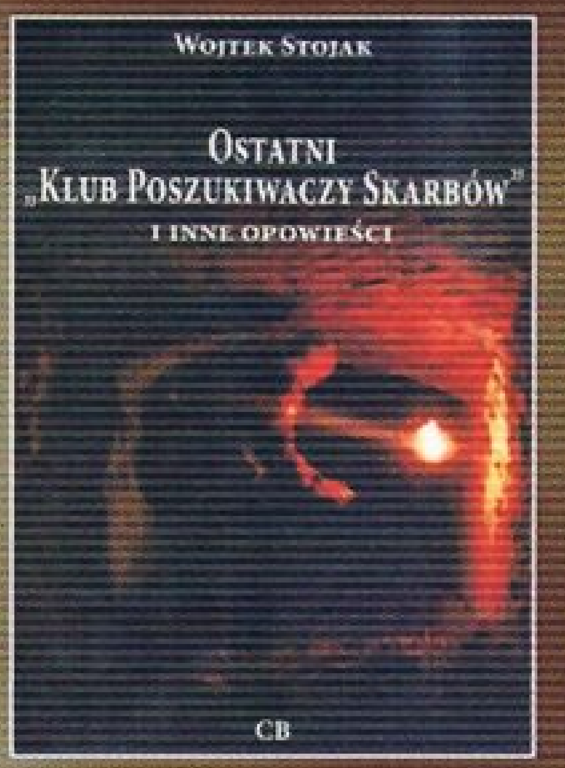

WOJCIECH STOJAK
„OSTATNI »KLUB POSZUKIWACZY SKARBÓW« I INNE OPOWIEŚCI”.
To lektura obowiązkowa dla każdego miłośnika historii. Nie wystarczy jej polecić – bo rekomendować można dobry artykuł lub film. Ją należy przeczytać. Do książki dołączona jest płyta z nagraniem jednego z odcinków „Klubu Poszukiwaczy Skarbów”.

26,-

„VADEMECUM CZYSZCZENIA I KONSERWACJI MONET”
Pierwsza tak wyczerpująca temat pozycja na rynku polskim. Bogato ilustrowana ukazuje wiele praktycznych metod – krok po kroku. Do wykorzystania nawet dla mało doświadczonych kolekcjonerów. Metody prezentowane w książce można także zastosować do wielu innych, delikatnych, starych i zniszczonych wyrobów metalowych w tym, wydobytych z ziemi.

35,50

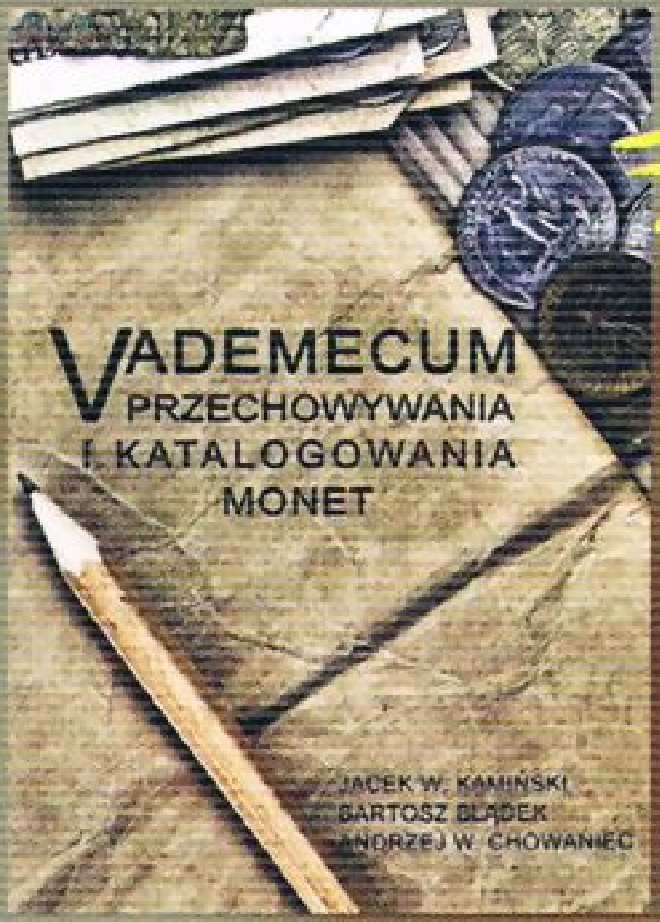

39,50

„VADEMECUM PRZECHOWYWANIA I KATALOGOWANIA MONET”
Kolejna pozycja dla kolekcjonerów monet. W przejrzysty sposób przedstawia wszelkie zalety i wady prezentowanych metod zabezpieczania i katalogowania zbiorów numizmatycznych. Zawiera także porównania dostępnych na rynku katalogów internetowych. Książka jest bogato ilustrowana.

36,-

Niezwykle elegancki pendrive USB o pojemności 4 GB. Czarny, skórzany zatrzask ochrania łącze. Duży, chromowany uchwyt ułatwia przypięcie pendriva do kluczy lub innego przedmiotu. Smycz w komplecie.

6,-

ORYGINALNA SMYCZ „ODKRYWCY”
Długość 47 cm; mocowanie do telefonu komórkowego plus karabińczyk.

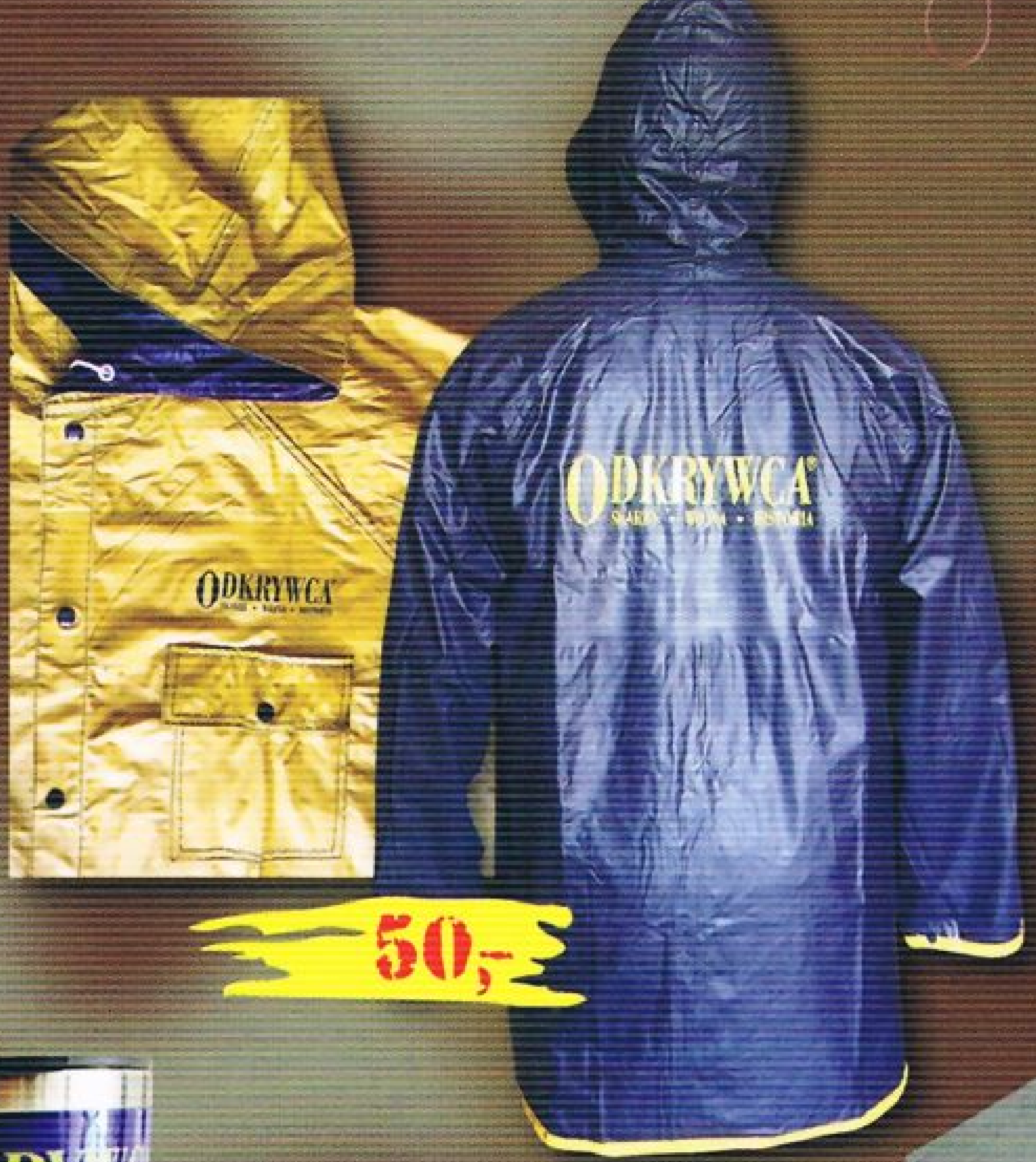

50,-

PŁASZCZ PRZECIWDZESZCZOWY
Z zatrzaskami i kapturem. Dwustronny (możliwość wywrócenia na drugą stronę) żółto/granatowy. Z miękkiej nieprzemakalnej tkaniny gumowej; klejone, płaskie szwy. Napisy w kolorach żółtym i granatowym. Rozmiar XL, XXL

20,-

METALOWY KUBEK
termiczny z uchem. Przykrywka z otworem do picia, środek metalowy. Pojemność 400 ml. Kolory: niebieski i czerwony.

20,-

Koszulki „Odkrywcy” z miękkiej 100% bawełny. Kolor czarny i oliwkowy w rozmiarach: S, L, XL, XXL. Koszulki idealne do wszystkich kamuflaży. Napis „Odkrywca” z przodu i z tyłu.

ferta dostępna, aż do wyczerpania zapasów. Czas realizacji zamówienia do 4 tygodni. Zwrotów nie przyjmujemy.

ZAMÓWIENIE 11/202

Wypełnione zamówienie prosimy przesyłać na adres:
„ODKRYWCA”, ul. Kaszubska 4, 50-214 Wrocław

nazwa artykułu	rozmiar	kolor	cena	ilość	wartość
				razem:	

Płatne przy odbiorze. Koszt przesyłki ponosi zamawiający.

imię i nazwisko

kod pocztowy miejscowość

ulica nr domu

telefon

Wyrażam zgodę na przetwarzanie moich danych osobowych do celów sprzedaży wysyłkowej w Kolekcji „Odkrywcy” zgodnie z Ustawą o ochronie danych osobowych z 29.08.97

podpis zamawiającego

Wyrażam zgodę na wystawieni faktury VAT bez mojego podpis

Uzupełnij swoje archiwum zanim wyczerpie się nakład! Dział prenumeraty: 71 329 71 71

ODKRYWCA
SKARBY • WOJNA • HISTORIA
Praw(n)y problem „Walentyny” czyli jak przeczołgać eksploratora...
www.odkrywca.pl

ODKRYWCA
SKARBY • WOJNA • HISTORIA
Wojenny motyw zabójstwa księdza
w świetle PRL-owskiej cenzury

ODKRYWCA
SKARBY • WOJNA • HISTORIA
Przywróćmy pamięć
OFIAROM.
Zbrodnia w Poppenhausen

ODKRYWCA
SKARBY • WOJNA • HISTORIA
HEIMKEHR
Fałszywa krzywda – skuteczna broń nazistowskiej propagandy

ODKRYWCA
SKARBY • WOJNA • HISTORIA
EXTREMALNE PLORACJE WIELICZKI
NIEZNANE OBLICZE KRÓLESTWA SOLI
www.odkrywca.pl

ODKRYWCA
SKARBY • WOJNA • HISTORIA
Sukces prawniczej batalii Powstańca Warszawskiego
Kolekcja odzyskana!

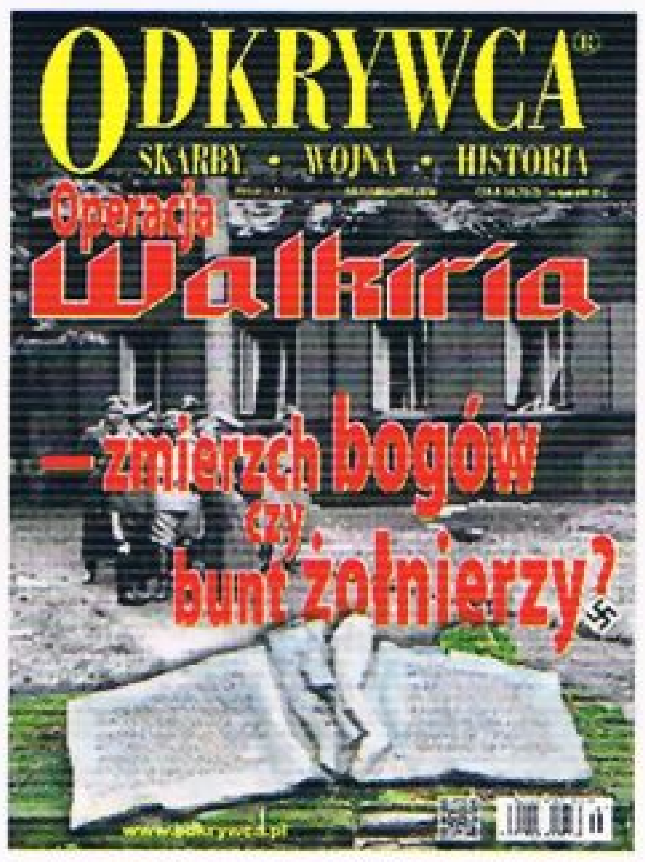
ODKRYWCA
SKARBY • WOJNA • HISTORIA
Operacja Walkiria
– zmierzch bogów czy bunt żołnierzy?
www.odkrywca.pl

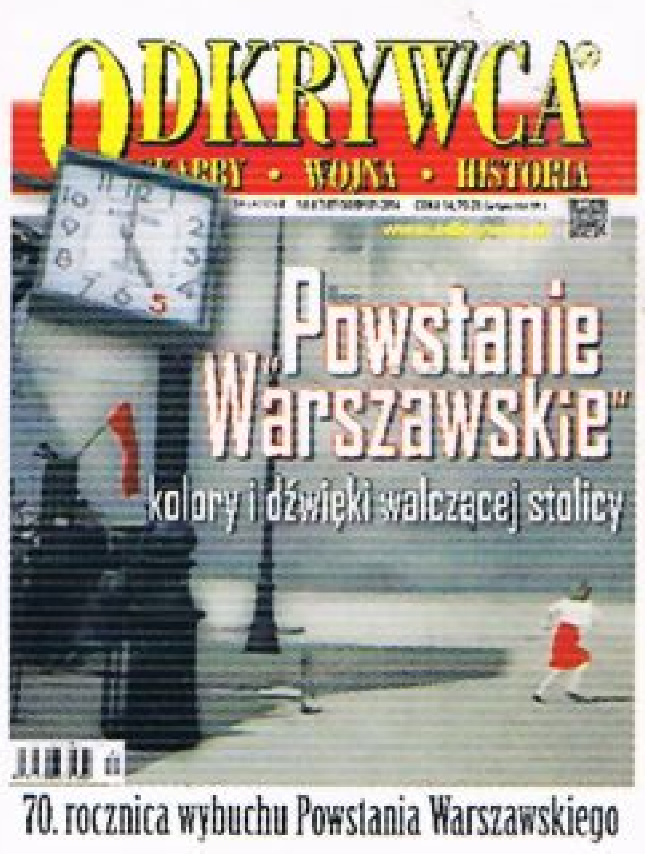
ODKRYWCA
SKARBY • WOJNA • HISTORIA
Powstanie Warszawskie
kolory i dźwięki walczącej stolicy
70. rocznica wybuchu Powstania Warszawskiego

ODKRYWCA
SKARBY • WOJNA • HISTORIA
Na tropach „Salamandry”
– tajemnica
Boberloch
www.odkrywca.pl

ODKRYWCA
SKARBY • WOJNA • HISTORIA
Klasztorne skarby – sekrety zakonów Lubomierza
www.odkrywca.pl

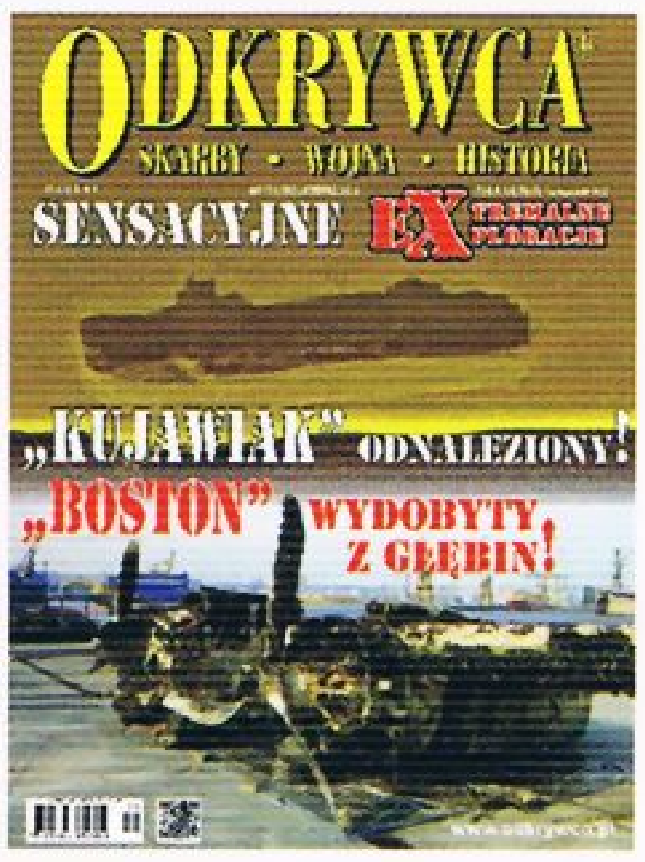
ODKRYWCA
SKARBY • WOJNA • HISTORIA
SENSACYJNE EXTREMALNE PLORACJE
„KUJAWIAK” ODNALEZIONY!
„BOSTON” WYDOBYTY Z GŁĘBIN!

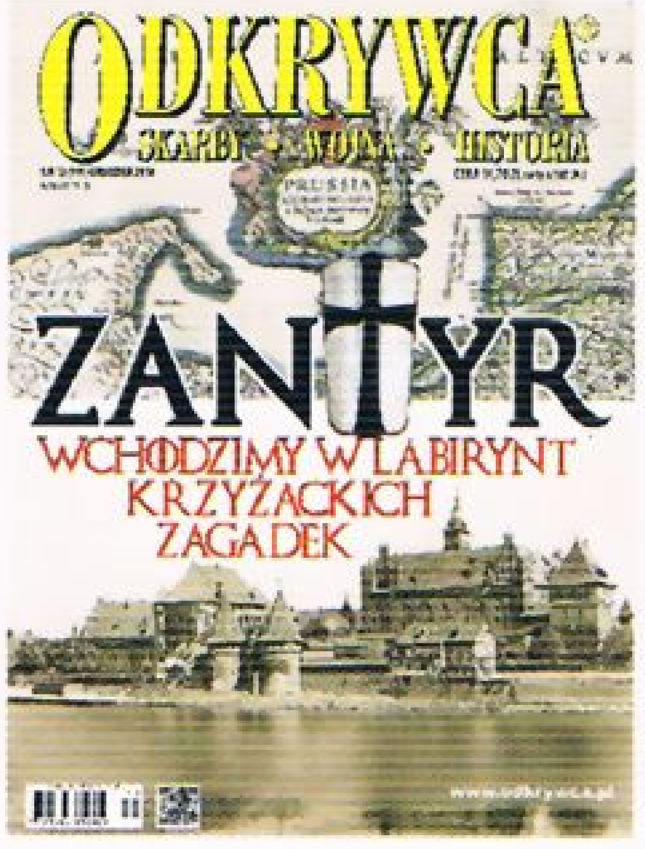
ODKRYWCA
SKARBY • WOJNA • HISTORIA
ZANTYR
WCHODZIMY W LABIRYNT KRZYŻACKICH ZAGADEK
www.odkrywca.pl

ODKRYWCA
SKARBY • WOJNA • HISTORIA
CZARNE interesy PRL-u
– kulisy przemytu broni
www.odkrywca.pl

ODKRYWCA
SKARBY • WOJNA • HISTORIA
Srebrna Góra
– mityczne skarby czy skarbnica mitów
Opowieści o niedawnych srebrnogórskich eksploracjach
www.odkrywca.pl

ODKRYWCA
SKARBY • WOJNA • HISTORIA
Jezioro Stobno
polowanie na pancerne wraki
EXTREMALNE PLORACJE

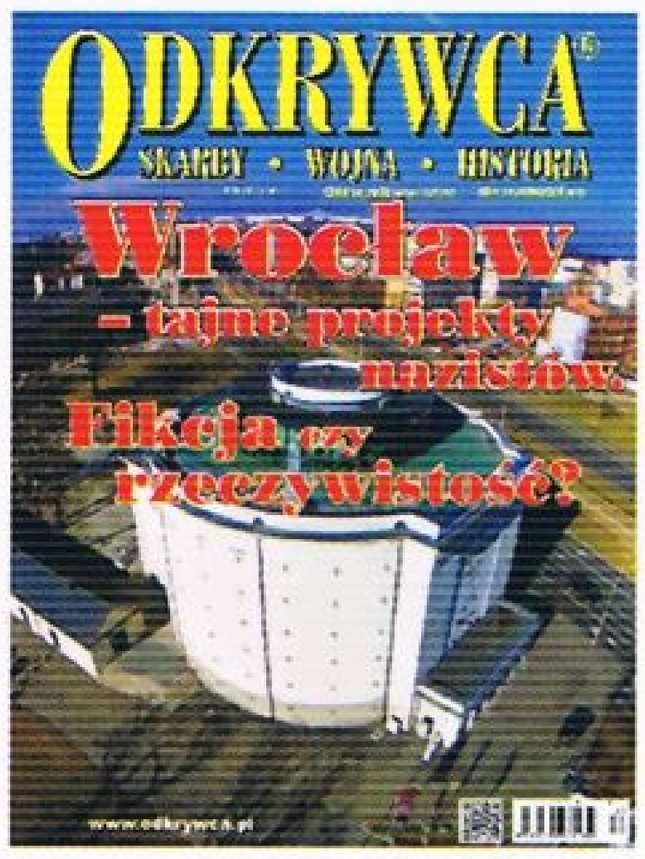
ODKRYWCA
SKARBY • WOJNA • HISTORIA
Wrocław – tajne projekty nazistów.
Fikcja czy rzeczywistość?

ODKRYWCA
SKARBY • WOJNA • HISTORIA
Festung Breslau i Glogau
– ostatnie ofiary agonii III Rzeszy
www.odkrywca.pl

ODKRYWCA
SKARBY • WOJNA • HISTORIA
Jeniecka epopeja życia i śmierci.
Przywrócona pamięć Stalagu VIIIA
www.odkrywca.pl

ODKRYWCA
SKARBY • WOJNA • HISTORIA
Operacja »LAWINA«
– odnalezione ślady zbrodni

ODKRYWCA
SKARBY • WOJNA • HISTORIA
Stalag IID
Stargard/Pommern
Cmentarz radzieckich jeńców wojennych – poszukiwany
www.odkrywca.pl

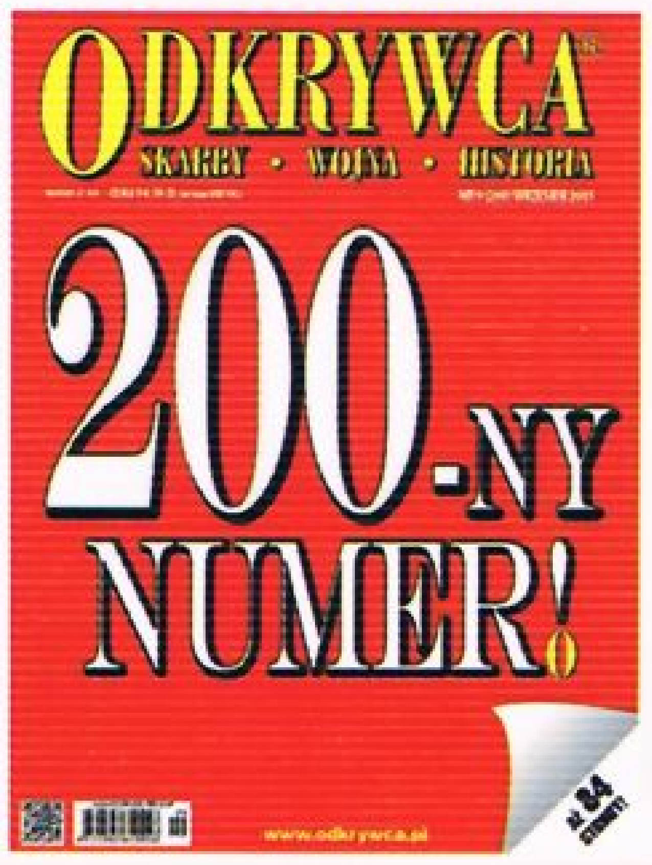
ODKRYWCA
SKARBY • WOJNA • HISTORIA
200-NY NUMER!
www.odkrywca.pl

ODKRYWCA
SKARBY • WOJNA • HISTORIA
„ZŁOTY POCIĄG”
RAPORT SPECJALNY

UWAGA PRENUMERATORZY!

Zachęcamy Państwa do wykupienia prenumeraty miesięcznika „Odkrywca”. Jest to gwarancją:

- ► stałej, niższej ceny,
- ► szybkiej dostawy pod wskazany adres,
- ► otrzymania upominków i dodatków – jedynie dla prenumeratorów.

Możecie zamówić i opłacić prenumeratę bezpośrednio online pod adresem http://instytut.odkrywca.pl

► lub dokonać wpłaty bezpośrednio na nasze konto:

Instytut Badań Historycznych i Krajoznawczych (IBHiK) sp. z o.o.
ul. Wojska Polskiego 15c, 62-500 Konin
Numer konta: **98 2490 0005 0000 4520 6153 2533**

Dla wpłacających z zagranicy:
BIC / SWIFT – ALBPPLPW
PL98249000050000452061532533

Przy zamówieniu i opłaceniu prenumeraty należy podać: dokładne dane imienne i adresowe oraz informację, od którego numeru ma się rozpocząć prenumerata.. Koszty manipulacyjne związane z zamówieniem i opłatą ponosi zamawiający.

Cena prenumeraty:

- ► krajowa roczna – **147** zł; półroczna – **73,50** zł
- ► zagraniczna półroczna: **123,90** zł (list zwykły); **141,90** zł (list priorytetowy).
- ► Roczna – dwa razy droższa.

Pytania prosimy kierować do Działu Prenumeraty wydawnictwa IBHiK:

listownie na adres: Redakcja „Odkrywca”, ul. Kaszubska 4,
50-214 Wrocław z dopiskiem Dział Prenumeraty,
telefonicznie 71 329 71 71,
e-mail: prenumerata@odkrywca.pl

Uwaga do nabycia numery archiwalne
– rok 2000 nr 4/21 – cena 5 zł za 1 egz.
– rok 2001 nr od 3/27 do 12/36 – cena 5 zł za 1 egz.
– roczniki 2002 do 2009 – cena 60 zł za jeden rocznik
– roczniki 2010 i 2011 – cena 84 zł za jeden rocznik
– rocznik 2012 – cena 96 zł
– rocznik 2013 – cena 118 zł
– rocznik 2014 – cena 120 zł
Cena razem z kosztami wysyłki w Polsce.

Sprzedaż egzemplarzy aktualnych po cenie innej niż detaliczna, ustalona przez Wydawcę, jest zabroniona i grozi odpowiedzialnością karną.